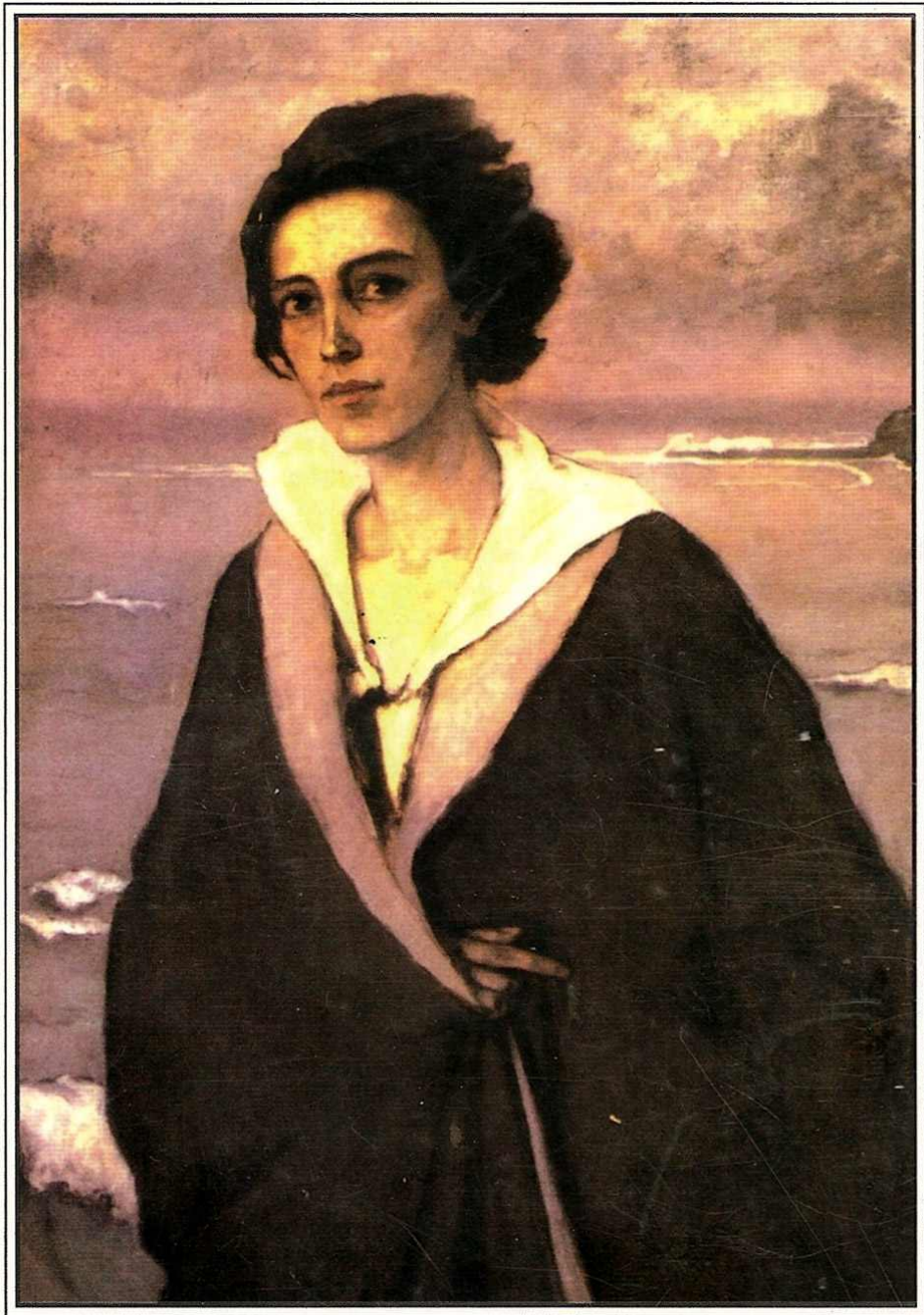


KAZUO ISHIGURO



Okруchy dnia

Prószynski i S-ka

KAZUO ISHIGURO

Okruchy dnia

przełożył
Jan Rybicki



Prószyński i S-ka

Warszawa 1997

Pamięci Lenore Marshall

Prolog

czerwiec 1956

Darlington Hall

Wydaje się coraz bardziej prawdopodobne, że jednak wyruszę na wyprawę, która od jakiegoś czasu zaprzęta moją wyobraźnię; wyprawę, należy dodać, którą podejmę samodzielnie, wygodnym ffordem pana Farradaya; która poprowadzi przez najpiękniejsze zakątki Anglii na południowy zachód aż po West Country, a w Darlington Hall mogę być nieobecny przez pięć czy nawet sześć dni. Muszę podkreślić, że pomysł tej wyprawy został mi niezwykle łaskawie podsunięty przez samego pana Farradaya około dwóch tygodni temu, kiedy odkurzałem portrety w bibliotece. Stałem na drabince i omiatałem portret wicehrabiego Wetherby, gdy wszedł mój chlebodawca, dzierżąc kilka książek, przeznaczonych zapewne do odłożenia na półki. Zauważywszy moją osobę, skorzystał z okazji, by powiadomić mnie, że w tej właśnie chwili podjął ostateczną decyzję w sprawie powrotu do Stanów Zjednoczonych na pięć tygodni w sierpniu i wrześniu. To oznajmiwszy, mój chlebodawca złożył przyniesione tomy na stole i wyciągnął się na szeszlengu, po czym popatrzył na mnie i rzekł:

- Wiesz co, Stevens, przecież nie będziesz sterczał w tym domu, jak mnie nie będzie. Może byś wziął samochód i przejechał się gdzieś na parę dni? Coś mi się zdaje, że przydałby ci się mały urlop.

Muszę przyznać, że nie wiedziałem, jak mam zareagować na tak niespodziewanie uczynioną propozycję. Pamiętam tylko, że podziękowałem mojemu chlebodawcy za to, że tak się o mnie troszczy. Chyba jednak wyglądałem na niezdecydowanego, gdyż pan Farraday ciągnął dalej:

- Serio, Stevens, naprawdę przydałby ci się urlop. Dam ci na benzynę. Czy inni kamerdynerzy też tak siedzą i siedzą w domu jak ty? Przecież nie macie czasu, żeby poznać wasz piękny kraj!

To już nie pierwszy raz mój chlebodawca podniósł ten problem, który zdaje się autentycznie go zaprzętać. Wtedy, gdy tak stałem na drabince, przyszło mi na myśl pewne wyjaśnienie, jakiego powinno się udzielić w tej sytuacji. Otóż ludzie mojego zawodu, choć nie zwiedzali Anglii w ścisłym znaczeniu podróżowania po niej i oglądania malowniczych miejsc, mieli o niej znacznie lepsze pojęcie niż wiele innych osób, a to dzięki pracy w domach, w których zbierali się najwięksi państwo tego kraju. Oczywiście, nie mógłbym wyrazić tego przekonania panu Farradayowi bez dłuższej przemowy, co mogłoby sprawiać wrażenie wymądrzania się. Zadowolilem się więc krótkim stwierdzeniem:

- Miałem zaszczyt widywać to, co w Anglii najlepsze, sir, w tych czterech ścianach.

Pan Farraday musiał nie zrozumieć tej uwagi, ponieważ powiedział znów:

- Serio, Stevens. To nie jest w porządku. Powinno się znać swój kraj. Rób, co ci radzę, rzuć ten dom na parę dni.

Jak Państwo się domyślają, owego popołudnia nie potraktowałem poważnie tej sugestii; uznałem ją za kolejny przykład nieświadomości, jaką Amerykanie przejawiają względem tego, co w Anglii wypada, a co nie. To, że w ciągu kilku następnych dni moje nastawienie do tejże propozycji uległo zmianie - a wręcz pomysł wycieczki do West Country coraz bardziej zaprzętał moje myśli - należy bez wątpienia przypisać, co tu kryć, nadejściu listu od panny Kenton, jedyne go, jaki od niej otrzymałem w ciągu ostatnich kilku lat (nie licząc życzeń na Boże Narodzenie). Muszę jednak natychmiast wyjaśnić: chodzi mi o to, że list od panny Kenton nasunął mi pewne spostrzeżenia na temat spraw służbowych tu, w Darlington Hall, i z całą stanowczością stwierdzam, że to właśnie troska o sprawy służbowe skłoniła mnie, by na nowo rozważyć tak łaskawie złożoną mi propozycję mego chlebodawcy. Niech mi będzie wolno szerzej to omówić.

Otóż jest faktem, że ostatnio w wypełnianiu obowiązków przytrafiło mi się parę drobnych uchybień. Należy zaznaczyć, że uchybienia te były same w sobie bez znaczenia. Myślę jednak - i przypuszczam, że Państwo również zdają sobie z tego sprawę - że dla kogoś, tak jak ja nie przyzwyczajonego do popełniania takich błędów, podobny rozwój sytuacji musiał być wysoce niepokojący: zacząłem już wysuwać różne przerażające hipotezy co do ich przyczyn. Tymczasem, jak to często bywa w takich przypadkach, nie dostrzegalem najprostszego wyjaśnienia - dopóki moje rozważania nad wnioskami

płynącymi z listu panny Kenton nie otwały mi oczu na najoczywistszą prawdę: otóż te drobne niedociągnięcia były spowodowane li tylko niewłaściwym rozkładem zajęć personelu.

Poświęcenie szczególnej uwagi ustaleniu rozkładu zajęć służby jest, rzecz jasna, obowiązkiem każdego kamerdynera. Ileż to kłótni, oszczerstw, pochopnych zwolnień z pracy, złamanie iluż obiecujących karier można przypisać niedbałości kamerdynera w ustalaniu rozkładu zajęć personelu? Tak, jak najbardziej zgadzam się z opinią, że umiejętność stworzenia właściwego rozkładu zajęć służby jest dla każdego kamerdynera podstawą jego wszelkich umiejętności. Przez te wszystkie lata sam tworzyłem wiele rozkładów zajęć i, nie chwając się, muszę stwierdzić, że wprowadzanie poprawek było konieczne bardzo rzadko. Jeśli zaś obecnie powodem usterek w pracy służby jest niewłaściwy rozkład zajęć, winą należy obarczyć mnie i tylko mnie. Po sprawiedliwości trzeba jednak równocześnie wspomnieć, że w tym akurat przypadku moje zadanie było niezwykle utrudnione.

Wyjaśnię tu dlaczego. Otóż po sfinalizowaniu transakcji - w wyniku których rodzina Darlingtonów traciła dom należący do niej od dwustu lat - pan Farraday oznajmił, że nie zamierza osiedlać się tutaj natychmiast, ponieważ ostateczne zlikwidowanie jego spraw w Stanach Zjednoczonych wymaga jeszcze około czterech miesięcy. Chciał jednak bardzo, by tymczasem służba jego poprzednika - o której słyszał wiele dobrego - pozostała w Darlington Hall. „Służba”, o którą mu chodziło, była jedynie szczątkową, sześćoosobową obsadą, którą krewni lorda Darlingtona zatrzymali do zajęcia się domem na czas przeprowadzania transakcji; z przykrością donoszę, że gdy tylko posiadłość została sprzedana, nie mogłem dla pana Farradaya uczynić nic, by zapobiec odejściu na inne posady wszystkich poza panią Clements. Gdy napisałem do mojego nowego chlebodawcy, by wyrazić żal z tego powodu, otrzymałem z Ameryki instrukcje, by zwerbować nowy personel „godny wielkiego angielskiego domu”. Natychmiast podjąłem kroki, by spełnić to życzenie, lecz, jak Państwo wiedzą, znalezienie odpowiednich kandydatów jest obecnie niełatwe. Choć z polecenia pani Clements udało się zwerbować Rosemary i Agnes, z których jestem zadowolony - przed pierwszą, wstępną wizytą, którą pan Farraday złożył nam wiosną zeszłego roku, nie osiągnąłem żadnych lepszych rezultatów. Wtedy to właśnie - w tym dziwnie

opustoszałym gabinecie Darlington Hall - pan Farraday po raz pierwszy uściśnął moją dłoń; zupełnie niezależnie od spraw służbowych mój nowy chlebodawca miał możliwość sprawdzenia moich zalet i umiejętności, na których, ośmielam się zauważyć, można polegać. To widać dlatego uznał, że może od razu porozmawiać ze mną w sposób otwarty i rzeczowy. W wyniku naszego spotkania powierzył mi całkiem znaczną sumę na wszechstronne przygotowanie jego przyszłego tu pobytu. Tak czy inaczej, chodzi mi o to, że gdy podczas tej rozmowy napomknąłem o kłopotach z zatrudnieniem odpowiedniego personelu, pan Farraday po chwili namysłu poprosił mnie o rzecz następującą: o to mianowicie, bym opracował jak najlepszy rozkład zajęć personelu - on nazwał to „takim jakimś harmonogramem służby” - by dom mogły prowadzić cztery obecnie zatrudnione osoby, czyli: pani Clements, dwoje dziewcząt i ja. Zdawał sobie sprawę, że może to wymagać „wyłączenia” części domu; miał jednak nadzieję, że moje doświadczenie i umiejętności pozwolą ograniczyć straty do minimum. Wspominając czasy, gdy miałem pod sobą siedemnaście osób służby, i wiedząc, jak niedawno jeszcze tu, w Darlington Hall, zatrudniano dwadzieścia osiem osób, perspektywa wypracowania takiego rozkładu zajęć, by ten sam dom prowadzić w cztery osoby, była co najmniej zniechęcająca. Choć starałem się tego nie okazać, coś musiało zdradzić mój sceptycyzm, ponieważ pan Farraday zaraz dodał, jakby na pocieszenie, że jeżeli będzie to konieczne, mogę zatrudnić jeszcze jedną osobę. Byłby jednak bardzo zobowiązany, powtórzył, gdybym „dał sobie radę w cztery osoby”.

Ja tymczasem, jak wielu innych ludzi, bardzo niechętnie zmieniam stare przyzwyczajenia. Oczywiście, nie należy kurczowo trzymać się czegoś dla samej tylko tradycji, jak to skłonni są czynić niektórzy. W czasach elektryczności i nowoczesnego ogrzewania nie ma potrzeby trzymać tyle służby, ile było konieczne w ostatnim choćby pokoleniu. Co więcej, według mnie, ta właśnie skłonność do utrzymywania zbyt licznej służby li tylko dla tradycji - powodująca, że pracownicy mieli za dużo wolnego czasu - była jednym z ważniejszych czynników znacznego pogorszenia się jakości usług w moim zawodzie. Ponadto pan Farraday wyjaśnił, że nie zamierza organizować tylu wielkich spotkań towarzyskich, ile za dawnych lat widywał Darlington Hall. Z poświęceniem zabrałem się więc do postawionych mi zadań. Nad ustaleniem rozkładu zajęć spędziłem wiele godzin; przynajmniej tyle samo rozmyślałem na ten temat podczas wypełniania

mych obowiązków, co po udaniu się na spoczynek. Każdy nowy pomysł wielokrotnie rozpatrywałem pod wszystkimi względami, szukając jakichkolwiek złych stron. Wreszcie otrzymałem rozkład, który, choć może nie spełniał dokładnie zaleceń pana Farradaya, był jednak najlepszym z możliwych rozwiązań. Utrzymamy funkcjonowanie niemal wszystkich reprezentacyjnych części domu; wyłączone zostaną tylko zbyt obszerne w nowej sytuacji pomieszczenia służbowe - w tym korytarz od kuchni, dwie spiżarnie i stara pralnia. W ten sposób do użytku nadawać się będą wszystkie główne pokoje na parterze i wystarczająca liczba pokoi gościnnych. Ponieważ jednak tak szeroki program da się wypełnić jedynie przy pomocy kilku osób dochodzących, rozkład zajęć uwzględniał usługi ogrodnika (raz w tygodniu, a w lecie dwa razy) i dwóch sprzątaczek (po dwa razy w tygodniu). Według nowego rozkładu zmieniłby się też radykalnie podział naszych dotychczasowych obowiązków. Przewidywałem przy tym, że dziewczęta nie będą miały większych kłopotów z przystosowaniem się do tych nowych obowiązków; za to starałem się, by jak najmniejsze zmiany dotyczyły pani Clements - do tego stopnia, że sobie przydzieliłem znacznie więcej zadań, niż można by się spodziewać po najbardziej liberalnym kamerdynerze.

Nawet teraz nie powiedziałbym, że był to zły rozkład zajęć; mimo wszystko umożliwiał przecież czterem osobom wykonanie nadspodziewanie wielkiej liczby zadań. Zgodzą się jednak Państwo, że najlepsze rozkłady zajęć służby to takie, które przewidują pewien margines bezpieczeństwa na wypadek choroby lub innego rodzaju niedyspozycji któregoś z pracowników. Oczywiście w tym akurat przypadku moje zadanie było dość niezwykle, lecz pomimo to starałem się zachować, gdzie tylko możliwe, takie właśnie „marginesy”. Szczególnie byłem świadom, że wszelkie opory, na jakie mogę natrafić ze strony pani Clements i dziewcząt, usiłując je przekonać do przyjęcia nowych obowiązków, będą o tyle większe, o ile wzrośnie liczba wykonywanych przez nie prac. Dlatego właśnie, gdy zmagalem się z układaniem rozkładu zajęć, wiele uwagi poświęciłem temu, by moje podwładne, gdy już przystosują się do swych bardziej „wszechstronnych” ról, uznały taki właśnie podział pracy za wygodny i zachęcający do większego wysiłku.

Obawiam się jednak, że w trosce o zadowolenie żeńskiego personelu nie oceniłem równie wnikliwie mych własnych możliwości; choć doświadczenie i wrodzona ostrożność

w takich sprawach nie pozwoliły mi podjąć się większej liczby zadań, niż mógłbym wykonać, to jednak zbyt mało uwagi poświęciłem własnemu marginesowi bezpieczeństwa. Nic więc dziwnego, że w ciągu kilku następnych miesięcy niedopatrzenie to dało o sobie znać w wielu różnych drobnych, lecz znaczących przejawach. Ostatecznie więc sprawa przedstawiała się prosto: wziąłem na swe barki zbyt duży ciężar.

Dziwią się może Państwo, że oczywisty błąd w rozkładzie zajęć personelu tak długo umykał mojej uwagi. Jednak często tak się dzieje, że gdy długo rozważamy jakąś sprawę, prawda ukazuje się nam zupełnie nieoczekiwanie, w wyniku jakiegoś innego wydarzenia. Tak też było i w tym przypadku; otóż otrzymanie przeze mnie listu od panny Kenton, zawierającego - oprócz długich, niezbyt zrozumiałych fragmentów - bezsprzeczną nostalgię za Darlington Hall oraz - a jestem tego pewien - wyraźne aluzje do chęci powrotu, zmusiło mnie do ponownego zastanowienia się nad rozkładem zajęć. Dopiero wtedy stała się dla mnie oczywista rola, jaką mogłaby tu odegrać jeszcze jedna osoba służby; zrozumiałem, że to właśnie jej brak był źródłem moich ostatnich niepowodzeń. I im bardziej o tym myślałem, tym bardziej stawało się jasne, że właśnie panna Kenton, z jej wielkim przywiązaniem do tego domu, z jej przykładowym poczuciem odpowiedzialności zawodowej - jakiego teraz już nie uświadczy - byłaby tym czynnikiem, który umożliwiłby mi wreszcie ustalenie całkowicie zadowalającego rozkładu zajęć służby dla Darlington Hall. Wkrótce po dokonaniu takiej oceny sytuacji zacząłem na nowo rozważać łaskawą propozycję pana Farradaya sprzed kilku dni. Przyszło mi bowiem na myśl, że taka wycieczka może być też pożyteczna i ze służbowego punktu widzenia; mógłbym przecież pojechać do West Country, a przy okazji odwiedzić pannę Kenton, by upewnić się co do jej pragnienia powrotu do pracy tu, w Darlington Hall. Muszę wyjaśnić, że list od niej przeczytałem wielokrotnie - nie ma więc możliwości, bym sam sobie wmówił obecność w nim wspomnianych aluzji.

Mimo to przez wiele dni nie śmiałem podjąć na nowo tego tematu z panem Farradayem. W całej sprawie istniało kilka aspektów, które trzeba było wyjaśnić przed podjęciem dalszych kroków - na przykład sprawa kosztów. Nawet biorąc pod uwagę życzliwą propozycję mego chlebodawcy, że „da mi na benzynę”, koszty takiej wyprawy mogły urosnąć do zadziwiających rozmiarów, gdy weźmie się pod uwagę noclegi, posiłki i

inne drobne wydatki. Potem sprawa stroju, jaki należałoby zabrać w taką podróż, i czy opłaca mi się sprawić sobie nowe ubranie. Jestem w posiadaniu całej kolekcji świetnych garniturów, otrzymanych w ciągu tych wszystkich lat od lorda Darlingtona i jego różnych gości, którzy podczas wizyty mieli powód do zadowolenia z naszej służby. Choć są one na taką wycieczkę może zbyt eleganckie czy też po prostu niemodne w obecnych czasach, to jest jednak wśród nich jedno ubranie spacerowe, które otrzymałem w roku 1931 czy 1932 od sir Edwarda Blaira - wówczas całkiem nowe i pasujące niemal jak ulał - które nadałoby się na wieczór w salonie lub jadalni każdego hotelu, w jakim zatrzymałbym się w czasie mej podróży. Nie mam, niestety, żadnego odpowiedniego stroju podróżnego - czyli takiego, w którym mógłbym pokazać się za kierownicą samochodu - chyba że włożyłbym garnitur otrzymany w czasie wojny od młodego lorda Chalmersa. Garnitur ten, choć znacznie na mnie za mały, można by uznać za doskonały pod względem stylu. Obliczyłem wreszcie, że moje oszczędności wystarczą mi na koszty podróży, a nawet na kupno nowego ubrania. Mam nadzieję, że nie posądzą mnie Państwo o zbytnią próżność; chodzi o to, że nigdy nie wiadomo, czy nie będę musiał się przyznać do pracy w Darlington Hall, a w takich razach ważne jest, by strój odpowiadał piastowanemu stanowisku.

Równocześnie wiele chwil poświęciłem studiowaniu atlasu samochodowego, jak również odnośnych tomów „Cudów Anglii” pani Jane Symons. Jeżeli Państwo nie znają książek pani Symons - jest ich siedem, a każda opisuje inną część Wysp Brytyjskich - gorąco je Państwu polecam. Choć zostały napisane w latach trzydziestych, są zapewne nadal aktualne - przecież bomby niemieckie nie zmieniły naszego krajobrazu aż tak bardzo. Pani Symons była zresztą częstym gościem w Darlington Hall, i do tego jednym z najbardziej lubianych, przynajmniej przez służbę, a to dzięki zawsze okazywanemu zadowoleniu z naszej pracy. Właśnie wtedy, kierując się naturalnym podziwem dla tej pani, zacząłem w wolnych chwilach studiować jej dzieła w naszej bibliotece. Pamiętam też, że w roku 1936, wkrótce po wyjeździe panny Kenton do Kornwalii - nigdy tam nie byłem - często przeglądałem tom III, w którym pani Symons opisuje cuda Devonu i Kornwalii. Całość uzupełniona jest zdjęciami oraz jeszcze bardziej przemawiającymi do mnie rysunkami. Właśnie dzięki temu miałem jakieś pojęcie, gdzie panna Kenton miała spędzić życie w stanie małżeńskim. Było to jednak, jak mówię, w latach trzydziestych, gdy,

jak mi się zdaje, książki pani Symons cieszyły się powszechnym uznaniem w całym kraju. Nie zaglądałem do nich przez wiele lat; dopiero teraz znów sięgnąłem na półkę po tom o Devonie i Kornwalii. I znów, jak dawniej, zagłębiłem się w te piękne opisy i ilustracje; i mogą Państwo sobie wyobrazić moje rosnące podekscytowanie na myśl, że być może rzeczywiście wybiorę się w te okolice.

Wreszcie nie pozostało mi już nic innego, jak wspomnieć znów o tej sprawie panu Farradayowi. Oczywiście, istniała zawsze możliwość, że uczyniona przez niego przed dwoma tygodniami propozycja była tylko przelotnym kaprysem i że pomysł ten nie będzie już cieszył się jego uznaniem. Co prawda, według moich obserwacji, które poczyniłem przez te kilka ostatnich miesięcy, pan Farraday nie należy do tych osób, które wykazują najbardziej irytującą cechę, jaką może mieć chlebodawca, a mianowicie - zmienność. Nie było bynajmniej powodu przypuszczać, że pan Farraday mógłby tym razem wykazać mniejszy entuzjazm względem mojej planowanej podróży albo wręcz zapomnieć o swej łaskawej propozycji „dania mi na benzynę”. Mimo to gruntownie rozważyłem, kiedy mu o tym napomknąć, bo choć, jak już powiedziałem, nigdy nie podejrzewałbym pana Farradaya o zmienność, to lepiej byłoby nie rozpoczynać rozmowy na ten temat w chwili, gdy mój chlebodawca jest czymś zajęty lub zdenerwowany. Uczyniona przezeń w takiej sytuacji odmowa mogłaby wcale nie być odzwierciedleniem rzeczywistego nastawienia pana Farradaya, lecz raz ją otrzymawszy - niełatwo przysłoby mi wracać potem do tej sprawy. Było więc oczywiste, że musiałem mądrze wybrać właściwy moment.

Zdecydowałem w końcu, że najbezpieczniej będzie uczynić to podczas podawania popołudniowej herbaty w salonie. Pan Farraday zwykle wraca wtedy z krótkiej przechadzki po okolicznych pagórkach, nie jest więc zaprzątnięty lekturą i pisaniem, tak jak potem, pod wieczór. Co więcej, często, gdy przynoszę mu herbatę, pan Farraday odkłada książkę czy czasopismo, które właśnie przeglądał, wstaje i przeciąga się przy oknie, jakby oczekiwał, że pogawędzi sobie ze mną przez chwilę.

W każdym razie wydaje się, że mój osąd okazał się całkiem trafny; to, jak potem potoczyły się wypadki, było spowodowane omyłką dotyczącą zupełnie innych spraw. Mianowicie, nie wziąłem dostatecznie pod uwagę, że o tej porze dnia pan Farraday chętnie bawi się lekką, dowcipną nawet rozmową. Wiedząc, że takie właśnie jest jego

nastawienie, gdy przynoszę mu herbatę i że w takich chwilach zawsze rozmawia ze mną tonem żartobliwym, nie należało wczoraj w ogóle wspominać o pannie Kenton. Rozumieją jednak Państwo, że było czymś zupełnie naturalnym napomknąć o pożytku, jaki z tego wyjazdu może wyniknąć dla spraw służbowych - ostatecznie miałem prosić mojego chlebodawcę o dużą łaskę. Tak więc, mówiąc o powodach, dla których wybrałem za cel mej podróży właśnie West Country, zamiast poprzestać na paru zachęcających szczegółach zapamiętanych z lektury dzieła pani Symons, zupełnie niepotrzebnie wspomniałem, że w tamtych okolicach zamieszkuje teraz dawna gospodyni Darlington Hall. Chciałem chyba wyjaśnić panu Farradayowi, że będę mógł przy okazji zbadać pewną możliwość idealnego rozwiązania naszych drobnych problemów domowych. Jednak gdy tylko zacząłem mówić o pannie Kenton, zrozumiałem, że popełniłem błąd. Nie tylko nie byłem wcale pewien, czy ona pragnie powrócić tu na służbę; ponadto o zwiększeniu liczby personelu nie rozmawiałem z panem Farradayem od czasu naszej pierwszej rozmowy. Wygłaszanie teraz przeze mnie uwag co do przyszłości Darlington Hall mogłoby zostać uznane co najmniej za zarozumiałstwo. Urwałem więc chyba dość gwałtownie; musiałem sprawiać wrażenie nieco zmieszanego. Tak czy inaczej, pan Farraday natychmiast skorzystał z okazji, by uśmiechnąć się do mnie szeroko i powiedzieć niby to z zastanowieniem:

- No, no, Stevens. Przyjaciółeczka. I to w twoim wieku...

Cóż za niezręczna sytuacja! Lord Darlington nigdy nie zrobiłby czegoś takiego żadnemu ze swoich pracowników! Zresztą wcale nie chcę mówić tu niczego pejoratywnego o panu Farradayu: jest przecież Amerykaninem, a ich zwyczaje są często tak odmienne od naszych. Na pewno nie mówił tego złośliwie, lecz potrafią Państwo pojąć, w jakże niezręcznej znalazłem się sytuacji.

- Nie wiedziałem, że z ciebie taki kobieciarz, Stevens - ciągnął. - Pewnie dzięki temu człowiek wolniej się starzeje. Nie wiem tylko, czy mogę ci pomagać w osiągnięciu tak podejrzanych celów.

Oczywiście, pierwszym moim odruchem było natychmiast stanowczo zaprzeczyć takim motywom mego postępowania, jakie imputował mi pan Farraday; na szczęście spostrzegłem w porę, że na to tylko czekał, a wtedy moje położenie byłoby jeszcze gorsze.

Wolałem już więc stać dalej zmieszany, czekając, aż mój chlebodawca wyrazi zgodę na ten wyjazd.

Choć chwile te były dla mnie wysoce żenujące, nie chciałbym, by Państwo odnieśli wrażenie, że w jakimś sensie mam to za złe panu Farradayowi, który jest przecież osobą miłą i sympatyczną; na pewno bawiło go po prostu to przekomarzanie się, które w Stanach Zjednoczonych jest bez wątpienia oznaką dobrych, przyjaznych stosunków pomiędzy pracodawcą i pracownikiem - ot, taką sobie niewinną rozrywką. Muszę tu dodać, że takie właśnie przekomarzanie się było bardzo częstym sposobem odnoszenia się do mnie mojego chlebodawcy - choć muszę przyznać, że nadal nie wiem, jak mam na to reagować. W ciągu pierwszych dni mojej służby pan Farraday kilkakrotnie zadziwił mnie swymi powiedzeniami. I tak, na przykład, zapytałem go raz, czy pewnemu panu wybierającemu się do nas z wizytą będzie towarzyszyć małżonka.

- Niech nas Bóg broni! - odparł na to pan Farraday. - Gdyby przyjechała, może uda ci się uwolnić nas od niej, Stevens. O, mógłbyś ją wziąć do tych stajni, tam koło farmy Morgana. Zabawiałbyś ją tam na sianie, może jest właśnie w twoim typie.

Przez dobrą chwilę nie miałem pojęcia, o co chodzi mojemu chlebodawcy. Potem zrozumiałem, że to żart, więc starałem się uśmiechnąć, choć podejrzewam, że twarz moja zdradzała pewne zdumienie czy wręcz zaszokowanie.

Jednak po paru dniach przyzwyczailem się do tego typu uwag pana Farradaya i gdy tylko dosłyszałem w jego głosie ów żartobliwy ton, natychmiast uśmiechałem się odpowiednio. Mimo to nigdy nie byłem do końca pewien, czego właściwie oczekuje się ode mnie w takiej sytuacji. Być może powinienem roześmiać się głośno, a może nawet samemu dorzucić jakąś dowcipną uwagę. Ta ostatnia możliwość niepokoiła mnie nieco w ciągu ostatnich miesięcy; dotąd nie wiem, co właściwie powinienem czynić. Być może w Ameryce do obowiązków służbowych pracownika należy bawienie swego chlebodawcy dowcipną rozmową. Przypominam sobie zresztą, że pan Simpson, właściciel gospody „Pod Ręką Oracza”, mówił kiedyś, że gdyby był amerykańskim barmanem, nie przemawiałby do nas po swojemu poufale, choć zawsze uprzejmie, lecz zarzucałby nas grubiańskimi uwagami na temat naszych wad i słabości, przezywał nas pijakami i raczył innymi tego typu epitetami, by w ten sposób spełnić oczekiwania swych klientów. Pamiętam też, że pan Rayne, który podróżował do Ameryki jako kamerdyner sir

Reginalda Mauvisa, mówił mi, że nowojorscy taksówkarze zwracają się do swych pasażerów w sposób, który w Londynie spowodowałby na pewną jakąś awanturę, czy nawet odprowadzenie kierowcy na najbliższy posterunek policji.

Jest więc całkiem możliwe, że pan Farraday chce właśnie, by na jego przekomarzenia się odpowiadać tym samym i że może uznać moje powstrzymywanie się od tego za swego rodzaju uchybienie. To właśnie martwi mnie już od pewnego czasu. Muszę przyznać, że z wielką niechęcią myślę o konieczności wypełniania tego obowiązku. W naszych tak zmieniających się czasach można, oczywiście, dostosowywać się do zadań dotychczas nie należących do zakresu czyjejś działalności, lecz przekomarzenie się to już coś zupełnie innego. Czy można mieć pewność, że dowcipna odpowiedź jest właśnie na miejscu w danej sytuacji? Nie trzeba chyba wyjaśniać, jak katastrofalne skutki wywołałoby wygłoszenie dowcipnej uwagi w niestosownym momencie.

Mimo to niedawno poważylem się wreszcie na taką żartobliwą odpowiedź. Podawałem panu Farradayowi poranną kawę w pokoju śniadaniowym, gdy ten powiedział:

- To chyba nie ty tak krakałeś dzisiaj rano, co, Stevens?

Zrozumiałem, że chodzi o dwóch Cyganów zbierających złom, którzy przechodząc tędy jakiś czas temu, oznajmiali o swym przybyciu gardłowymi okrzykami. Tak się złożyło, że tegoż ranka rozważałem właśnie dylemat, czy odpowiadać na żartobliwe zaczepki mojego chlebodawcy, obawiając się przy tym, jak też oceni brak mojej reakcji na jego żarty. Zacząłem więc obmyślać jakąś dowcipną odpowiedź, taką w dodatku, która w razie złej oceny sytuacji z mojej strony nie mogła być potraktowana jako coś obraźliwego. Wreszcie po chwili odezwałem się:

- Były to bardziej jaskółki niż kruki, sir. Jeśli chodzi o skłonności do wędrowania. - Tu uśmiechnąłem się skromnie, by niedwuznacznie dać do zrozumienia, że właśnie powiedziałem dowcip; nie chciałem bowiem, by pan Farraday czuł się w jakiegokolwiek mierze zobowiązany do zachowania powagi.

Ten tymczasem spojrział tylko na mnie, mówiąc:

- Co takiego, Stevens?

Dopiero wtedy pojąłem - ponieważ - że przecież mój dowcip mógł być zrozumiały tylko dla kogoś, kto widział, że pod domem rzeczywiście przechodziło dwóch Cyganów. Nie miałem pojęcia, jak z tego wybrnąć; w końcu stwierdziłem, że najlepiej będzie zaprzestać dowcipów, i udawszy, że przypomniałem sobie o czymś ważnym do zrobienia, odszedłem, pozostawiając mojego chlebodawcę w niejakim zdumieniu.

Sprostanie nowym wymaganiom przychodziło mi więc od początku z dużym trudem - do tego stopnia, że, muszę wyznać, zaprzestałem dalszych prób w tej mierze. Równocześnie nie mogę oprzeć się wrażeniu, że pan Farraday nie jest zadowolony z mojej reakcji na jego żarty. Co więcej, być może, przekomarzając się ze mną ostatnio coraz częściej, stara się zmusić mnie do większego wysiłku. Tak czy inaczej, od tego pierwszego dowcipu o Cyganach inne nie przychodziły mi na myśl odpowiednio szybko.

Takie kłopoty są obecnie tym bardziej dokuczliwe, że nie mam już możliwości, tak jak dawniej bywało, omówić i uzgodnić swych poglądów z kolegami po fachu. Jeszcze nie tak dawno, jeżeli pojawiały się podobne wątpliwości dotyczące spraw służbowych, miało się tę pewność, że prędzej czy później jakiś kolega po fachu, którego zdanie się szanowało, zjawi się u nas, towarzysząc swemu chlebodawcy, i na pewno znajdzie się okazja, by przedyskutować całą sprawę. Za czasów lorda Darlingtona, gdy wizyty szanownych gości były częste i długie, można było oczywiście naradzić się ze służącymi, kolegami po fachu. Tak, w owych pracowitych dniach w naszym pokoju kredensowym dochodziło do spotkań najlepszych ludzi z naszej branży w Anglii, którzy w ciepłe kominka prowadzili długie nocne rozmowy. Niech mi będzie wolno powiedzieć, że gdyby wówczas znaleźli się Państwo wśród nas, nie usłyszeli by plotek; rozmowa toczyłaby się zapewne na temat wielkich spraw piętro wyżej zaprzatających naszych chlebodawców lub ważnych doniesień z gazet, czy wreszcie - jak zawsze, gdy w jednym miejscu zbierze się kilka osób tego samego zawodu - wszelkich aspektów naszej profesji. Zdarzały się, oczywiście, gwałtowne dyskusje, lecz zazwyczaj dominowała atmosfera wzajemnego szacunku. Być może lepiej oddam nastrój tych wieczorów, gdy powiem, że stałymi ich uczestnikami były takie sławy jak pan Harry Graham, kamerdyner sir Jamesa Chambersa, czy pan John Donalds, kamerdyner sir Sydneya Dickensona. Bywali też i inni, może mniej sławni, lecz których żywe uczestnictwo na długo pozostawało w pamięci, jak pan Wilkinson, kamerdyner pana Johna Campbella, świetnie naśladowający

wiele znanych osób, jak pan Davidson z Esterly House, który kogoś nie znającego go dobrze mógłby przestraszyć swą zajadłością w dyskusji, choć w każdej innej sytuacji ujmujący prostotą i życzliwością, czy jak pan Herman, kamerdyner pana Johna Henry'ego Petersa, którego radykalnych poglądów nikt nie mógł słuchać spokojnie, lecz którego charakterystyczny, płynący z głębi brzucha śmiech i wrodzony yorkshire'owski wdzięk sprawiały, że nie dało się go nie lubić. Mógłbym tak wymieniać jeszcze długo. W owych czasach żywy był w naszym zawodzie duch koleżeństwa, niezależnie od drobnych różnic w poglądach. W gruncie rzeczy byliśmy wszyscy ulepieni z jednej gliny. Teraz jest inaczej; gdy jakiś gość przyjedzie tu z kimś ze służby - a zdarza się to coraz rzadziej - będzie to raczej ktoś nowy, kto wieczór woli spędzić, nie grzejąc się z nami przy kominku w pomieszczeniu kredensowym, lecz pijąc „Pod Ręką Oracza” lub nawet, co obecnie bardziej prawdopodobne, „Pod Gwiazdą”.

Wspominałem już tu pana Grahama, kamerdynera sir Jamesa Chambersa. Oto około dwóch miesięcy temu dowiedziałem się ku mojej radości, że sir James ma wkrótce odwiedzić Darlington Hall. Cieszyłem się na tę wizytę nie tylko dlatego, że goście z czasów lorda Darlingtona należą teraz do rzadkości - krąg znajomych pana Farradaya jest, rzecz jasna, zupełnie inny niż jego lordowskiej mości - lecz również dlatego, że spodziewałem się oprócz sir Jamesa zobaczyć też, jak za dawnych lat, pana Grahama i zasięgnąć jego rady w sprawie nurtującego mnie problemu żartów. Jakież było więc moje zdziwienie i rozczarowanie, gdy w przeddzień wizyty sir Jamesa dowiedziałem się, że ten przyjedzie sam. Potem okazało się, że pan Graham nie pracuje już u sir Jamesa, a co więcej, sir James nie zatrudnia teraz nikogo na stałe. Chętnie dowiedziałbym się, co się stało z panem Grahamem, gdyż choć nie znaliśmy się dobrze, dogadywaliśmy się świetnie przy każdym naszym spotkaniu. Nie nadarzyła się jednak okazja do zdobycia tej informacji. Muszę przyznać, że byłem mocno zawiedziony, ponieważ bardzo chciałem omówić z nim sprawę żartowania.

Pozwolę sobie jednak powrócić do mego głównego wątku. Jak już mówiłem, wczoraj po południu przeżyłem w salonie parę naprawdę ciężkich chwil, wysłuchując żartów pana Farradaya. Zniosłem to, jak zwykle, z lekkim uśmiechem - na tyle jednak szerokim, by okazać, że i ja w jakiś sposób uczestniczę w jego wesołej zabawie - i czekałem, by mój chlebobawca wyraził zgodę na wyjazd. Jak przypuszczałem, wyraził ją

dość szybko; pamiętał ponadto o swej łaskawej propozycji „dania mi na benzynę” i potwierdził ją.

Tak więc nie widzę nic, co mogłoby przeszkodzić mi w udaniu się na wyprawę do West Country. Będę musiał oczywiście napisać do panny Kenton, że pojawię się u niej przejazdem; będę też musiał zająć się mym strojem. Należy załatwić jeszcze wiele innych spraw związanych z moją nieobecnością w Darlington Hall. Tak czy inaczej, nie widzę jakiegokolwiek powodu, bym nie miał wyruszyć w tę podróż.

Dzień pierwszy, wieczorem

Salisbury

Tak oto znajduję się teraz w hotelu w mieście Salisbury. Kończy się pierwszy dzień mej wycieczki i muszę przyznać, że jestem zeń całkiem zadowolony. Moja wyprawa rozpoczęła się dziś rano z niemal godzinnym opóźnieniem, choć jeszcze przed ósmą udało mi się spakować i załadować do forda. Ponieważ na tygodniowy urlop udawały się też pani Clements i dziewczęta, ciążyła mi świadomość, że z chwilą gdy i ja wyjadę, Darlington Hall będzie stał pusty, zapewne po raz pierwszy w tym stuleciu, a może i po raz pierwszy od jego wybudowania. Było to niezwykle uczucie i ono zapewne spowodowało, że kilkakrotnie obszedłem cały dom, by jeszcze raz sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Trudno wprost opisać uczucia, jakie ogarnęły mnie z chwilą wyruszenia w drogę. Przez pierwsze dwadzieścia minut jazdy nie zauważyłem u siebie żadnych oznak podniecenia czy niecierpliwości. Było to niewątpliwie spowodowane tym, że choć coraz bardziej oddalałem się od pałacu, nadal znajdowałem się w znanej mi, nawet jeśli tylko przelotnie, okolicy. Zawsze wydawało mi się, że z powodu mych odpowiedzialnych zajęć w domu podróżowałem bardzo mało. Jednak przez te wszystkie lata wyjeżdżałem od czasu do czasu w tej czy innej sprawie służbowej - okazało się, że znam okoliczne tereny lepiej, niż przypuszczałem. I gdy tak jechałem w słońcu ku granicy Berkshire, wciąż na nowo zaskakiwało mnie wrażenie, że rozpoznaję roztaczający się wokół widok.

Potem jednak okolica stawała się coraz bardziej obca; wiedziałem już, że nigdy jeszcze tak bardzo nie oddaliłem się od domu. Opisywano mi kiedyś chwilę, w której patrzącym z odpływającego okrętu znika z oczu ląd. Przypuszczam, że uczucie radosnego niepokoju, często przypisywane tej chwili, jest bardzo podobne do tego, co przeżywałem, zapuszczając się w nieznane. A nastąpiło to zaraz, gdy tylko skręciłem na drogę wijącą się wokół jednego ze wzgórz. Po lewej stronie wyczuwałem stromiznę, choć zasłaniały ją drzewa i gęste krzewy rosnące wzdłuż drogi. Ogarnęło mnie uczucie, że teraz dopiero naprawdę opuszczam Darlington Hall, i przyznam się, że nieco mnie to zaniepokoiło, tym bardziej że miałem wrażenie, że nie znajduję się na właściwej drodze, że być może jadę w zupełnie złym kierunku, prosto w pustkowie. Choć trwało to krótko, i tak zmniejszyłem szybkość samochodu. Nawet gdy już upewniłem się, że znajduję się na dobrej drodze, musiałem zatrzymać się na chwilę, by ogarnąć to wszystko umysłem.

Postanowiłem wysiąść z samochodu i nieco rozprostować nogi; gdy to zrobiłem, wrażenie, że stoję na stromym zboczu pagórka, stało się jeszcze silniejsze. Po jednej stronie drogi drzewa i zarośla wznosiły się gwałtownie w górę, po drugiej zaś przeświecał przez krzewy rozległy krajobraz.

Odszedłem chyba parę kroków od samochodu, szukając miejsca, skąd miałbym lepszy widok, gdy usłyszałem za sobą głos. Do tej chwili zdawało mi się, że jestem tu całkiem sam, więc odwróciłem się z niejakim zdziwieniem. Nieco dalej od drogi odchodziła stromo w górę ścieżka, niknąca zaraz w gęstwinie. Na kamieniu oznaczającym to miejsce siedział chudy, siwowłosy jegomość w sukiennej czapce i palił fajkę. Znów zawołał coś do mnie i choć nie rozróżniałem słów, z jego gestów zrozumiałem, że chce, bym podszedł do niego. Z początku uznałem go za włóczęgę, lecz szybko zorientowałem się, że to po prostu ktoś miejscowy, rozkoszujący się tu świeżym powietrzem i letnim słońcem. Uznałem więc, że nia ma powodu, by go nie wysłuchać.

- Tak się tylko zastanawiam, sir - odezwał się, gdy podchodziłem - czy ma pan dobre nogi.

- Słucham?

Jegomość wskazał ręką na ścieżkę.

- Żeby tam wejść, trzeba mieć i dobre nogi, i dobre płuca. A ja nie mam ani tego, ani tego, więc zostaję na dole. Żebym miał lepsze zdrowie, tobym tam siedział, nie tu. Ładnie tam, nawet jest ławeczka. A lepszego widoku nie zobaczy pan w całej Anglii.

- Jeśli tak - powiedziałem - to wolę zostać tutaj. Tak się składa, że rozpoczynam właśnie wycieczkę samochodową, podczas której zamierzam zobaczyć wiele wspaniałych widoków. Nieco przedwczesne więc byłoby zobaczyć najlepszy widok na samym początku.

Jegomość chyba nie zrozumiał, o co mi chodzi, gdyż powtórzył:

- Lepszego widoku nie zobaczy pan w całej Anglii. Ale mówię panu, żeby tam wejść, trzeba mieć dobre nogi i dobre płuca. - A potem dodał: - Pan to dobrze się trzyma, jak na swój wiek, sir. Wszedłby pan tam bez kłopotu. Jak mam dobry dzień, to i ja dam radę.

Popatrzyłem na ścieżkę, która wydała się mi stroma i dość kamienista.

- Mówię panu, sir, będzie pan potem żałował, jeżeli pan tam teraz nie pójdzie. A nigdy nic nie wiadomo. Jeszcze parę lat i może być za późno - tu zaśmiał się nieco nieprzyjemnie. - Idź pan, póki pan jeszcze dasz radę.

Teraz wydaje mi się, że zapewne mówił to żartobliwie, że chciał się tylko trochę poprzekomarzać. Wtedy jednak poczułem się, muszę przyznać, nieco urażony i być może po to właśnie, by wykazać mu, jak niemądre są jego uwagi, ruszyłem ścieżką w górę.

I bardzo się cieszę, że tak zrobiłem. Ścieżka wiodła zygzakiem około stu metrów w górę, więc był to całkiem forsowny marsz - choć nie mogę powiedzieć, by sprawił mi jakąkolwiek poważniejszą trudność. Dotarłem wreszcie na małą polankę i było to bez wątpienia to miejsce, o którym mówił napotkany jegomość. Czekala tutaj ławeczka i rzeczywiście piękny, rozległy widok na całą okolicę.

Aż po widnokrąg ciągnęły się pola. Teren lekko wznosił się i opadał, a miedze obsadzone były drzewami i żywopłotami. Na niektórych odległych polach zobaczyłem kropki - były to zapewne owce. Wydawało mi się też, że po prawej stronie, na samej linii horyzontu, dostrzegam wieżę kościelną.

To wspaniałe uczucie stać tak na samej górze, słyszeć wokół odgłosy lata, a na twarzy czuć podmuch lekkiego wiatru. I zdaje mi się, że gdy spoglądałem na ten

krajobraz, po raz pierwszy pomyślałem we właściwy sposób o oczekującej mnie podróży. Wtedy to bowiem poczułem po raz pierwszy przyływ zdrowej ciekawości tego, co przeżyję w ciągu następnych dni. Wtedy też doszedłem do wniosku, że nie muszę zbytnio przejmować się zadaniem służbowym, jakie przed sobą postawiłem - a mianowicie sprawą panny Kenton i obecnych kłopotów z personelem.

To jednak wydarzyło się rano. Teraz, pod wieczór, jestem już w wygodnym hoteliku niedaleko centrum Salisbury. Zdaje się, że to lokal dość skromny, choć czysty i doskonale odpowiadający moim potrzebom. Właścicielka, osoba w wieku około czterdziestu lat, uważa mnie chyba za ważnego gościa, a to z powodu forda pana Farradaya i świetności mego stroju. Gdy dziś po południu - do Salisbury przyjechałem około wpół do czwartej - wpisywałem w księdze meldunkowej adres, „Darlington Hall”, zauważyłem, że popatrzyła na mnie z pewną obawą, czy aby nie jestem kimś przyzwyczajonym raczej do hoteli typu Ritz lub Dorchester i czy natychmiast po zobaczeniu proponowanego mi pomieszczenia nie opuszczę z gniewem hotelu. Powiadomiła mnie, że wolny jest tylko dwuosobowy pokój od frontu, ale że mogę go wynająć za cenę jedyńki.

Zostałem więc poprowadzony do tego pokoju, w którym właśnie słońce całkiem przyjemnie oświetlało kwiatowe wzorki na tapecie. Znajdowały się tu dwa łóżka i dwa spore okna wychodzące na ulicę. Na pytanie o łazienkę właścicielka odparła nieśmiało, że jest dokładnie naprzeciw moich drzwi, a ciepła woda będzie dopiero po kolacji. Poprosiłem ją o przyniesienie czajnika z herbatą, po czym dalej oglądałem pokój. Łóżka były absolutnej czystości i równo zasłane. Równie czysta była umywalka w rogu pokoju. Wyjrawszy przez okno można było po drugiej stronie ulicy zobaczyć piekarnię, na wystawie której widniały przeróżne ciasta, aptekę i zakład fryzjerski. Dalej widać było, że ulica prowadzi do starego, kamiennego mostku, za którym zaczynał się już pejzaż bardziej wiejski. Odświeżyłem sobie nad umywalką twarz i ręce w zimnej wodzie, po czym, w oczekiwaniu na herbatę, zasiadłem na stojącym przy jednym z okien krześle z twardym oparciem.

Hotel opuściłem chyba około czwartej. Podążyłem ulicami miasta, których szerokość sprawia cudowne wrażenie wielkiej przestrzeni. Z przyjemnością spędziłem kilka godzin li tylko spacerując sobie w miłym ciepłe słońca. Stwierdziłem prócz tego, że

Salisbury ma w sobie wiele uroku; co chwila napotykałem stare, wykładane drewnem domy, czy małe kamienne kładki na którymś z licznych strumieni płynących przez miasto. Oczywiście, nie zapomniałem odwiedzić wspaniałej katedry, wielce wychwalanej w książce pani Symons. Trudno zresztą byłoby przeoczyć tę majestatyczną budowlę, skoro jej niebotyczna wieżyca widoczna jest z każdego miejsca w mieście. I tak, gdy wieczorem podążałem z powrotem do hotelu, wielokrotnie spoglądałem za siebie i za każdym razem mój wzrok padał na słońce zachodzące za tą ogromną wieżę.

A mimo to widzę teraz, siedząc w moim przytulnym pokoiku, że to wcale nie katedra w Salisbury ani inne urocze zabytki tego miasta pozostaną moim głównym wspomnieniem z pierwszego dnia podróży; że będzie nim oglądany rano - piękny, pofalowany, angielski krajobraz. Jestem gotów uwierzyć, że inne kraje mogą pochwalić się widokami bardziej spektakularnymi. W encyklopediach i „National Geographic Magazine” widywałem już zapierające dech w piersi fotografie ze wszystkich zakątków kuli ziemskiej: wspaniałych kanionów i wodospadów, pięknie poszarpanych szczytów górskich. Rzecz jasna, nigdy nie miałem szczęścia ujrzeć tego na własne oczy, lecz zaryzykuję teraz następujące zwierzenie: otóż najpiękniejsze krajobrazy Anglii - jak ten, który podziwiałem dziś rano - posiadają pewną cechę, której brak na pozór znacznie wspanialszym krajobrazom innych stron. Jest to cecha, dzięki której każdy obiektywny obserwator uzna krajobraz angielski za najbardziej zadowalający na całym świecie, a którą można najlepiej określić słowem „wielkość”. Jestem bowiem pewny, że gdy rano stałem na tym wysokim wzgórzu i spoglądałem na rozpościerający się u moich stóp widok, miałem owo rzadkie, lecz nieodparte poczucie obcowania z wielkością. Nazywamy nasz kraj Wielką Brytanią i są tacy, którzy uznają to za dowód naszego zarozumiałstwa. Ośmielę się jednak stwierdzić, że już sam krajobraz naszej wyspy upoważnia do stosowania tak górnolotnego przymiotnika.

Czymże jednak jest ta „wielkość”? Na czymże polega, z czego wynika? Doskonale zdaję sobie sprawę, że odpowiedzi na takie pytanie należałoby szukać w mędrszej niż moja głowie; gdybym jednak miał zaryzykować własne zdanie, powiedziałbym, że piękno naszego kraju jest niepowtarzalne właśnie dzięki nieistnieniu w nim powierzchownej spektakularności. Wielkością tego piękna jest jego spokój, jego poczucie umiaru; tak jakby kraj ten wiedział o swym pięknie, o swej wielkości i nie czuł potrzeby głośnego o

tym oznajmiania. W porównaniu z nim widoki, które znaleźć można w jakiejś tam Afryce czy Ameryce, choć niewątpliwie bardzo podniecające, dla obiektywnego obserwatora będą bez wątpienia mniej cenne z powodu swej zbytnej ostentacji.

Cały ten problem jest w istocie bardzo podobny do tego, który wywołał wiele dyskusji w moich kręgach zawodowych: jaki kamerdyner jest „wielki”? Pamiętam, że na roztrząsaniu tego tematu spędzaliśmy wiele miłych godzin pod koniec dnia, przy kominku w pomieszczeniu kredensowym. Zauważyli Państwo, że powiedziałem „jaki”, a nie „który”; nie było bowiem poważniejszych wątpliwości co do tego, kto był niedoścignionym wzorem dla całego naszego pokolenia. Mam tu, oczywiście, na myśli ludzi takich jak pan Marshall z Charleville House czy pan Lane z Bridewood. Jeżeli mieli Państwo szczęście poznać kogoś takiego, wiecie bez wątpienia, o jakie zalety mi chodzi. Na pewno jednak zrozumieją też Państwo, że wcale niełatwo dokładnie określić ich naturę.

Nawiasem mówiąc, gdy teraz o tym myślę, nie całkiem jest prawdą, że sprawa „kto należy do wielkich kamerdynerów”, nigdy nie podlegała dyskusji. Chodziło mi raczej o to, że nie podlegała ona dyskusji w kręgu największych znawców w naszym zawodzie. Oczywiście, kredens w Darlington, jak każdy inny, musiał gościć pracowników o różnym poziomie intelektualnym, i dobrze pamiętam, jak trudno było mi utrzymać język za zębami, gdy któryś z pracowników - a czasem nawet, co stwierdzam z żalem, członek mojego własnego personelu - zaczynał entuzjastycznie wychwalać ludzi takich jak, powiedzmy, pan Jack Neighbours.

Osobiście nie mam nic przeciwko panu Jackowi Neighboursowi, który zginął, niestety, podczas wojny. Wspominam o nim tylko dlatego, iż jego przypadek był bardzo typowy. W połowie lat trzydziestych jego nazwisko powtarzało się najczęściej w rozmowach toczonych przez służbę we wszystkich wielkich domach naszego kraju. Jak już wspomniałem, również do Darlington Hall docierały wieści o kolejnych osiągnięciach pana Neighboursa, przynoszone przez licznych służących naszych gości, przez co ludzie tacy jak pan Graham i ja musieli z przykrością wysłuchiwać nie kończących się anegdot o tym kamerdynerze. Największą zaś przykrością było widzieć, jak po wysłuchaniu każdej z nich, skądinąd przyzwoici pracownicy kiwali z podziwem głowami, mówiąc przy tym, na przykład: „Ten Neighbours to naprawdę klasa”.

Nie wątpię, że pan Neighbours rzeczywiście miał pewne zdolności organizacyjne; jak słyszałem, zaplanował on kilka wielkich uroczystości w prawdziwie wielkim stylu. Mimo to nigdy nie miał zadatków na uzyskanie tytułu wielkiego kamerdynera. To samo powiedziałbym Państwu w czasach, gdy był u szczytu sławy, podobnie jak mogłem przewidzieć jego upadek po kilku latach największej popularności.

Jakże często okazywało się, że kamerdyner, któregoś dnia okrzyknięty wszędzie największym w swym pokoleniu, po paru latach bynajmniej nim nie był. Tymczasem ci sami służący, którzy kiedyś wychwalali go pod niebiosa, teraz z takim samym brakiem umiaru sławili kolejną osobę, zamiast zastanowić się przez chwilę nad tym, co warte są takie pochopne sądy. Przedmiotem takich rozmów bywał niezmiennie kamerdyner, który znalazł się w centrum uwagi dzięki dość niespodziewanemu zatrudnieniu w jednym ze znanych domów i wyszedł obronną ręką z organizacji jednej czy drugiej wielkiej uroczystości. Zaraz we wszystkich zakątkach kraju rozchodziły się plotki, że zwróciła się do niego ta czy inna znamienita osoba lub że kilka najlepszych domów konkuruje między sobą o jego usługi, proponując mu niesłychane zarobki. A tymczasem po kilku latach ten sam bohater popełnia jakieś uchybienie lub z innego powodu wypada z łask swych chlebobawców, opuszcza dom, w którym zdobył taką sławę, i wszelki słuch o nim ginie - jego dotychczasowi entuzjaści zaś zachwycają się już kimś nowym. Zauważyłem, że najgorsi pod tym względem bywają przyjezdni lokaje, którzy zazwyczaj usilnie starają się osiągnąć jak najszybciej stanowisko kamerdynera. Oni to właśnie twierdzą z największym przekonaniem, że należy wychwalać akurat tego czy innego osobnika, lub wciąż powtarzają, co w sprawach zawodowych orzekł ten czy inny bohater.

Muszę, oczywiście, wyjaśnić natychmiast, że jest wielu lokajów, którzy, będąc pracownikami najwyższej klasy, nigdy nie postępowaliby tak niemądrze. Gdy kilku z nich - takich jak, na przykład, pan Graham, z którym niestety straciłem już kontakt - gromadziło się w naszym kredensie, prowadziliśmy bardzo ciekawe i inteligentne dyskusje na temat wszelkich aspektów naszej profesji. Wieczory te są zresztą dla mnie jednym z miłszych wspomnień z tamtych czasów.

Powróćmy jednak do tego niezwykle interesującego problemu, problemu, nad którym tak chętnie zastanawialiśmy się, gdy naszych wspólnych posiedzeń nie mąciła

czego gadanina ludzi nie mających zrozumienia dla naszego zawodu; a mianowicie „jaki kamerdyner jest wielki?”

O ile mi wiadomo, pomimo toczącej się na ten temat dyskusji, nasze kręgi zawodowe bardzo rzadko podejmowały próby wypracowania oficjalnego orzeczenia w tej sprawie. Jedynym przypadkiem, który teraz mogę sobie przypomnieć, był spór o zasady przyjmowania do Hayes Society. Być może nie słyszeli Państwo o działalności tego Towarzystwa, ponieważ dzisiaj niewiele się już o nim mówi. Jednak w latach dwudziestych i na początku trzydziestych wywierało ono znaczny wpływ na służbę z Londynu i okolicznych hrabstw; tak znaczny, że niektórzy zaczęli uważać, że jego potęga stała się zbyt wielka, i z tego powodu z zadowoleniem przyjęli wieść o jego rozwiązaniu w 1932 czy 1933 roku.

Hayes Society głosiło, że przyjmuje do swego grona „jedynie kamerdynerów najwyższej klasy”. Znaczną część zdobytej potęgi i autorytetu zawdzięczało temu, że w odróżnieniu od innych podobnych organizacji, które pojawiły się i wkrótce poznikały, liczba członków Towarzystwa była zawsze niewielka, co zapewniało głoszonej przez nie zasadzie pewną wiarygodność. Mówiono, że liczba ta nigdy nie przekroczyła trzydziestu osób, najczęściej jednak wahała się wokół dziewięciu czy dziesięciu. Wraz z poufnym charakterem działalności Towarzystwa wytwarzało to wokół niego atmosferę pewnej ekskluzywności, dzięki czemu wydawane przez nie od czasu do czasu orzeczenia w sprawach zawodowych traktowane były niemal tak jak dziesięcioro przykazań.

W jednej jednak sprawie Towarzystwo wypowiadało się niechętnie, a mianowicie w kwestii własnych kryteriów członkostwa. Tymczasem nacisk na ich ujawnienie stale wzrastał, aż wreszcie w odpowiedzi na liczne listy, publikowane w „Kwartalniku Dżentelmena”, Towarzystwo ogłosiło, że wymagane jest przede wszystkim, by „kandydat był zatrudniony w szlachebnym domu”. „Choć oczywiście - brzmiało dalej oświadczenie Towarzystwa - nie jest to bynajmniej wystarczający tytuł do spełnienia wszystkich wymogów”. Według tej deklaracji, domów ludzi interesu czy „nowobogackich” nie uznawano za „szlachebne”; w moim mniemaniu ten wsteczny pogląd podważał wszelkie prawa Towarzystwa do orzekania w sprawach naszego zawodu. W odpowiedzi na kolejne listy do „Kwartalnika” Towarzystwo wyjaśniało, że choć w domach ludzi interesu znaleźć

można wielu świetnych kamerdynerów „musimy przyjąć, że w takim razie domy prawdziwych państwa nie zwlekałyby długo z zatrudnieniem takich osób”. Według Towarzystwa należy kierować się osądem „prawdziwych państwa”, „gdyż w innym przypadku moglibyśmy równie dobrze od razu przyjąć zasady rządzące bolszewicką Rosją”. To wywołało dalsze kontrowersje, a coraz większa liczba nadchodzących listów domagała się od Towarzystwa dokładniejszego określenia zasad przyznawania przez nie członkostwa. Wreszcie w krótkim liście do „Kwartalnika” Towarzystwo orzekło, że - tu postaram się jak najdokładniej przytoczyć te słowa z pamięci - „najważniejszym wymogiem jest, by kandydat posiadał osobistą godność, liczącą z jego stanowiskiem. Brak tej cechy spowoduje odrzucenie kandydata, niezależnie od jego innych osiągnięć, jakiegokolwiek by one były”.

Przy całym mym braku entuzjazmu dla Hayes Society, przyznaję, że to akurat stwierdzenie było oparte na właściwych przesłankach. Gdy przyjrzymy się osobom, które uznajemy za „wielkich” kamerdynerów, a więc takich jak pan Marshall czy pan Lane, zauważymy, iż to, czym odróżniali się oni od kamerdynerów jedynie bardzo biegłych, można najtrafniej określić słowem „godność”.

Tu rodzi się natychmiast następne pytanie: co składa się na tę „godność”? O to właśnie ludzie tacy jak pan Graham czy ja wiedli najciekawsze spory. Pan Graham zawsze obstawał przy twierdzeniu, że „godność” ma tę samą naturę, co piękno kobiety, więc analizowanie jej mija się z celem. Ja zaś byłem zdania, że takie porównanie byłoby krzywdzące dla „godności” osób pokroju pana Marshalla. Ponadto moim głównym zarzutem przeciwko odwoływaniu się do poglądu pana Grahama był wynikający z niego wniosek, że „godność” to coś, co można mieć lub nie mieć z kaprysu natury; jeżeli nie posiada się jej samemu z siebie, dążenie do niej byłoby tym samym, co nadzieja brzydkiej kobiety, że stanie się piękną. A choć mogę się zgodzić, że większość kamerdynerów przekonuje się ostatecznie, że nia ma do takiej „godności” predyspozycji, stanowczo uważam, że można ją osiągnąć świadomym wysiłkiem w pracy zawodowej. Owi „wielcy” kamerdynerzy, tacy jak pan Marshall, dochodzili do niej niewątpliwie przez długie lata pracy nad sobą i skrupulatne gromadzenie doświadczeń. Uważałem więc zawsze, że dla kogoś, kto wierzy w powołanie zawodowe, poglądy pana Grahama są dość defetystyczne.

Tak czy inaczej, pamiętam, że pomimo całego sceptycyzmu pana Grahama, spędziliśmy razem wiele wieczorów, starając się wspólnie sformułować definicję owej „godności”. Do porozumienia nie doszliśmy nigdy, lecz ze swej strony wypracowałem sobie na ten temat pewne poglądy i bez większych zmian zachowałem je do dziś. Chciałbym teraz, jeśli można, pokusić się o określenie, czym jest dla mnie owa „godność”.

Sądzę, że nikt z Państwa nie zaprzeczy, że największymi kamerdynerami naszych czasów byli panowie Marshall z Charleville House oraz Lane z Bridewood. Zgodziliby się też Państwo, że do kategorii tej należałoby jeszcze zaliczyć pana Hendersona z Branbury Castle. Gdy stwierdzę, że pod wieloma względami „wielki” był również mój ojciec, i że to właśnie na podstawie jego kariery usiłowałem zdefiniować pojęcie „godności”, mogę zostać posądzony o stronniczość; mimo to jestem święcie przekonany, że u szczytu swej kariery w Loughborough House był on właśnie uosobieniem „godności”.

Zdaję sobie sprawę, że - obiektywnie rzecz biorąc - mojemu ojcu brak było pewnych cech, jakie powszechnie uważa się za konieczne przymioty wielkiego kamerdynera. Skłonny byłbym jednak twierdzić, iż były to cechy powierzchowne i jedynie dekoracyjne - na pewno miłe dla oka, jak lukier na torcie - lecz pozbawione rzeczywistego znaczenia. Chodzi mi tu o takie zalety jak dobry akcent i opanowanie języka, jak ogólna wiedza z dziedziny sokolnictwa czy hodowli traszek - a więc cechy, którymi mój ojciec, rzeczywiście, nie mógłby się poszczycić. Należy przy tym pamiętać, że ojciec mój należał do starszej generacji kamerdynerów, rozpoczynającej pracę w czasach, gdy owych umiejętności nie uznawano nie tylko za potrzebne, lecz nawet za stosowne dla kamerdynera. Szaleństwo na punkcie elokwencji i wiedzy ogólnej pojawiło się chyba dopiero wraz z moim pokoleniem, zapewne pod wpływem pana Marshalla, gdy mniej utalentowani, usiłując naśladować jego wielkość, nie potrafili odróżnić tego, co powierzchowne, od tego, co rzeczywiście istotne. Według mnie, moje pokolenie zbyt martwi się o te „ozdoby”; Bóg jeden wie, ile czasu i sił stracono na ćwiczenie akcentu i władania językiem, ile godzin na studiowaniu encyklopedii i tomików z serii „Sprawdź swe wiadomości”, gdy czas ten trzeba było przeznaczyć na przyswajanie sobie nauk bardziej podstawowych.

Choć nie można uchylać się od odpowiedzialności za coś, co ostatecznie zależy tylko od nas samych, trzeba stwierdzić, że niektórzy chlebodawcy znacznie przyczynili się do wykształcenia takich tendencji. Mówię to z przykrością, lecz mam wrażenie, że pewne domy, i to również te najznakomitsze, chciały za wszelką cenę konkurować ze sobą we wszystkim, zniżając się nawet do chwalenia się przed gośćmi różnymi drobnymi osiągnięciami swych kamerdynerów. Słyszałem o wielu przykładach pokazywania kamerdynera na przyjęciu i traktowania go jak jakiejś tresowanej małpy. W jednym zaś pożałowania godnym przypadku, w pewnym domu, czego sam byłem świadkiem, ulubioną rozrywką stało się dzwonienie po kamerdynera, by następnie wypytywać go, kto wygrał derby w tym czy innym roku, tak jakby był mistrzem pamięci z występów rewiowych.

Jak już powiedziałem, mój ojciec należał do pokolenia, które, na szczęście, wolne było od takich wypaczeń naszego zawodu. Zapewniam, że pomimo swej ograniczonej umiejętności posługiwania się językiem angielskim i słabej wiedzy ogólnej, nie tylko znał się na wszystkim, co dotyczyło zarządzania domem, lecz również osiągnął w sile wieku ową „godność licującą ze stanowiskiem” - wedle stwierdzenia Hayes Society. Jeżeli więc uda mi się teraz opisać, dzięki czemu ojciec mój odznaczał się taką dystynkcją, przekażę Państwu w ten sposób, co rozumiem pod pojęciem „godności”.

Mój ojciec zawsze chętnie opowiadał pewną historię. Pamiętam, że powtarzał ją gościom, gdy byłem jeszcze dzieckiem i potem, gdy pod jego kierunkiem zaczynałem pracować jako młodszy lokaj. Pamiętam, że opowiedział mi ją również wtedy, gdy przyjechałem go odwiedzić po raz pierwszy już jako kamerdyner - pracowałem wtedy w dość skromnym domu państwa Muggeridge w Allshot, w hrabstwie Oksford. Historia ta musiała być więc bardzo bliska jego sercu. Pokolenie mojego ojca, odmiennie niż moje, nie miało zwyczaju omawiać i analizować swych spraw; wydaje mi się, że ciągle powtarzanie tej opowieści było jedyną stosowaną przez ojca formą refleksji o swym zawodzie - a przez to owa anegdota staje się kluczem do zrozumienia jego poglądów.

Historia ta, jak się zdaje prawdziwa, dotyczyła pewnego kamerdynera, który wraz ze swym chlebodawcą wyjechał do Indii, gdzie przez wiele lat zarządzał służbą tubylczą z równie świetnym skutkiem, co przedtem w Anglii. Pewnego popołudnia kamerdyner ten wszedł do jadalni, by sprawdzić, czy wszystko jest już gotowe do podania obiadu, gdy

wtem zobaczył tygrysa, wyciągniętego leniwie pod stołem. Po cichutku wysunął się z jadalni, pieczołowicie pozamykał wszystkie drzwi i spokojnie udał się do salonu, gdzie jego chlebowca pił herbatę z kilkoma gośćmi. Tam dyskretnym kasznięciem zwrócił na siebie uwagę chlebowca, a następnie szepnął mu do ucha: „Bardzo przepraszam, sir, lecz zdaje się, że w jadalni znajduje się tygrys. Czy pozwoli pan użyć dubeltówki?”

Legenda głosi dalej, że po chwili do uszu pana i jego gości doszedł huk dwóch wystrzałów. Gdy po jakimś czasie kamerdyner znów pojawił się w salonie, by dolać gościom świeżej herbaty, chlebowca zapytał go, czy wszystko w porządku.

- Dziękuję bardzo, doskonale, sir - padła odpowiedź. - Obiad zostanie podany o zwykłej porze i mam przyjemność oznajmić, że do tego czasu nie będzie już ani śladu po ostatnim wydarzeniu.

Ojciec zawsze śmiał się, wypowiadając te słowa - „do tego czasu nie będzie już ani śladu po ostatnim wydarzeniu” - i kiwał głową z podziwem. Nigdy nie twierdził, by znał nazwisko tego kamerdynera, czy kogokolwiek, kto go znał; zawsze jednak zapewniał, że wszystko to wydarzyło się dokładnie tak, jak opowiadał. Tak czy inaczej, to, czy jest to historia prawdziwa, czy nie, nie ma tu większego znaczenia; jest ona ważna dlatego, że ukazuje, jakie były ideały mojego ojca. Gdy bowiem rozmyślam teraz o jego karierze, odkrywam, jak bardzo przez wszystkie lata swej pracy starał się dorównać jakoś kamerdynerowi ze swej opowieści - co według mnie udało mu się osiągnąć u szczytu kariery. Choć na pewno nigdy nie miał okazji natknąć się na tygrysa siedzącego pod stołem, to gdy myślę o tym, co sam widziałem lub słyszałem, potrafiłbym wymienić przynajmniej kilka przykładów, w których wykazał się w pełni zaletami kamerdynera ze swej opowieści.

Jeden z takich przypadków został mi opowiedziany przez pana Davida Charlesa ze spółki „Charles i Redding”, który za czasów lorda Darlingtona bywał w Darlington Hall. Pewnego wieczoru, gdy mu usługiwałem, pan Charles powiedział mi, że przed kilku laty poznał mojego ojca, goszcząc w Loughborough House - rezydencji przemysłowca Johna Silversa, u którego mój ojciec służył przez piętnaście lat, będąc u szczytu swej kariery. Pan Charles wyznał mi, że nigdy nie mógł zapomnieć mojego ojca, a to z powodu następującego wydarzenia.

Pewnego popołudnia - o czym mówił z żalem i wstydem - pan Charles pozwolił sobie na wprawienie się w stan nietrzeźwości w towarzystwie dwóch innych gości - panów, których będę nazywał Smith i Jones, gdyż wciąż pamięta się o nich w pewnych kręgach. Po około godzinnym spożywaniu napojów alkoholowych owi panowie postanowili wybrać się na popołudniową przejażdżkę po okolicznych wioskach - samochód był jeszcze wówczas pewną atrakcją. Przekonali pana Charlesa, by jechał wraz z nimi, a ponieważ kierowca miał wolne, prowadzenie samochodu zlecieli memu ojcu.

Zaraz po wyruszeniu panowie Smith i Jones, choć obaj już w średnim wieku, zaczęli zachowywać się jak sztubacy, wyśpiewując ordynarne przyśpiewki i wygłaszając jeszcze bardziej ordynarne uwagi o wszystkim, co widzieli z okien samochodu. Co więcej, panowie ci zauważyli na mapie trzy znajdujące się niedaleko wioski - Morphy, Saltash i Brigoon. Nie jestem pewien, czy właściwie podaję te nazwy, lecz panom Smithowi i Jonesowi przypomniały one o występach rewiowych grupy Murphy, Saltman i Brygida Kotka, o której Państwo może też coś słyszeli. Zwróciwszy uwagę na ten dziwny zbieg okoliczności, panowie zapalali chęcią odwiedzenia tych trzech wiosek - niby to na cześć wspomnianych artystów. Jak opowiadał pan Charles, ojciec mój posłusznie przejechał już przez pierwszą wioskę i właśnie dojeżdżał do drugiej, gdy nagle pan Smith czy pan Jones zauważył, iż jest to Brigoon - czyli trzeci, a nie drugi człon nazwy grupy. Ze złością rozkazali ojcu natychmiast zawrócić wóz, by przejechać przez wioski „we właściwej kolejności”. Pomimo że powodowało to nadłożenie drogi, mój ojciec, według pana Charlesa, przyjął to polecenie jako coś całkowicie słusznego i w ogóle nadal zachowywał się z nienaganną uprzejmością.

Wówczas panowie Smith i Jones zwrócili uwagę na mego ojca, będąc zaś niewątpliwie znudzeni widokiem za oknem zaczęli zabawiać się wykrzykiwaniem niepochlebnych uwag dotyczących jego „pomyłki”. Pan Charles wspominał, że był zdziwiony, jak mojemu ojcu udało się nie okazać najmniejszego nawet przejawu zażenowania czy gniewu i dalej prowadzić samochód, podczas gdy jego twarz zdradzała jedynie osobistą godność, połączoną z gotowością usłużenia swym pasażerom. Spokój ten miał jednak potrwać niedługo. Znudzony się rzucaniem obelg na mojego ojca za jego plecami, obaj panowie zaczęli rozmawiać o swym gospodarzu - czyli chlebodawcy ojca, panu Johnie Silversie. Ich wypowiedzi stały się w końcu do tego stopnia obelżywe, że pan

Charles - tak przynajmniej twierdził - poczuł się zmuszony napomknąć o niewłaściwości takiej rozmowy. Jego uwaga spotkała się z tak silnym sprzeciwem, że pan Charles lękał się nie tylko, że może stać się kolejnym przedmiotem obmowy tych panów, lecz wręcz o to, że może być przez nich napastowany fizycznie. W tejże jednak chwili, usłyszawszy jakąś szczególnie podłą insynuację pod adresem swego chlebodawcy, mój ojciec gwałtownie zatrzymał samochód. To właśnie, co następnie się wydarzyło, wywarło na panu Charlesie tak niezapomniane wrażenie.

Tylne drzwi auta otwarły się i ukazał się za nimi mój ojciec. Stał kilka kroków od pojazdu, wbijając wzrok we wnętrze samochodu. Według opisu pana Charlesa, wszystkich trzech pasażerów ogarnęło przemożne wrażenie ogromnej siły fizycznej mego ojca. Trzeba Państwu wiedzieć, że był to człowiek mierzący około metra dziewięćdziesięciu wzrostu, jego postawa zaś, choć bardzo przyjazna podczas wypełniania obowiązków służbowych, mogła stać się niezwykle groźna w innych okolicznościach. Jak dalej opowiadał pan Charles, mój ojciec nie zdradzał żadnych oznak gniewu. Zdawało się, że ot tak otworzył tylko drzwi. Jednak jego postać, wznosząca się groźnie nad pasażerami, zdawała się udzielać tak dobitnego napomnienia, a zarazem emanowało z niej takie poczucie siły, że dwaj pijani towarzysze pana Charlesa aż skulili się ze strachu, jak mali chłopcy przyłapani na wykradaniu jabłek z cudzego sadu.

A ojciec mój stał tak przez jakiś czas w milczeniu, cały czas trzymając drzwi otwarte. Wreszcie pan Smith lub pan Jones zauważył: „To już nie jedziemy dalej?”

Ojciec nadal stał w milczeniu, nie proponując, by wysiedli z samochodu, lecz nie dając też poznać, jakie są jego życzenia czy zamiary. Doskonale potrafię sobie wyobrazić, jak musiała w tej chwili wyglądać jego ciemna, surowa sylwetka, obramowana drzwiami samochodu, zupełnie nie pasującego do spokojnego krajobrazu Hertfordshire, który roztaczał się za jego plecami. Jak wspomina pan Charles, poczucie winy zaczęło ogarniać też i jego, choć nie brał przecież udziału w owych nieprzystojnych wybrykach. Milczenie ciągnęło się bez końca, aż wreszcie któryś z dwóch panów zdobył się na cichą uwagę, że „chyba nieco przeholowaliśmy. To już się nie powtórzy”.

Chwila zastanowienia - po czym mój ojciec delikatnie zamknął drzwi, powrócił za kierownicę i kontynuował objazd owych trzech wiosek. Został on dokończony w całkowitym niemal milczeniu.

Gdy teraz wspominałem to zdarzenie, przypomniał mi się jeszcze jeden epizod z tego samego okresu kariery mego ojca, epizod, który może jeszcze lepiej ukazuje ową nabytą przez niego, szczególną cechę. Muszę tu dodać, że nie byłem jedynakiem; gdy byłem małym chłopcem, mój starszy brat Leonard zginął w wojnie burskiej. Oczywiście, musiał być to wielki cios dla ojca, który w dodatku nie mógł pocieszać się - jak to w takich okolicznościach czynią ojcowie - że syn chwalebnie oddał życie za króla i ojczyznę. Brat mój zginął bowiem podczas szczególnie mało chwalebnej operacji. Był to nie tylko całkowicie niegodny Anglika atak na cywilne osiedle burskie; wszystko wskazywało na to, że zupełny brak odpowiedzialności wykazało też dowództwo, gwałcąc wiele podstawowych elementów zabezpieczenia. Tak więc śmierć tych ludzi - w tym i mojego brata - była z gruntu bezsensowna. Ze względu na to, co mam zamiar dalej opowiedzieć, nie byłoby właściwe bardziej szczegółowo opisywać tej operacji. Państwo zapewne i tak domyślają się, o co chodzi, sprawa ta, swego czasu dość głośna, nasiliła jeszcze i tak już istniejące kontrowersje na temat całej wojny burskiej. Wysuwano żądania usunięcia, a nawet postawienia przed sąd wojskowy winnego generała, lecz armia wybroniła go jakoś i pozwolono mu dokończyć kampanię. Nie wszyscy jednak wiedzą, że po zakończeniu wojny tenże generał został dyskretnie zwolniony ze służby i zajął się biznesem, a konkretnie handlem z Afryką Południową. Opowiadam o tym wszystkim dlatego, że około dziesięciu lat później, a więc gdy rany po stracie syna dopiero się zabiły, mój ojciec został wezwany do gabinetu pana Johna Silversa, by dowiedzieć się, że tenże sam osobnik - nazwę go po prostu „generałem” - jest spodziewany za kilka dni w Loughborough na przyjęciu, podczas którego chlebodawca ojca miał nadzieję przygotować grunt pod korzystną transakcję finansową. Pan Silvers zdawał sobie jednak sprawę, jakie znaczenie będzie miała ta wizyta dla mego ojca, i zaproponował mu kilkudniowy urlop na czas pobytu generała.

Rzecz jasna, ojciec mój czuł do generała najwyższą odrazę; wiedział jednak również, że sukces zamierzeń jego chlebodawcy zależał od powodzenia mającego się odbyć przyjęcia - a sprawa była niełatwa, ponieważ zapowiedziano przyjazd niemal dwudziestu osób. Ojciec odparł więc, że choć jest niezmiernie wdzięczny panu Silversowi za tak wielką wyrozumiałość, będzie jednak w stanie zapewnić zwykłą jakość swoich usług.

Jak się okazało, ojcu dane było wycierpieć więcej, niż mógł się spodziewać. Po pierwsze, złudna okazała się nadzieja, że osobiste poznanie generała wzbudzi w ojcu uczucie szacunku czy sympatii, co może złagodziłoby jego niechęć do tej osoby. Generał był tłustym, mało przystojnym mężczyzną, grubiańskim w obejściu, przemawiającym typowym dla wszystkich wojskowym językiem. Co gorsza, z powodu choroby nie przyjechał jego lokaj. Również inny gość nie miał osobistej służby, sytuacja więc stawała się doprawdy bardzo skomplikowana. Trzeba było rozstrzygnąć, komu usługiwać będzie kamerdyner, a komu zwykły lokaj. Ojciec, zdając sobie sprawę z ważności chwili, natychmiast zgłosił chęć zajęcia się generałem, choć skazywało go to na cztery dni przebywania w najbliższej styczności ze zniechęconym przez siebie człowiekiem. Tymczasem generał, nieświadom oczywiście uczuć mojego ojca, korzystał z każdej okazji, by opowiadać mu o swych osiągnięciach militarnych - tak jak to zwykło czynić wielu wojskowych. A pomimo to ojciec mój tak świetnie potrafił skryć swe uczucia, tak wspaniale wypełniał swe obowiązki, że generał wyjeżdżając pogratulował panu Silversowi doskonałego kamerdynera i pozostawił dla ojca niespotykane wysoki napiwek - który mój ojciec natychmiast przeznaczył na cele dobroczynne.

Zgodzą się Państwo, mam nadzieję, iż w tych dwóch zdarzeniach z kariery zawodowej mego ojca - których autentyczność sprawdziłem - jest on wręcz uosobieniem tego, co Hayes Society rozumiało jako „godność licującą ze stanowiskiem”. Porównanie mojego ojca w takich chwilach z osobami pokroju pana Jacka Neighboura, z jego nawet najbardziej udanymi sztuczkami technicznymi, doskonale unaocznia różnicę między kamerdynerem „wielkim” a zaledwie kompetentnym. Zrozumiemy też lepiej, dlaczego ojciec mój tak lubił owo opowiadanie o kamerdynerze, którego nie przestraszył tygrys pod stołem w jadalni: instynktownie wyczuwał, że gdzieś w tej opowieści spoczywa ziarno prawdy o tym, czym jest „godność”. Proszę pozwolić mi tak to uściślić: „godność” jest nieodłącznie związana ze zdolnością kamerdynera do zachowywania niewzruszonej postawy zawodowej. Zły kamerdyner to taki, który z byle powodu zastępuje postawę zawodową postawą prywatną. Dla takich osób zawód kamerdynera jest czymś w rodzaju roli w pantomimie; najmniejszy poślizg, najdrobniejsze potknięcie i już spada maska, za którą ukrywał się aktor. Wielki kamerdyner jest taki dlatego, że potrafi dopasować się i to całkowicie do swej roli; nie wytrąca go z niej nawet najbardziej nieprzewidziane, niepo-

kojące czy denerwujące wydarzenia. Nosi swą postawę zawodową tak, jak prawdziwy dżentelmen swój garnitur; nie pozwoli, by ktokolwiek czy cokolwiek odarło go z niej przy innych; odkładają wtedy i tylko wtedy, gdy sam tego chce, i zawsze wtedy jedynie, gdy jest sam. Jak już powiedziałem, od tego właśnie zależy jego „godność”.

Mówi się czasem, że prawdziwi kamerdynerzy istnieją tylko w Anglii. W innych krajach są tylko służący, niezależnie od przyznawanego im tytułu. Skłonny jestem zgodzić się z tą opinią. Ludzie z kontynentu nie potrafią być kamerdynerami, ponieważ są jako rasa niezdolni do takiego okiełznania uczuć, jakie wyćwiczył w sobie naród angielski. Ludzie z kontynentu - oraz, zgodzą się Państwo, w znacznej mierze wszystkie ludy celtyckie - zazwyczaj nie panują nad sobą w chwilach silnego wzruszenia, a więc nie potrafią we wszelkich okolicznościach zachować postawy ściśle zawodowej. Powracając do mej poprzedniej metafory - niech mi Państwo wybaczą tak obcesowe sformułowanie - są oni jak ktoś, kto z najmniejszego powodu drze na sobie garnitur i koszulę i biega jak szalony, wydając okrzyki. Jednym słowem „godność” jest im obca. My, Anglicy, mamy w tym względzie przewagę nad cudzoziemcami i dlatego właśnie, gdy myśli się o wielkim kamerdynerze, jest on już z definicji Anglikiem.

Oczywiście, mogą Państwo zarzucić mi, podobnie jak czynił to zawsze pan Graham, gdy wygłaszałem takie sądy podczas naszych przyjemnych dyskusji przy kominku, że według mnie wielkiego kamerdynera poznaje się dopiero, gdy zostanie on poddany jakiejś ciężkiej próbie. Tymczasem panów Marshalla i Lane'a uznajemy za wielkich, choć mało kto miał okazję oglądać ich w takich sytuacjach. Muszę tu oddać słusność panu Grahamowi; mogę jedynie powiedzieć, że po tak długim uprawianiu tego zawodu odczuwa się już instynktownie profesjonalną wartość danej osoby bez konieczności sprawdzania jej w chwilach trudnych. Co więcej, gdy ma się szczęście poznać wielkiego kamerdynera, nie odczuwa się wcale sceptycznej potrzeby poddawania go próbie, gdyż trudno sobie wyobrazić sytuację, która mogłaby naruszyć tak silnie wykształconą postawę zawodową. Wydaje mi się, że to właśnie dzięki temu pasażerowie mego ojca, choć zamroczeni alkoholem, umilkli zawstydzeni owego niedzielnego popołudnia wiele lat temu. Wielki kamerdyner podobny jest w tym względzie do angielskiego krajobrazu, który widziałem dziś rano: w jego obecności po prostu wie się, że jest wielki.

Zdaję sobie sprawę, że zawsze będą tacy, którzy uznają każdą próbę analizy wielkości za pozbawioną sensu. „Wie się, że ktoś to ma, i wie się, że ktoś tego nie ma, i tyle”, mawiał pan Graham. Ja uważam jednak, że nie można sobie pozwolić na taki fatalizm w tym względzie. Jest sprawą naszej odpowiedzialności zawodowej rozmyślać o tych sprawach - po to, by każdy z nas dążył do osiągnięcia takiej „godności”.

Dzień drugi, rano

Salisbury

Nigdy nie spało mi się dobrze w obcych łóżkach, więc po krótkim tylko i nieco niespokojnym śnie obudziłem się około godziny temu. Było jeszcze ciemno, a pamiętając, że mam przed sobą cały dzień jazdy, starałem się usnąć z powrotem. Okazało się to jednak niemożliwe, więc gdy wreszcie postanowiłem wstać, z powodu panujących ciemności musiałem zapalić światło elektryczne, by ogolić się nad umywalką. Za to wyłączwszy je po zakończeniu ablucji, zauważyłem, że spoza krawędzi zasłon prześwituje już światło poranka.

Gdy przed chwilą rozsunałem zasłony, światło na dworze było jeszcze bardzo blade, a coś jakby lekka mgielka zakrywało przed moim wzrokiem piekarnię i aptekę po drugiej stronie ulicy. I rzeczywiście, spojrzawszy tam, gdzie ulica biegła ku mostkowi, zobaczyłem wznoszącą się z rzeki mgłę, która niemal całkowicie skrywała jeden z filarów. Wokół nie było widać żywej duszy, a poranną ciszę zakłócał jedynie dochodzący z daleka, miarowy stukot młotka i czyjeś kaszlnięcia w jednym z pokojów hotelu. Gospodyni jeszcze nie wstała, nie ma więc większych szans na to, by można było dostać śniadanie przed zapowiedzianą godziną siódmą trzydzieści.

Czekając w tej ciszy, aż otaczający mnie świat wstanie ze snu, przyłapuję się na tym, że znów zastanawiam się nad niektórymi ustępami listu panny Kenton. Przy okazji, powinienem już wcześniej wyjaśnić, dlaczego nazywam ją ciągle „panną Kenton”, gdy tymczasem jest ona już od dwudziestu lat „panią Benn”. Ponieważ jednak znałem ją bliżej tylko za jej czasów panieńskich i nie widziałem jej ani razu, od kiedy wyjechała do

West Country, by stać się tam „panią Benn”, wybaczą mi chyba Państwo tę niedokładność, że mówię o niej tak, jak nazywała się, gdy ją znałem, i jak nazywałem ją w myślach przez te wszystkie lata. Oczywiście, list od niej dał mi jeszcze jeden powód, by nazywać ją dalej „panną Kenton”, jako że wydaje się, niestety, że zakończył się też małżeński etap w jej życiu. Co prawda, jak można się domyślić, list nie podawał żadnych szczegółów na ten temat. Mimo to zawierał on jednoznaczne stwierdzenie, że panna Kenton wyprowadziła się z domu swego męża w Helston i zamieszkuje obecnie u znajomej w pobliskiej wiosce Little Compton.

To, oczywiście, wielka tragedia, że małżeństwo jej rozpadło się. Musi zapewne gorzko żałować podjętych w tak odległej przeszłości decyzji - decyzji, które spowodowały, że jest teraz samotną, opuszczoną osobą, dobrze już w średnim wieku. Łatwo więc zrozumieć, że będąc w takim stanie ducha mogłaby znaleźć prawdziwe ukojenie właśnie w powrocie do Darlington Hall. Co prawda, w liście ani razu nie wyznaje otwarcie chęci powrotu; wynika to jednak jasno z poszczególnych fragmentów listu, tak bardzo tętnących tęsknotą za dawnymi czasami w Darlington Hall. Rzecz jasna, panna Kenton nie może się łudzić, że dzięki swemu powrotowi nadrobi stracone lata; moim pierwszym obowiązkiem będzie jej to uświadomić, gdy tylko się spotkamy. Będę musiał wytłumaczyć jej, że teraz jest inaczej - że za naszego życia nie wrócą już czasy, gdy pracowało się z bardzo licznym personelem, gotowym na każde skinienie. Jednak panna Kenton jest osobą inteligentną i sama to już zapewne rozumiała. Biorąc to wszystko pod rozwagę, muszę stwierdzić, że powrót do Darlington Hall i możliwość doczekania do emerytury mogłyby bez wątplenia stanowić dla niej ucieczkę od poczucia pustki dominującego w jej obecnym życiu.

No i oczywiście - lecz już z mojego, służbowego punktu widzenia - jest zupełnie jasne, że mimo wieloletniej przerwy w wypełnianiu przez nią obowiązków służbowych obecność panny Kenton byłaby doskonałym rozwiązaniem naszych obecnych kłopotów w Darlington Hall. „Kłopoty” to może zresztą przesadne określenie tych bardzo drobnych uchybień z mojej strony; moje obecne działanie ma właśnie na celu zapobieżenie wystąpieniu prawdziwych kłopotów. Tak, to prawda, że te drobne uchybienia z początku nieco mnie martwiły; jednak gdy po jakimś czasie udało mi się postawić właściwą diagnozę, iż nie są one niczym innym, jak tylko objawami najzwyczajszego niedoboru

personelu, przestałem zaprzętać sobie nimi głowę. Przyjazd panny Kenton, jak już powiedziałem, zakończyłby sprawę ostatecznie.

Powróćmy jednak do listu. Miejscami - co dość niepokojące - przebija z niego prawie że rozpacz z powodu jej obecnego położenia. Jedno ze zdań rozpoczyna się następująco: *Choć nie mam pojęcia, jak uda mi się użytecznie wypełnić resztę mego życia...* I gdzie indziej: *Reszta mego życia jest teraz dla mnie jedną wielką pustką.* Jednak dominującym nastrojem listu, jak już wspominałem, jest nostalgia. Pisze w pewnym miejscu:

Całe to wydarzenie przywiodło mi na myśl Alice White. Czy Pan ją pamięta? Nie sądzę, by mógł Pan o niej zapomnieć. Mnie w każdym razie nadal prześladują te jej samogłoski i te jedyne w swoim rodzaju, niegramatyczne zdania, które tylko ona mogła wymyślić! Czy wie Pan może, co się z nią teraz dzieje?

Nie wiem, lecz muszę przyznać, że dość rozbawiło mnie wspomnienie służącej, z którą mieliśmy tyle kłopotu, a która jednak okazała się potem jedną z najbardziej wiernych i oddanych. W jeszcze innym fragmencie listu pisze panna Kenton:

Tak lubiłam ten widok z okien pokojów sypialnych na drugim piętrze: trawnik i ciągnące się w oddali wzgórza. Czy dalej nic się nie zmieniło? Przyznam się Panu, że w letnie wieczory widok ten był tak porywający, że trwonilałam tam wiele cennych minut, stojąc zupełnie oczarowana przy jednym z okien.

A potem dodaje:

Proszę mi wybaczyć, jeśli to dla Pana bolesne wspomnienie, lecz nigdy nie zapomnę chwili, gdy razem staliśmy w oknie i patrzyliśmy, jak Pana ojciec chodzi tam i z powrotem przed altaną, patrząc w ziemię, jakby chciał znaleźć tam jakiś cenny, zgubiony klejnot.

Nie spodziewałem się, że panna Kenton równie dobrze jak ja pamięta to wspomnienie sprzed ponad trzydziestu lat. Chyba rzeczywiście musiało się to wydarzyć któregoś letniego wieczoru, gdyż pamiętam wyraźnie, że wszedłem po schodach na drugie piętro i ujrzałem przed sobą rząd pomarańczowych promieni zachodzącego słońca, które rozświetlały półmrok korytarza, wpadając doń przez otwarte drzwi pokoi. Przechodząc wzdłuż tych sypialni, w jednej z nich na tle okna dostrzegłem postać panny Kenton, która odwróciła się i zawołała mnie cicho. Gdy wszedłem, panna Kenton już zwróciła się z powrotem ku oknu. Pod nami padał na trawnik cień topoli. Po prawej stronie grunt podnosił się lekko ku skarpie, na której stała altana, i tam właśnie dostrzegłem mego ojca, chodzącego tam i z powrotem w sposób zdradzający zaniepokojenie - w samej rzeczy, jak ujęła to panna Kenton, jakby chciał znaleźć tam jakiś cenny, zgubiony klejnot".

Jest kilka ważnych powodów, dla których wspomnienie to pozostało w mej pamięci - zaraz to wyjaśnię. Co więcej, gdy zastanawiam się teraz nad tym, nie jest niczym dziwnym, że wywarło ono równie wielkie wrażenie na panie Kenton, jeżeli pamięta się, jak układały się jej stosunki z moim ojcem w pierwszych latach jej pobytu w Darlington Hall.

Panna Kenton i mój ojciec pojawili się w pałacu w tym samym mniej więcej czasie - to jest wiosną roku 1922. Właśnie w Darlington Hall zabrakło równocześnie gospodyni i młodszego kamerdynera. Osoby dotychczas sprawujące te obowiązki postanowiły się pobrać i porzuciły pracę. Zawsze uważałem takie związki za poważne zagrożenie dla porządku całego domu. Zawód, jaki sprawiła mi owa para, bynajmniej nie był ostatnim tego rodzaju. Oczywiście, dobry kamerdyner powinien być przygotowany na takie rzeczy ze strony pokojówek i lokajów, lecz małżeństwa pomiędzy pracownikami wyższego szczebla mogą wywierać bardzo szkodliwy wpływ na pracę całego personelu. Rzecz jasna, trudno kogokolwiek winić za to, że dwie osoby spośród służby zapalają do siebie uczuciem i postanowią się pobrać; jednak najbardziej uprzykrzone są dla mnie te służące - a szczególnie często są nimi gospodynie - które, pozbawione prawdziwego powołania zawodowego, wciąż zmieniają miejsce zatrudnienia, głównie w pogoni za miłośkami. Takie osoby są hańbą dla wszystkich przedstawicieli naszego zawodu.

Niech mi będzie wolno jednak stwierdzić natychmiast, że mówiąc to, bynajmniej nie mam na myśli panny Kenton. To prawda, że i ona porzuciła pracę, by wyjść za mąż, lecz ręczę, że była pracownikiem sumiennym i zawsze na pierwszym miejscu stawiała swe obowiązki służbowe.

Zdaje się jednak, że odszedłem od głównego wątku. Opowiadałem Państwu, jak to musieliśmy zatrudnić równocześnie gospodynię i młodszego kamerdynera. Do objęcia tego pierwszego stanowiska pojawiła się - z wyjątkowo dobrymi referencjami, jak sobie przypominam - właśnie panna Kenton. Tak się złożyło, że w tym samym czasie, po śmierci swego chlebodawcy, pana Johna Silverssa, ojciec mój zakończył okres świetnej służby w Loughborough House i trochę trudno było mu znaleźć pracę i mieszkanie. Choć był oczywiście nadal profesjonalistą najwyższej klasy, miał już ponad siedemdziesiąt lat, a jego zdrowie było mocno nadwątlone przez artretyzm i inne schorzenia. Nie było więc wcale pewne, czy mógłby konkurować z młodszymi od siebie, a tak jak on poszukującymi pracy, wysoko wykwalifikowanymi kamerdynerami nowego pokolenia. Jednak poproszono go, by zgodził się udzielić Darlington Hall swego wielkiego doświadczenia i dystynkcji.

Pamiętam, że pewnego ranka wkrótce po przyjęciu do pracy mojego ojca i panny Kenton siedziałem w mym biurze nad papierkową robotą, gdy usłyszałem pukanie do drzwi. Zdziwiłem się nieco, ponieważ drzwi otwarły się i weszła do pokoju panna Kenton, zanim jeszcze zdążyłem ją zaprosić do środka. W ręce trzymała wielki wazon z kwiatami.

- Panie Stevens, pomyślałam sobie, że rozjaśnią nieco pański salonik - rzekła z uśmiechem.

- Słucham panią, panno Kenton?

- Jaka szkoda, panie Stevens, że gdy słońce tak jasno świeci na dworze, w pana pokoju jest ciemno i zimno. Pomyślałam sobie, że może dzięki tym kwiatkom będzie tu trochę przytulniej.

- To bardzo miło z pani strony, panno Kenton.

- Co za szkoda, że nie zagłąda tu słońce. I ściany chyba są wilgotne, prawda, panie Stevens?

- To zapewne tylko efekt kondensacji, panno Kenton - odparłem i odwróciłem się z powrotem do mych rachunków.

Postawiła wazon na stole naprzeciw mnie, a potem, rozejrzawszy się po mym biurze, stwierdziła:

- Jeśli pan chce, panie Stevens, mogę panu przynieść tu parę wycinanek.

- Doceniam pani uprzejmość, panno Kenton. Nie jest to jednak pokój przeznaczony dla rozrywki. Jestem zadowolony, że rzeczy rozpraszające uwagę zostały tu ograniczone do minimum.

- Ale przecież nie musi tu być tak surowo i bezbarwnie.

- Jak dotąd, panno Kenton, pokój ten służył mi doskonale; oczywiście doceniam pani troskę. A korzystając z okazji, że już tu pani jest, chciałbym poruszyć z panią pewną drobną sprawę.

- Ach tak, panie Stevens?

- Tak, panno Kenton, pewną całkiem drobną sprawę. Wczoraj przechodziłem akurat koło kuchni, gdy usłyszałem, że zwraca się pani do kogoś po imieniu.

- Czy tak, panie Stevens?

- Tak, panno Kenton, tak właśnie. Słyszałem, że wielokrotnie wołała pani „William”. Czy mógłbym się dowiedzieć, do kogo zwracała się pani tym imieniem?

- No jak to, panie Stevens, do pana ojca. Nie ma przecież, zdaje się, innego Williama w tym domu.

- To bardzo pospolite uchybienie - odparłem z lekkim uśmiechem. - Czy mogę jednak prosić panią, panno Kenton, by na przyszłość zwracała się do mego ojca per „panie Stevens”? Jeśli natomiast będzie mówiła pani o nim do osób trzecich, czy zechciałaby pani nazywać go „pan Stevens starszy”, by w ten sposób odróżnić go od mojej osoby? Byłbym pani bardzo wdzięczny, panno Kenton.

To powiedziawszy powróciłem znów do papierów, jednak ku mojemu zdumieniu panna Kenton wcale nie opuściła mego pokoju.

- Proszę mi wybaczyć, panie Stevens... - powiedziała po chwili.

- Tak, panno Kenton.

- Obawiam się, że nie zrozumiałam dokładnie tego, co pan mówi. W przeszłości byłam przyzwyczajona zwracać się do niższej służby po imieniu i nie widzę powodu, dlaczego miałabym teraz czynić inaczej.

- To dość zrozumiały błąd, panno Kenton. A jednak, jeśli zastanowi się pani nad tym przez chwilę, zauważy pani być może niewłaściwość sytuacji, w której ktoś taki jak pani mówi per „ty” do kogoś pokroju mego ojca.

- Nadal nie rozumiem, do czego pan zmierza, panie Stevens. Mówi pan „ktoś taki jak ja”, lecz o ile wiem, piastuję tu stanowisko gospodyni, pana ojciec zaś jest jedynie młodszym kamerdynerem.

- Rzeczywiście, jak pani stwierdziła, ma on tytuł młodszego kamerdynera. Dziwię się jednak, że pani zdolność obserwacji nie ujawniła jej, że w rzeczywistości jest on kimś więcej. I to znacznie.

- Niewątpliwie musiałam być niezwykle nieuważna, panie Stevens. Zauważyłam jedynie, że pana ojciec jest kompetentnym młodszym kamerdynerem i w związku z tym zwracałam się do niego w odpowiedni sposób. Musiało to być dla niego wielce uwłaczające, że tak zwracała się do niego osoba mego pokroju.

- Panno Kenton, dorozumiewam się z pani tonu, że po prostu nie przyjrzała się pani baczniej memu ojcu. Gdyby to pani zrobiła, natychmiast zrozumiałaby, dlaczego osobie pani wieku i pozycji nie wypada nazywać go po imieniu.

- Panie Stevens, nie jestem może gospodynią od dawna, lecz mimo to, dzięki moim zdolnościom, zdążyłam już zasłużyć na tym stanowisku na bardzo pochlebne opinie.

- Ani przez chwilę nie podaję w wątpliwość pani kompetencji, panno Kenton. Jednak fakt, że ojciec mój jest osobą niezwykle dystygowaną, od której mogłaby pani nauczyć się bardzo wiele, gdyby była pani bardziej spostrzegawcza, na pewno nie powinien był umknąć pani uwadze.

- Bardzo panu dziękuję za tę radę, panie Stevens. Proszę mi więc powiedzieć, czegoż to takiego wspaniałego mogę nauczyć się obserwując pańskiego ojca?

- Panno Kenton, przecież jest to oczywiste dla każdego, komu tylko Bóg raczył dać wzrok.

- Czyż jednak nie ustaliliśmy, że jestem w tym względzie szczególnie upośledzona?

- Panno Kenton, jeśli wydaje się pani, że już w pani wieku osiągnęła pani doskonałość w swym zawodzie, nigdy nie uda się pani naprawdę wznieść się na te wyżyny, do

których jest pani niewątpliwie zdolna. Mógłbym stwierdzić, na przykład, że nadal nie jest pani zaznajomiona ze wszystkimi sprawami tego domu.

To, zdaje się, ostudziło nieco zapęły panny Kenton i rzeczywiście przez chwilę wyglądała na zmiesznaną. Potem rzekła:

- Zaraz po przyjeździe miałam pewne trudności. To chyba zupełnie normalne.

- Ano właśnie, panno Kenton, gdyby tak przyjrzała się pani memu ojcu, który zjawił się tu w tydzień po niej, stwierdziłaby pani, że jego znajomość spraw domu jest doskonała i to niemal od chwili, gdy wszedł w progi Darlington Hall.

Panna Kenton zastanowiła się nad tym przez chwilę, po czym powiedziała nieco obrażonym głosem:

- Wierzę, że pan Stevens starszy jest bardzo dobry w swym zawodzie, lecz zapewniam pana, panie Stevens, że ja jestem przynajmniej równie dobra w moim. Będę pamiętać, by odtąd zwracać się do pańskiego ojca jego pełnym tytułem. A teraz proszę mi wybaczyć.

Po tej rozmowie panna Kenton nie próbowała już więcej wносить kwiatów do mego biura; poza tym z zadowoleniem zauważyłem, że w sposób godny podziwu zaznajomiła się z nowym miejscem pracy. Znać było, iż jest gospodynią, która bardzo poważnie podchodzi do swych obowiązków. Mimo młodego wieku bez trudu zdobyła sobie posłuch swego personelu.

Zauważyłem też, że zaczęła zwracać się do mego ojca per „panie Stevens”. Jednak pewnego popołudnia, być może w dwa tygodnie po naszej rozmowie w moim biurze, panna Kenton weszła do biblioteki, gdzie właśnie coś robiłem, i powiedziała:

- Przepraszam, panie Stevens, lecz jeżeli szuka pan swej szufelki, to jest w sieni.

- Słucham panią, panno Kenton?

- Pana szufelka, panie Stevens. Zostawił ją pan tam. Czy mam ją tu przynieść?

- Panno Kenton, ja wcale nie używałem szufelki.

- A, jeśli tak, to proszę mi wybaczyć, panie Stevens. Myślałam, że używał pan szufelki i że zostawił ją w sieni. Przepraszam, że przeszkadzam.

Ruszyła ku drzwiom, lecz w progu odwróciła się jeszcze i rzekła:

- Och, panie Stevens, sama bym ją odniosła na miejsce, ale muszę iść teraz na górę. Czy mógłby pan o niej pamiętać?

- Oczywiście, panno Kenton. Dziękuję za zwrócenie mi uwagi.

- Ależ proszę bardzo, panie Stevens.

Odczekałem, aż przejdzie przez sień i wejdzie na główne schody, po czym ruszyłem ku drzwiom. Z drzwi biblioteki widać nie tylko sień, lecz i frontowe wejście do pałacu. Niemal na samym środku pustej i na wysoki połysk wypolerowanej podłogi leżała doskonale widoczna szufelka, o której wspomniała panna Kenton.

Uznałem to za drobne, lecz irytujące uchybienie; szufelkę widać było nie tylko z pięciorga drzwi na parterze, wychodzących na sień, lecz również ze schodów i podestu pierwszego piętra. Przeszedłem przez sień i podniosłem ten jakże nieprzyjemnie rzucający się w oczy przedmiot, i wtedy dopiero zrozumiałem, co się stało; przypomniałem sobie, że to mój ojciec około pół godziny temu zamiatał hali wejściowy. Z początku trudno było mi uwierzyć, że to on mógł popełnić takie uchybienie. Wkrótce jednak wytłumaczyłem sobie, że drobne potknięcia mogą przecież od czasu do czasu zdarzyć się każdemu, i moja irytacja obróciła się przeciw pannie Kenton, która gotowa była rozpętać całą burzę wokół tak drobnego incydentu.

W niecały tydzień później wracałem z kuchni tylnym korytarzem, gdy ze swego saloniku wyłoniła się panna Kenton i wygłosiła oświadczenie, najwyraźniej już wcześniej przygotowane: że choć jest jej bardzo niezręcznie zwracać uwagę na uchybienia mojego personelu, to przecież pracujemy oboje razem, jako jeden zespół, i ma nadzieję, że nie będę miał żadnych obiekcji przed czynieniem podobnie, jeżeli zauważę jakieś uchybienia zawinione przez personel żeński. Napomknęła następnie, że kilka ze sreber, które przeznaczono dziś do użytku w jadalni, nosiło wyraźne ślady pasty do polerowania, a koniec jednego widelca był zupełnie czarny. Podziękowałem jej; wróciła do swego saloniku. Nie musiała oczywiście dodawać, że czyszczenie sreber było jednym z głównych obowiązków mego ojca, obowiązkiem, którym zresztą wielce się szczycił.

Zapewne było jeszcze wiele innych tego rodzaju przypadków, których już nie pamiętam. W każdym razie sprawa ta osiągnęła apogeum pewnego szarego, deszczowego popołudnia, gdy zajmowałem się sportowymi trofeami lorda Darlingtona w pokoju bilardowym. W pewnej chwili weszła tam panna Kenton, już od drzwi mówiąc:

- Panie Stevens, zauważyłam na zewnątrz coś, co mnie zdziwiło.

- Co takiego, panno Kenton?

- Czy to na polecenie jego lordowskiej mości zamieniono figurkę porcelanową z górnego podestu na tę sprzed drzwi?

- Figurkę porcelanową, panno Kenton?

- Tak, panie Stevens, figurkę z porcelany. Ta, która zazwyczaj stoi na podeście, znajduje się teraz przed tymi drzwiami.

- Obawiam się, że coś się pani pomyliło, panno Kenton. - Nie sądzę wcale, by mi się pomyliło, panie Stevens.

Szczególnie uważnie zaznajomiłam się z umiejscowieniem wszystkich przedmiotów w naszym domu. Przypuszczam, że figurki zostały przez kogoś wyczyszczone, a następnie postawione w niewłaściwych miejscach. Jeżeli ma pan jakieś wątpliwości, panie Stevens, może pofatyguje się pan i sam to sprawdzi.

- Panno Kenton, jestem chwilowo zajęty.

- Ja zaś myślę, panie Stevens, że pan mi nie dowierza. Proszę więc, by pofatygował się pan i sprawdził osobiście.

- Panno Kenton, teraz jestem zajęty; zajmę się tym za chwilę. Nie jest to przecież aż tak ważne.

- Zatem przyznaje mi pan rację, panie Stevens?

- Nie przyznam pani racji, panno Kenton, dopóki nie będę miał okazji przekonać się o tym osobiście. Teraz jednak jestem zajęty.

Powróciłem do mej pracy, lecz panna Kenton nadal stała w drzwiach, spoglądając na mnie. Wreszcie stwierdziła:

- Widzę, że już pan kończy, panie Stevens. Poczekam na zewnątrz, a gdy tylko pan wyjdzie, przekonamy się, kto ma rację.

- Panno Kenton, według mnie przypisuje pani tej sprawie zbyt wielkie znaczenie.

Jednak panna Kenton już wyszła; podczas gdy kontynuowałem moją pracę, dochodziły do mnie co jakiś czas odgłosy kroków mające przypomnieć mi, że nadal jest tam, za drzwiami. Postanowiłem więc znaleźć sobie inne zajęcia w pokoju bilardowym,

zakładając, że po chwili sama zrozumie śmieszność całej sytuacji i odejdzie. Czas mijał, a ja wyczerpałem już wszystkie możliwości prac, jakie mogłem tam wykonać za pomocą tych przyborów, które akurat miałem do dyspozycji; tymczasem panna Kenton bynajmniej sobie nie poszła. Postanowiłem nie tracić już więcej czasu na tę dziecinadę i rozważyłem możliwość wyjścia z biblioteki przez przeszkłone drzwi, prowadzące prosto na trawnik. Wadą tego planu była pogoda - na zewnątrz znajdowało się kilka kałuż wody i błota - oraz fakt, że trzeba by i tak w pewnym momencie powrócić do biblioteki i zamknąć od wewnątrz drzwi do ogrodu. W końcu zdecydowałem, że najlepiej będzie po prostu wyjść bardzo szybkim krokiem z pokoju. Podkradłem się więc jak najciszej do miejsca, z którego mógłbym wykonać taki marsz, i mocniej ścisnąłem w dłoni przybory. Udało mi się niepostrzeżenie wysunąć na korytarz i przebyć kilka kroków, nim nieco zaskoczona panna Kenton zdążyła zareagować. Zrobiła to jednak i tak odpowiednio szybko, i już po chwili wyprzedziła mnie, skutecznie zagrażając mi drogę.

- Panie Stevens, czy dalej nie zgadza się pan, że to nie ta figurka?

- Panno Kenton, jestem bardzo zajęty. Dziwię się, że nie ma pani nic lepszego do roboty niż tylko całymi dniami wystawać na korytarzu.

- Czy to ta figurka, czy nie, panie Stevens?

- Panno Kenton, prosiłbym bardzo, by nie podnosiła pani głosu.

- A ja prosiłabym bardzo, panie Stevens, by odwrócił się pan i spojrział na tę figurkę.

- Panno Kenton, bardzo proszę nie podnosić głosu. Co pomyśli sobie służba, gdy usłyszy, że klócimy się tu na cały głos o to, czy to właściwa, czy niewłaściwa figurka z porcelany?

- Prawda jest taka, panie Stevens, że od dłuższego czasu wszystkie figurki porcelanowe w tym domu są brudne! A teraz jeszcze ktoś ustawił je na niewłaściwych miejscach!

- Tylko ośmiesza się pani, panno Kenton. A teraz proszę łaskawie mnie przepuścić.

- Panie Stevens, czy mógłby pan łaskawie spojrzeć na tę figurkę?

- Jeżeli ma to dla pani takie znaczenie, panno Kenton, przyznaję, że ta figurka może rzeczywiście znajduje się na niewłaściwym miejscu. Muszę jednak stwierdzić, że

nie rozumiem zupełnie, dlaczego przywiązuje pani tak wielką wagę do tych najbliższych z uchybień.

- Uchybienia te są może same w sobie błahe, panie Stevens, lecz musi pan chyba zdawać sobie sprawę z ich głębszego znaczenia.

- Panno Kenton, nie wiem, o co pani chodzi. A teraz bardzo proszę mnie przepuścić.

- Prawda jest taka, panie Stevens, że pańskiemu ojcu powierza się zbyt wiele obowiązków jak na jego wiek.

- Panno Kenton, na pewno nie zdaje sobie pani sprawy z tego, co sugeruje.

- Niezależnie od tego, kim był kiedyś pański ojciec, panie Stevens, jego siły są obecnie mocno nadwątłone. Takie jest właśnie znaczenie tych, jak je pan nazywa „błahych uchybień”, a jeżeli nie zwróci pan na nie uwagi teraz, to wkrótce ojciec pański może popełnić znacznie poważniejsze uchybienie.

- Panno Kenton, proszę się nie ośmieszać.

- Bardzo mi przykro, panie Stevens, ale jeszcze nie skończyłam. Uważam, że pańskiego ojca należałoby zwolnić z pewnych obowiązków. Po pierwsze, nie powinno się już od niego wymagać, by dźwigał ciężkie tace. Już teraz ręce drżą mu tak, że jest tylko sprawą czasu, kiedy upuści tacę wprost na czyjeś kolana. A poza tym, panie Stevens - bardzo przykro mi o tym mówić - zauważyłam, co dzieje się z nosem pańskiego ojca.

- Cóż takiego, panno Kenton?

- Bardzo mi przykro, ale tak jest, panie Stevens. Przedwczoraj wieczór przyglądałam się, jak pana ojciec bardzo powoli podążał z tacą do jadalni, i zauważyłam przy tym, niestety, że z koniuszka nosa ściekała mu tuż nad wazą spora kapka. Nie sądzę, by to szczególnie pobudzało apetyt osób znajdujących się przy stole.

Czy jednak panna Kenton rzeczywiście użyła wówczas słów aż tak dosadnych? Oczywiście, przez tyle lat wspólnej pracy zdarzała nam się czasem ostra wymiana zdań, lecz wydarzenia wspomnianego popołudnia miały miejsce na początku naszej znajomości, a nie sądzę, by wówczas nawet panna Kenton mogła wyrażać się z taką śmiałością. Nie sądzę też, by mogła posunąć się do tego, by mówić, że „uchybienia te są może same w sobie błahe, lecz musi pan chyba zdawać sobie sprawę z ich głębszego

znaczenia". I gdy teraz zastanawiam się nad tym, mam wrażenie, że słowa te wyrzekł do mnie sam lord Darlington, gdy wezwał mnie do swego gabinetu w około dwa miesiące po owej sprzeczce z panną Kenton przed pokojem bilardowym. Było to już po upadku mojego ojca w ogrodzie, a wtedy jego sytuacja była trochę inna.

Do gabinetu prowadzą drzwi naprzeciw głównych schodów. Dzisiaj przed gabinetem stoi szklana etażerka, w której wystawione są przeróżne bibeloty pana Farradaya; za czasów lorda Darlingtona natomiast stała tam zawsze szafka na książki, zawierająca głównie encyklopedie, w tym pełny komplet „Encyclopaedia Britannica”. Gdy schodziłem po schodach, lord Darlington udawał często, że ogląda grzbiety woluminów, a czasem nawet, by uwiarygodnić jeszcze przypadkowość naszego spotkania, wyciągał z półki ten czy inny tom i niby to studiował z zainteresowaniem, czekając, aż zejść na sam dół. Wtedy, gdy już go mijałem, mówił: „O, Stevens, mam do was pewną sprawę”. Po czym wolnym krokiem wracał do gabinetu, wciąż niby to zaczytany w trzymanej w dłoni księdze. Powodem takiego właśnie zachowania było zawsze zażenowanie tym, co miał mi do powiedzenia, bo nawet gdy drzwi gabinetu już się za nim zamknęły, często stał jeszcze przy oknie i udawał, że zagląda do encyklopedii przez cały czas trwania naszej rozmowy.

To, o czym teraz opowiadam, jest również jednym z licznych przykładów, jakie mógłbym Państwu dać na to, że lord Darlington był z natury człowiekiem skromnym i nieśmiałym. W ostatnich latach o jego lordowskiej mości i wielkiej roli, jaką odgrywał w sprawach najwyższej wagi, powiedziano i napisano wiele bzdur, a należały do nich posądzenia, iż kierował się on przede wszystkim egotyzmem czy pychą. Niech mi będzie wolno powiedzieć, że całkowicie rozmija się to z prawdą. Nie było nic bardziej sprzecznego z naturą lorda Darlingtona niż taka działalność publiczna, jaką uprawiał; mogę stwierdzić z pełnym przekonaniem, że tylko poczucie moralnego obowiązku skłoniło jego lordowską mość do przewyciężenia tej niechęci. Cokolwiek mówi się teraz o jego lordowskiej mości - a jak już powiedziałem, są to w przeważającej mierze zupełne bzdury - mogę z czystym sumieniem oświadczyć, że był to człowiek o prawdziwie dobrym sercu, dżentelmen w każdym calu, i dumny jestem dziś z tego, że najlepsze lata mojej służby dane mi było poświęcić właśnie jemu.

Owego popołudnia lord Darlington miał dopiero około pięćdziesięciu pięciu lat. Był już jednak całkiem siwy, a jego wysoka, szczupła postać zdradzała pewne zaczątki przygarbienia, które tak posunęło się pod koniec jego życia. Niemal nie odrywając oczu od książki zapytał:

- Czy ojciec wasz czuje się teraz lepiej, Stevens?

- Z radością mogę oznajmić, sir, że całkowicie doszedł już do siebie.

- O, bardzo się z tego cieszę. Bardzo się cieszę.

- Dziękuję, sir.

- Słuchajcie no, Stevens, czy były jakieś, no, oznaki? To znaczy, jakieś oznaki, że może wasz ojciec chciałby, by nieco mu ulżyć? Mam na myśli, oczywiście, coś jeszcze poza tym jego upadkiem.

- Jak już mówiłem, sir, wygląda na to, że mój ojciec całkowicie doszedł już do siebie, i wydaje mi się, że nadal jest osobą w pełni sprawną. To prawda, że ostatnio zdarzyło mu się parę uchybień w wypełnianych przezeń obowiązkach, lecz były one w każdym przypadku najzupełniej błahe.

- Tak, tak. Ale nikt z nas nie chciałby, by to się znów powtórzyło, prawda? No, żeby wasz ojciec wywrócił się i tak dalej.

- To prawda, sir.

- A, oczywiście, jeśli zdarzyło się to na trawniku, to mogło równie dobrze wydarzyć się wszędzie. Wszędzie i w każdej chwili.

- Tak jest, sir.

- Mogłoby się to wydarzyć, powiedzmy, podczas obiadu, do którego podawałby wasz ojciec.

- Jest to możliwe, sir.

- Słuchajcie no, Stevens, pierwsi delegaci przyjeżdżają już za niecałe dwa tygodnie.

- Jesteśmy wszyscy świetnie przygotowani, sir.

- Wszystko, co wtedy będzie się dziać w tym domu, może mieć bardzo daleko idące skutki.

- Tak jest, sir.

- I to naprawdę bardzo daleko idące skutki. Dla losów całej Europy. Biorąc pod uwagę, kto tu będzie, nie sądzę, bym cokolwiek przesadzał.

- Nie, sir.

- Nie możemy pozwolić sobie na najmniejsze ryzyko.

- Jak najbardziej, sir.

- Słuchajcie no, Stevens, nie ma mowy o tym, by wasz ojciec musiał nas opuścić. Proszę tylko, byście na nowo rozpatrzyli, jakie zadania można mu powierzyć. - I wtedy to właśnie, zdaje mi się, jego lordowska mość powiedział te słowa, znów zaglądając do książki i nieśmiało kartkując strony: - Uchybienia te są może same w sobie błahe, Stevens, lecz musicie sami zdawać sobie sprawę z ich głębszego znaczenia. Ojciec wasz nie jest już w pełni sprawny. Nie można żądać od niego, by wypełniał jakiegokolwiek zadania tam, gdzie każdy błąd mógłby postawić pod znakiem zapytania powodzenie zbliżającej się konferencji.

- Tak, oczywiście, sir. Rozumiem to doskonale.

- No, to dobrze. Zostawiam was, byście to sobie przemyśleli, Stevens.

Muszę tu dodać, że lord Darlington był parę dni wcześniej naocznym świadkiem upadku mego ojca. Jego lordowska mość podejmował właśnie w altanie gości, dwoje młodych państwa, i widział, jak przez trawnik szedł ku nim mój ojciec, dźwigając tacę z oczekiwanym podwieczorkiem. Przed altaną grunt podnosi się trochę i wówczas, tak jak obecnie, za stopnie ułatwiające wejście na owo wzniesienie służą cztery osadzone w trawie płyty kamienne. To właśnie na tych płytach wywrócił się mój ojciec, a cała zawartość niesionej przezeń tacy - dzbanek z herbatą, filiżanki, talerzyki, kanapki, ciastka - rozsypała się po trawie. Gdy zostałem o tym powiadomiony i przybyłem na miejsce wypadku, jego lordowska mość i jego goście położyli już ojca na boku, z poduszką pod głową, przykrywszy go, jak kołdrą, kilimkiem z altany. Ojciec był nieprzytomny, a twarz jego miała dziwną, szarą barwę. Posłano też po doktora Mereditha, lecz jego lordowska mość uznał, że jeszcze przed przyjazdem lekarza należy chorego usunąć ze słońca. Przyniesiono więc fotel na kółkach i nie bez wysiłku zawieziono ojca do domu. Doszedł nieco do siebie, nim pojawił się doktor Meredith, więc ten też wkrótce odjechał, stwierdziwszy bez większego przekonania, że być może ojciec „zbyt się przemęczał”.

Całe to wydarzenie było, rzecz jasna, niezwykle żenujące dla mego ojca, i w czasie gdy miała miejsce moja rozmowa w gabinecie lorda Darlingtona, krzątał się już jak dawniej. Tak więc rozpoczęcie z nim rozmowy o zmniejszeniu jego obowiązków nie stanowiło bynajmniej łatwego zadania. Sprawa była dla mnie tym trudniejsza, że od kilku lat - z powodów, których nigdy do końca nie zgłębiłem - coraz mniej z nim rozmawiałem; do tego stopnia, że po jego przybyciu do Darlington Hall nawet najkrótsza, czysto służbowa wymiana słów odbywała się w atmosferze obopólnego zażenowania.

Uznałem w końcu, że najlepiej będzie porozmawiać z nim na osobności, w jego pokoju, dając mu w ten sposób możliwość spokojnego zastanowienia się po moim wyjściu nad swą nową sytuacją. Ojca mogłem zastać w jego pokoju tylko tuż po wschodzie słońca lub późno w nocy. Zdecydowawszy się na to pierwsze, udałem się pewnego ranka do jego pokoiku na poddaszu w skrzydle dla służby i lekko zastukałem do drzwi.

Do tej pory miałem bardzo mało powodów, by przebywać w pokoju mego ojca, więc ciasnota i surowość tego miejsca uderzyła mnie na nowo. Doskonale pamiętam, że miałem wrażenie wstępowania do celi więziennej, choć mogło ono wynikać tyleż z niewielkiej powierzchni pokoju i nagości jego ścian, co z panującego tam nad ranem bladego światła. Albowiem ojciec odsunął już zasłony i siedział, ogolony i w pełnej liberii, na krawędzi łóżka, skąd zapewne przypatrywał się wstającemu na niebie świtowi. Tak można było przynajmniej przypuszczać, ponieważ przez małe okienko nie było widać nic innego poza niebem, jeśli nie liczyć dachówek i rynien. Lampa naftowa przy jego łóżku była już zgaszona, więc zauważywszy niechętnie spojrzenie, jakim ojciec obrzucił lampkę, z którą przyszedłem, by bezpiecznie przebyć rozchwierutane schody, szybko przykręciłem knot. Gdy to uczyniłem, spotęgowało się jeszcze szczególne wrażenie, jakie wywierało na mnie owo szare światło padające do pokoju i oświetlające nieprzystępne rysy pomarszczonej, lecz nadal budzącej respekt, twarzy mego ojca.

- O - zaśmiałem się - mogłem się spodziewać, że ojciec będzie już na nogach, gotowy do pracy.

- Nie śpię już od trzech godzin - odparł, spoglądając na mnie dość chłodno.

- Mam nadzieję, że to nie artretyzm nie pozwala ojcu spać.

- Śpię tyle, ile mi potrzeba.

Ojciec pochylił się ku małemu, drewnianemu krzesłu, jedynemu w tym pokoju i wsparłszy się o nie oburącz, podniósł się na nogi. Gdy stanął przede mną, nie wiedziałem, do jakiego stopnia garbi się z powodu choroby, a do jakiego z przyzwyczajenia do stromo opadającego sufitu.

- Przyszedłem tutaj, by ojcu coś powiedzieć.

- Więc mów szybko i zwięźle. Nie mam czasu na słuchanie twojego gadania.

- Jeśli tak, ojcze, to przejdę bez wstępów do sedna sprawy.

- No, to przejdź i załatwmy to od razu. Niektórzy z nas mają dziś coś do roboty.

- Doskonale. Ponieważ chce ojciec, bym był zwięzły, postaram się go zadowolić. Jest faktem, że ojciec ostatnio podupał na zdrowiu, i to do tego stopnia, że nawet obowiązki młodszego kamerdynera są teraz ponad jego siły. Lordowska mość uważa, podobnie zresztą jak i ja, że wyrażenie zgody na dalsze spełnianie przez ojca obecnych obowiązków byłoby zagrożeniem dla właściwego prowadzenia tego domu, a szczególnie dla powodzenia ważnego spotkania międzynarodowego, które ma odbyć się tutaj w przyszłym tygodniu.

Słabo oświetlona twarz ojca nie zdradzała jakichkolwiek uczuć.

- Uznano więc przede wszystkim - ciągnąłem - że ojciec nie powinien już być obciążony obowiązkiem podawania do stołu, nawet jeżeli przy stole nie znajdują się goście.

- Podawałem do stołu codziennie przez ostatnie pięćdziesiąt pięć lat - zauważył mój ojciec doskonale spokojnym głosem.

- Ponadto postanowiono, że ojciec nie będzie nosił pełnych tac, nawet na najkrótsze odległości. Znając ojca zamiłowanie do zwięzłości, zostawiam tu nową listę obowiązków uwzględniającą te ograniczenia.

Coś jednak powstrzymywało mnie od wręczenia mu tej kartki, więc położyłem ją na skraju łóżka. Ojciec spojrział na nią przelotnie, po czym znów przeniósł wzrok na mnie. Na jego twarzy nadal nie malowało się żadne uczucie, jego ręce zaś, zaciśnięte na oparciu krzesła, wydawały się zupełnie nieruchome. Pomimo całego przygarbienia, z jego

postaci emanowała wciąż ta sama moc, która kiedyś otrzeźwiła dwóch pijanych uczestników przejażdżki. Wreszcie przemówił:

- Wywróciłem się tylko przez te stopnie, bo są nierówne. Trzeba powiedzieć Seamusowi, żeby to poprawił, inaczej to samo przytrafi się komuś innemu.

- Tak, tak. W każdym razie mogę być pewny, że ojciec przestudiuje tę listę?

- Trzeba powiedzieć Seamusowi, żeby poprawił te stopnie. I to jeszcze przed przyjazdem tych panów z Europy.

- Tak, tak. No, to życzę ojcu miłego dnia.

To, co wydarzyło się we wspomniane w liście panny Kenton letnie popołudnie, nastąpiło wkrótce po tej rozmowie - być może nawet jeszcze tego samego dnia. Nie pamiętam już dokładnie, w jakim celu znalazłem się na górnym piętrze, gdzie wzdłuż korytarza ciągnie się szereg sypialni gościnnych. Jak już - zdaje się - mówiłem, do dziś stoją mi przed oczyma pomarańczowe snopy promieni zachodzącego słońca, wpadające do korytarza przez każde z otwartych drzwi. I gdy tak szedłem wzdłuż tych pustych pokoi, z jednego z nich zawołała do mnie stojąca tam postać - panna Kenton.

Gdy teraz to wspominam, pamiętając, w jaki sposób panna Kenton wielokrotnie wyrażała się o moim ojcu na początku jej pracy w Darlington Hall, trudno się dziwić, że wieczór ten zachowała w pamięci przez te wszystkie lata. Patrząc wraz ze mną na postać mego ojca, musiała niewątpliwie odczuwać pewne wyrzuty sumienia. Cień topoli padał już na większą część trawnika, lecz tam, gdzie trawa podchodziła aż pod altanę, świeciło jeszcze słońce. Ojciec mój stał zamyślony przy owych czterech kamiennych płytach. Jego włosy targał lekki wiatr. Potem zobaczyliśmy, że bardzo powoli wstępuje na schodki. Na górze odwrócił się i zszedł na dół, już nieco szybciej. Odwrócił się raz jeszcze i stał przez chwilę, przyglądając się stopniom. Wreszcie z wielkim namaszczeniem wszedł po nich drugi raz. Tym razem jednak ruszył dalej po trawie aż do samej niemal altany, po czym zawrócił i poszedł z powrotem, ani na chwilę nie przestając patrzeć pod nogi. Trudno mi zresztą znaleźć lepsze określenie niż to, którego w swym liście użyła panna Kenton; rzeczywiście wyglądało, jakby chciał znaleźć tam jakiś cenny, zgubiony klejnot".

Widzę jednak, że zagłębiając się we wspomnienia, co może wydać się śmieszne. W końcu wycieczka ta stanowi dla mnie rzadką okazję, by nacieszyć się licznymi urokami ziemi angielskiej, i wiem, że gorzko bym potem żałował, gdybym pozwolił sobie na niepotrzebne dygresje. I tak zauważyłem, że prawie nic nie opowiedziałem o mej jeździe do tego miasta, poza owym postojem na drodze przez wzgórza, na samym początku wyprawy. Jest to rzeczywiście poważne niedopatrzenie, zwłaszcza że cała wczorajsza jazda sprawiła mi wielką przyjemność.

Podróż do Salisbury zaplanowałem bardzo dokładnie, unikając prawie głównych dróg; trasa, którą obrałem, mogłaby niektórym wydawać się niepotrzebnie okrężna, lecz właśnie dzięki temu mogłem zobaczyć znacznie więcej rzeczy zalecanych przez panią Symons w jej świetnych książkach i jestem z tego bardzo zadowolony. Trasa wiodła w większości przez pola. Wokół unosił się przyjemny zapach łąk; często całkiem zmniejszałem prędkość forda, by lepiej przyjrzeć się strumieniowi czy dolinie, przez które przejeżdżałem. O ile jednak pamiętam, z samochodu wysiadłem dopiero niedaleko Salisbury. Jechałem wtedy długim, prostym odcinkiem wiodącej wśród łąk szosy. Na wszystkie strony rozciągał się daleki widok na płaski, otwarty krajobraz. Na horyzoncie pojawiła się już wieża katedry w Salisbury. Opanował mnie nastrój wielkiego spokoju i to zapewne dlatego znów jechałem bardzo powoli - nie więcej chyba niż trzydzieści kilometrów na godzinę. Zresztą na całe szczęście, ponieważ dzięki temu dostrzegłem na czas i to w ostatniej chwili, że przez drogę przechodzi kura, zupełnie nie zwracając uwagi na mój samochód. Udało mi się zahamować tuż przed ptakiem, który tymczasem zatrzymał się na środku drogi. Gdy po upływie chwili kura nie zdradzała ochoty do odejścia, użyłem klaksonu; to jednak wywarło tylko ten skutek, że ptak zaczął dziobać coś na drodze. Nieco już poirytowany postanowiłem wysiąść i gdy jedną nogę miałem jeszcze na stopniu, usłyszałem kobiecy głos.

- Och, bardzo pana przepraszam, sir!

Odwróciwszy się, zobaczyłem, że dopiero co minąłem stojącą przy drodze wiejską chatę - z której, zapewne na dźwięk użytego przeze mnie klaksonu, wybiegła młoda kobieta w fartuchu. Minęła mnie i porwała na ręce kurę, tuląc ją i równocześnie jeszcze raz mnie przepraszając. Gdy zapewniłem, że nic się nie stało, powiedziała:

- Strasznie panu dziękuję, że zatrzymał się pan i nie przejechał biednej Nellie. Dobrze z niej stworzenie, jajka znosi takie, jakich pan jeszcze nie widział. Jak to dobrze, że się pan zatrzymał. A pewnie się pan spieszy.

- O, wcale się nie spieszę - odparłem z uśmiechem. - Po raz pierwszy od wielu lat mogę się nie spieszyć i muszę przyznać, że to bardzo miłe uczucie. Widzi pani, ja odbywam właśnie przejażdżkę wyłącznie dla przyjemności.

- O, to bardzo miło, sir. Pewnie jedzie pan do Salisbury?

- Tak, rzeczywiście. Czy to nie tamtejszą katedrę widać na horyzoncie? Jest podobno wspaniała.

- O, tak, sir, jest bardzo ładna. Zresztą, szczerze mówiąc, nie jeżdżę tam często, więc nie mogę powiedzieć, jak wygląda z bliska. Tyle tylko panu powiem, że dzień w dzień widzimy od nas tę wieżę. Czasem w mglisty dzień wydaje się, że jej nie ma. Ale sam pan widzi, że w taką pogodę jak dziś wygląda bardzo pięknie.

- Tak, bardzo.

- Taka panu jestem wdzięczna, sir, że nie przejechał pan Nellie. Trzy lata temu ktoś przejechał naszego zółwia, i to w tym samym miejscu. Bardzośmy się zmartwili.

- Tak, to smutne.

- O, tak, proszę pana. Mówi się, że my, ze wsi, jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że zwierzęta ranią się albo zdychają, ale to nieprawda. Mój mały płakał potem przez kilka dni. Jak to dobrze, sir, że pan się zatrzymał przed Nellie. A może, skoro pan już i tak wysiadł, wstąpiłby pan do nas na herbatę? Przydałoby się panu, zanim znowu ruszy pan w drogę.

- To bardzo miło z pani strony, lecz obawiam się, że naprawdę muszę jechać dalej. Chciałbym dotrzeć do Salisbury na tyle wcześnie, by zdążyć zaznajomić się z licznymi urokami tego miasta.

- O, tak, bo warto, sir. Jeszcze raz panu dziękuję.

I znów wyruszyłem w drogę, z jakiegoś powodu - zapewne dlatego, że spodziewałem się, iż mogę natknąć się na jakieś inne zwierzę domowe - nadal utrzymując tę samą prędkość. Muszę przyznać, że w tym krótkim spotkaniu było coś, co wprawiło mnie w dobry humor; drobna grzeczność, za którą mi podziękowano, i drobna

grzeczność, którą mi odwzajemniono, sprawiły, że śmielej popatrzyłem w przyszłość na oczekujące mnie w najbliższych dniach przedsięwzięcie. W takim to nastroju dojechałem tutaj, do Salisbury.

Uważam jednak, że powinienem wrócić jeszcze do sprawy mego ojca; przyszło mi bowiem na myśl, że mogli Państwo odnieść wrażenie, jakobym traktował go szorstko z powodu jego nadwątłych sił. Tymczasem, prawdę mówiąc, nie mogłem postąpić inaczej i jestem pewien, że państwo przyznają mi rację, gdy tylko opiszę atmosferę tamtych dni.

Otóż zbliżająca się wtedy ważna konferencja międzynarodowa, która miała odbyć się w Darlington Hall, nie pozwalała na pobłażliwość czy jakieś tam „owijanie w bawełnę”. Należy też wspomnieć, że choć w ciągu następnych kilkunastu lat Darlington Hall miało być świadkiem wielu równych rangą wydarzeń, owa konferencja w marcu 1923 była dopiero pierwszym z nich, a w takiej sytuacji brak koniecznego doświadczenia nie pozwalał na pozostawianie czegokolwiek przypadkowi. Zresztą konferencję tę wspominam i dlatego, iż była ona tym punktem mej kariery, gdy rzeczywiście stałem się godny tytułu kamerdynera. Nie musi to oznaczać, że uważam się od owego czasu za „wielkiego” kamerdynera; trudno mi w każdym razie samemu o tym wyrokować. Gdyby jednak ktoś chciał kiedyś uzasadnić, że podczas całej mej kariery osiągnąłem choćby drobną część niezbędnej wielkiemu kamerdynerowi „godności”, konferencja w marcu 1923 roku stanowiła ów przełomowy moment, gdy po raz pierwszy można było zauważyć u mnie pewne oznaki tej zalety. Było to jedno z tych wydarzeń, które pojawiają się w życiu człowieka na rozstrzygającym etapie jego rozwoju, by rzucić mu wyzwanie i zmusić do największego wysiłku. Odtąd człowiek taki ocenia siebie według zupełnie nowych kryteriów. Rzecz jasna, konferencja ta zapadła mi tak głęboko w pamięć również z zupełnie innych powodów, o czym chciałbym teraz opowiedzieć.

Konferencja roku 1923 była ukoronowaniem długotrwałych zabiegów lorda Darlingtona; teraz, spoglądając wstecz, widać jasno, że jego lordowska mość dążył do niej od co najmniej trzech lat. O ile pamiętam, sporządzany po Wielkiej Wojnie traktat pokojowy nie interesował go z początku tak bardzo; można powiedzieć, jak sądzę, że jego

późniejsze zaangażowanie w tę sprawę wynikało nie tyle z analizy samego traktatu, co z przyjaźni, jaką darzył Herr Karla Heinza Bremanna.

Herr Bremann po raz pierwszy odwiedził Darlington Hall tuż po wojnie, jeszcze w mundurze wojskowym. Nawet najmniej spostrzegawczy obserwator zauważyłby, iż wkrótce połączyła go z naszym lordem bardzo bliska przyjaźń. Nic dziwnego - już na pierwszy rzut oka widać było, że Herr Bremann jest dżentelmenem w każdym calu. Przez następne dwa lata, po wystąpieniu z wojska, powracał tu w regularnych odstępach czasu. Niestety, z pobytu na pobyt dawało się zauważyć niepokojącą zmianę, jaka w nim zachodziła. Jego ubiór stawał się coraz biedniejszy, oblicze coraz szczuplejsze; spojrzenie miał spłoszone, a podczas ostatnich swych wizyt często patrzył długo gdzieś przed siebie, zapominając o obecności jego lordowskiej mości, a czasem nie zwracając nawet uwagi na to, co się do niego mówiło. Powiedziałbym, że Herr Bremann cierpiał na jakąś chorobę, lecz z pewnych uwag czynionych przez jego lordowską mość zrozumiałem, że nie o to chodzi.

Chyba pod koniec 1920 roku lord Darlington odbył pierwszy z wielu wyjazdów do Berlina i doskonale pamiętam, jak wielkie uczyniło to na nim wrażenie. Przez wiele dni po powrocie zdradzał wielkie zatroskanie; pamiętam, iż raz, w odpowiedzi na moje pytanie o wrażenia z podróży, zauważył: „To wstrząsające, Stevens, głęboko wstrząsające. To wielka hańba dla nas tak traktować pokonanego przeciwnika. To zupełnie wbrew tradycji naszego kraju”.

Jednak żywo stoi mi w pamięci inne jeszcze wydarzenie związane z tą sprawą. Obecnie w starej sali bankietowej nie ma już stołu, a samo to obszerne pomieszczenie, ze swym wysokim, wspaniałym stropem, służy świetnie panu Farradayowi za rodzaj galerii. Za to za czasów jego lordowskiej mości sala ta musiała raz po raz pomieścić, podobnie jak zajmujący ją wtedy stół, trzydziestu i więcej gości; była zresztą tak wielka, że gdy trzeba było, ustawiano tam dodatkowe stoły, przy których mogło zasiąść prawie pięćdziesiąt osób. Rzecz jasna, na co dzień lord Darlington, podobnie jak dziś pan Farraday, jadał w bardziej przytulnej jadalni, która jest też doskonałym miejscem do podejmowania nawet dwunastu osób. Jednak w ów zimowy wieczór, o którym chcę teraz opowiedzieć, jadalnia była z jakiegoś powodu nieczynna, więc lord Darlington i jego jedyny gość - był to, jak mi się zdaje, sir Richard Fox, kolega jego lordowskiej mości z lat

służby w ministerstwie spraw zagranicznych - jedli kolację w owej ogromnej sali bankietowej. Bez wątpienia zgodzą się Państwo, że najtrudniej podawać do stołu właśnie dwóm tylko osobom. Sam wolałbym już podawać jednej tylko osobie, nawet jeśli miałby to być ktoś całkiem obcy. Gdy do posiłku zasiadają dwie osoby, nawet jeżeli jedna z nich to własny chlebowdawca, niezwykle trudno jest zachować ową równowagę pomiędzy czujnością a wrażeniem nieobecności, która jest podstawą dobrej obsługi; to właśnie w takiej sytuacji usługujący rzadko jest wolny od obawy, że jego obecność przeszkadza w prowadzeniu rozmowy.

Podczas wspomnianej kolacji spora część sali była nie oświetlona, a obaj panowie siedzieli obok siebie w połowie długości stołu - był on bowiem zbyt szeroki, by można ich było umieścić naprzeciw siebie - wewnątrz kręgu światła rzucanego przez stojące na obrusie świece i trzaskający w kominku ogień. Postanowiłem jak najbardziej zminimalizować moją obecność, ustawiając się w cieniu, znacznie dalej od stołu, niż zwykle to czynię. Oczywiście, taka pozycja miała tę poważną wadę, że za każdym razem, gdy wchodziłem w krąg światła, by usłużyć obu panom, odgłos moich kroków odbijał się rozgłośnym echem, zanim jeszcze doszedłem do stołu, zwracając na mnie uwagę w sposób wielce ostentacyjny; miała za to tę wielką zaletę, że byłem widoczny tylko częściowo, gdy stałem w jednym miejscu. I tak właśnie stojąc w cieniu, w pewnej odległości od miejsca, gdzie obaj panowie siedzieli - pośrodku rzędów pustych krzeseł, usłyszałem, że lord Darlington opowiada o Herr Bremannie, a jego głos, cichy i spokojny jak zwykle, brzmiał jakimś dziwnym tonem w tej wielkiej, wysokiej sali.

- Był moim wrogiem - mówił - lecz zawsze postępował jak dżentelmen. Przez pół roku zasypywaliśmy się nawzajem ogniem artyleryjskim, lecz prywatnie obaj zachowywaliśmy się uczciwie względem siebie. Był dżentelmenem wykonującym to, co do niego należało, i nie miałem mu tego za złe. Powiedziałem mu raz: „Drogi panie, teraz jesteśmy wrogami i będę bił się z panem z całych sił, ale jak tylko skończy się ta nieszczęsna wojna, nie będziemy już wrogami i pójdziemy razem na piwo”. A teraz, przez ten nieszczęsny traktat, wychodzę na kłamcę. Rozumiesz, stwierdziłem, że jak to się skończy, nie będziemy już wrogami. Czy teraz mogę mu spojrzeć w oczy i powiedzieć, że to się spełniło?

Nieco później zaś, tego samego wieczoru, jego lordowska mość rzekł, z wielką powagą kiwając głową:

- Podczas tej wojny walczyłem o sprawiedliwość na świecie, a nie po to, by zemścić się na narodzie niemieckim.

I gdy słyszę, co obecnie mówi się o jego lordowskiej mości, gdy tak jak teraz słyszę aż nadto często te nonsensowne spekulacje co do motywów jego postępowania, z przyjemnością powracam do wspomnienia owej chwili, gdy z takim uczuciem wymawiał te słowa w niemal pustej sali bankietowej.

Niezależnie od tego, na jakie przeszkody natknął się potem jego lordowska mość, ja przynajmniej nigdy nie zwątpię, że zawsze kierował się on wyłącznie pragnieniem „sprawiedliwości na świecie”.

Niedługo po tym wieczorze nadeszła smutna wiadomość, że Herr Bremann zastrzelił się w pociągu między Hamburgiem a Berlinem. Jego lordowska mość odczuł to, rzecz jasna, bardzo boleśnie i natychmiast starał się przesłać Frau Bremann wyrazy współczucia i odpowiednie fundusze. Jednak pomimo wielu dni usiłowań, w których starałem się go wspomóc, jak tylko umiałem najlepiej, jego lordowska mość nie był w stanie ustalić miejsca pobytu nikogo z rodziny Herr Bremanna. Zdaje się, że od pewnego czasu był on bezdomny, a jego rodzina uległa rozproszeniu.

Uważam jednak, że nawet i bez tego tragicznego wydarzenia lord Darlington i tak postępowałby podobnie, tak mocno było w nim zakorzenione pragnienie ulżenia cierpieniu i naprawieniu niesprawiedliwości. Od śmierci Herr Bremanna jego lordowska mość poświęcał coraz więcej czasu sprawom kryzysu w Niemczech. W jego domu zaczęły teraz gościć wielkie osobistości - jak sobie przypominam, były to postaci tak sławne jak: lord Daniels, profesor Maynard Keynes czy pan H. G. Wells, znany autor, oraz inni, których nazwisk nie wolno mi tu wymienić, ponieważ zjawiali się incognito. Panowie ci zamykali się wraz z jego lordowską mością na wielogodzinne dyskusje.

Niektórzy z gości przyjeżdżali do tego stopnia incognito, że otrzymałem instrukcje, by pod żadnym pozorem służba nie dowiedziała się, kim są, a w niektórych przypadkach nie miała nawet prawa ich oglądać. Pomimo to - a mówię to z dumą i wdzięcznością równocześnie - lord Darlington nigdy nie czynił żadnych wysiłków, by cokolwiek ukryć przede mną; pamiętam, jak wiele razy ta czy inna osobistość urywała w pół zdania,

spoglądając na mnie ukradkiem, na co jego lordowska mość mówił zawsze: „Nie, nie, wszystko w porządku. Zapewniam pana, że przy Stevensie można mówić bez obaw”.

W ciągu dwóch lat, jakie upłynęły od śmierci Herr Bremanna, udało się jego lordowskiej mości wraz z sir Davidem Cardinalem, który stał się wówczas jego najbliższym współpracownikiem, zawiązać sojusz licznych osobistości podzielających ich przekonanie, że należy położyć kres panującej w Niemczech sytuacji. Należeli do niego nie tylko Brytyjczycy i Niemcy, lecz również Belgowie, Francuzi, Włosi, Szwajcarzy: dyplomaci i politycy wysokiej rangi, wybitni duchowni, emerytowani wojskowi, pisarze i myśliciele. Niektórzy z nich byli równie jak jego lordowska mość przekonani, że w Wersalu nie postąpiono według reguł fair play i że niemoralne jest nadal karać jakiś naród, choć wojna z nim już się skończyła. Innym natomiast leżało na sercu nie tyle dobro Niemiec i Niemców, co obawa, że jeżeli panujący tam chaos gospodarczy nie zostanie opanowany, może wkrótce rozprzestrzenić się na cały świat.

Pod koniec roku 1922 jego lordowska mość pracował już dla ściśle określonego celu. Chciał bowiem zgromadzić pod dachem Darlington Hall najbardziej wpływowe osobistości, których poparcie dotąd sobie zapewnił, by odbyć tu coś w rodzaju „nieoficjalnej” konferencji międzynarodowej, poświęconej możliwościom rewizji najcięższych postanowień traktatu wersalskiego. Konferencja taka musiałaby być na tyle znacząca, by mogła zaważyć w decydujący sposób na losie „oficjalnych” konferencji międzynarodowych na ten sam temat - kilka z nich już się odbyło, wywołując jednak tylko zamęt i rozgoryczenie. A właśnie nasz ówczesny premier, pan Lloyd George, zwołał wielką konferencję do Włoch na wiosnę 1922 roku i jego lordowska mość początkowo usiłował zorganizować w Darlington Hall spotkanie mające zapewnić powodzenie tej właśnie konferencji, lecz pomimo wyteżonej pracy jego i sir Davida nie starczyło na to czasu; gdy jednak konferencja pana George'a również nie przyniosła żadnych konkretnych, jego lordowska mość obrał sobie za cel kolejny wielki zjazd, który miał się odbyć następnego roku w Szwajcarii.

Pamiętam, że któregoś ranka w tym właśnie okresie serwowałem lordowi Darlingtonowi kawę w pokoju śniadaniowym. Składając „Timesa”, jego lordowska mość powiedział z niejakim wstrętem:

- Ci Francuzi. Doprawdy, Stevens. Ci Francuzi.

- Tak jest, sir.

- I pomyśleć, że przed resztą świata musimy udawać, że idziemy z nimi ramię w ramię. Na samą myśl bierze człowieka ochota na dobrą kąpiel.

- Tak jest, sir.

- Gdy ostatnio byłem w Berlinie, Stevens, podszedł do mnie baron Overath, stary przyjaciel mego ojca, i powiedział: „Czemu nam to robicie? Czy nie zdajecie sobie sprawy, że tak dłużej nie można?” Miałem wielką pokusę powiedzieć mu, że to wszystko przez tych niegodziwych Francuzów. I że Anglicy tak nie postępują. No, ale zapewne nie można robić takich rzeczy. Nie wolno nam mówić źle o naszych kochanych sojusznikach.

Jednak właśnie dlatego, że stroną najbardziej nieprzejednaną, gdy chodziło o uwolnienie Niemiec od jarzma traktatu wersalskiego, byli Francuzi, do przyjazdu na spotkanie w Darlington Hall należało nakłonić przynajmniej jedną osobistość francuską, mającą niezaprzeczalny wpływ na politykę zagraniczną swego kraju. Słyszałem bowiem wielokrotnie, jak jego lordowska mość wygłaszał opinię, że bez uczestnictwa kogoś takiego jakakolwiek dyskusja o sprawach niemieckich byłaby jedynie cczą rozrywką. Wraz z sir Davidem zajęli się więc ostatnią rundą przygotowań; chyliłem czoło przed niewzruszoną determinacją, jaką wykazywali obaj panowie w obliczu piętrzących się przeszkód; ślali niezliczone listy i telegramy, jego lordowska mość zaś wyjeżdżał trzy razy do Paryża w ciągu dwóch miesięcy. Wreszcie, zapewniwszy sobie udział, oczywiście ściśle incognito, pewnego niezwykle dostojnego Francuza - którego będę nazywał po prostu „monsieur Dupont” - ustalono ostateczny termin trzydniowej konferencji. Był nim właśnie ów pamiętny marzec 1923 roku.

Wraz ze zbliżaniem się tej daty coraz bardziej narastał natłok spraw, którymi musiałem się zająć - choć były one natury znacznie skromniejszej niż te, które czekały jego lordowska mość. Aż nazbyt dobrze zdawałem sobie sprawę, że jeżeli którykolwiek z gości czułby się w Darlington Hall choć trochę niewygodnie, mogłoby to mieć zupełnie niewyobrażalne konsekwencje. Ponadto wszelkie plany, jakie czyniłem na tę okoliczność, komplikowała jeszcze niepewność co do liczby uczestników. Ponieważ konferencja odbywała się na bardzo wysokim szczeblu, liczbę uczestników ograniczono do osiemnastu bardzo wybitnych panów i dwóch pań - pewnej niemieckiej księżnej i powszechnie szanowanej pani Eleanor Austin, wówczas wciąż jeszcze przebywającej w

Berlinie - lecz można było spodziewać się, że każda z tych osobistości przywiezie ze sobą sekretarzy, służących i tłumaczy, a liczby tych osób nie można było w żaden sposób dokładnie określić. Co więcej, okazało się, że część osób przyjedzie nieco wcześniej, by przygotować grunt i zbadać nastroje innych współuczestników, choć trudno było określić dokładne daty ich przyjazdu. Z góry musiałem założyć, że cała służba będzie musiała pracować nie tylko bardzo ciężko, nie tylko ze wzmożoną uwagą, lecz również w sposób jak najbardziej elastyczny. Przez jakiś czas uważałem zresztą, że tak wielkiego zadania nie zdołamy wykonać bez zatrudnienia dodatkowych pracowników z zewnątrz. To jednak, zupełnie niezależnie od obaw przed ich niedyskrecjami, jakie mogłyby żywić jego lordowska mość, zmuszałoby mnie do planowania wszystkiego na podstawie nie znanej bliżej liczby służby i to właśnie w tej sytuacji, gdy każdy błąd mógł bardzo drogo kosztować. W związku z tym zacząłem do nadchodzących dni przygotowywać się tak, jak generał do bitwy. Ze szczególną troską ustaliłem rozkład zajęć personelu, starając się uwzględnić najprzeróżniejsze ewentualności; rozważałem, jakie są nasze najsłabsze strony, i na wypadek ich ujawnienia opracowywałem plany awaryjne; wygłosiłem nawet przed personelem coś w rodzaju mowy przed bitwą, podkreślając, że choć od wszystkich będę wymagał największego wysiłku i poświęcenia, powinni być dumni, że dane jest im służyć w Darlington Hall właśnie w takich dniach. Powiedziałem im, że „pod naszym dachem być może zmieniony zostanie bieg historii”, oni zaś wiedząc, że rzadko używam przesadnych sformułowań, zdawali sobie sprawę, że zanoszą się na coś niezwykłego. Zrozumieją więc Państwo na pewno, jaka atmosfera panowała w Darlington Hall wtedy, gdy ojcu memu przydarzył się ten upadek przed altaną - a nastąpiło to zaledwie dwa tygodnie przed spodziewanym przyjazdem pierwszych gości - i co miałem na myśli, mówiąc, że nie był to czas na „owijanie w bawełnę”. Ojciec mój w każdym razie szybko odkrył sposób obejścia ograniczeń spowodowanych zakazem noszenia ciężkich tac. Wkrótce wszyscy przyzwyczaili się widywać go z wózkiem, na którym przybory do sprzątnięcia, szczotki i miotły sąsiadowały w sposób nieco dziwny, choć zawsze schludny, z dzbankami na herbatę, filiżankami i talerzykami, co w sumie dość przypominało stragan na kółkach. Rzecz jasna, nie mogłem już powrócić do podawania do stołu, lecz dzięki wózkowi udawało mi się wykonywać nadspodziewanie wiele zadań. Zresztą wraz ze zbliżaniem się konferencji w ojcu moim zachodziła zdumiewająca zmiana. Zdawało się, że wstąpiły w niego jakieś nadprzyrodzone siły, dzięki którym z dnia na

dzień odmłodził o dwadzieścia lat. Z twarzy jego zniknęło goszczące ostatnio tak często znużenie, a pracował tak, że ktoś nieświadomy mógłby przypuścić, że to nie jedna, a kilka podobnych postaci pcha wózki po korytarzach Darlington Hall.

Jeśli zaś chodzi o pannę Kenton, przypominam sobie, że narastające napięcie owych dni stawało się dla niej coraz trudniejsze do zniesienia. Pamiętam, na przykład, że raz natknąłem się na nią w tylnym korytarzu. Korytarz ten, stanowiący niejako kręgosłup pomieszczeń służbowych w Darlington Hall, był zawsze miejscem ponurym z powodu braku światła dziennego na całej jego, dość sporej, długości. Nawet w słoneczne dni było tam tak ciemno, że szło się nim niby tunelem. W tym konkretnym przypadku pannę Kenton mogłem rozpoznać tylko po odgłosach jej kroków, zbliżających się do mnie po drewnianych deskach podłogi. Zatrzymałem się w jednym z nielicznych miejsc, gdzie na podłogę padał jasny snop światła, i gdy podeszła, powiedziałem:

- A, panno Kenton...

- Słucham, panie Stevens?

- Panno Kenton, zastanawiałem się właśnie, czy mógłbym zwrócić pani uwagę na fakt, że pościel dla górnego piętra będzie potrzebna na pojutrze.

- Doskonale panuję nad tą sprawą, panie Stevens.

- A, to świetnie. Tak tylko sobie pomyślałem, to wszystko.

Miałem pójść dalej, lecz panna Kenton nie ruszyła się z miejsca. Potem zbliżyła się do mnie o krok, tak że promień światła padł na jej rozgniewaną twarz.

- Niestety, panie Stevens, jestem teraz niezwykle zajęta i nie mam ani chwili do stracenia. Gdybym miała tyle czasu, co, zdaje się, pan, bardzo chętnie i ja spacerowałabym po domu i bez potrzeby przypominałabym panu o jego zadaniach.

- Ależ panno Kenton, nie ma powodu, by tak się unosić. Chciałem się tylko upewnić, że nic nie umknęło pani uwagi...

- Panie Stevens, to czwarty czy piąty raz w ciągu ostatnich dwóch dni odczuwa pan taką potrzebę. Dziwi mnie, że ma pan aż tyle czasu, by chodzić sobie po domu i zadreć innymi zbytecznymi uwagami.

- Panno Kenton, jeśli choć przez chwilę zdawało się pani, iż mam dużo czasu, jest to najoczywistszą oznaką pani wielkiego niedoświadczenia. Wierzę, że po paru latach będzie pani miała lepsze pojęcie o tym, co dzieje się w takim, jak nasz, domu.

- Stale tylko mówi pan o mym „wielkim niedoświadczeniu”, a tymczasem nie może pan wskazać ani jednego uchybienia w mojej pracy, w przeciwnym bowiem razie na pewno uczyniłby pan to już dawno i to bardzo rozwlekle. Mam teraz tyle zajęć, że byłabym bardzo wdzięczna, gdyby pan przestał włóczyć się za mną i wciąż przeszkadzać mi w pracy. Jeśli ma pan tyle czasu, radzę panu, by bardziej pożytecznie spędzał go pan na świeżym powietrzu.

Odeszła korytarzem, głośno tupiąc ze złości. Stwierdziłem, że najlepiej będzie nic nie mówić, i ruszyłem w swoją stronę. Prawie dotarłem do drzwi kuchni, gdy usłyszałem ponownie jej szybkie, gniewne kroki.

- A w ogóle, panie Stevens - zawołała - chciałabym, by przestał się pan odtąd zwracać do mnie bezpośrednio.

- Co też pani mówi, panno Kenton?

- Jeśli będzie pan musiał mi coś przekazać, proszę robić to za czyjś pośrednictwem. Może pan też napisać krótką notatkę i doręczyć mi ją przez kogoś. Jestem pewna, że wielce ułatwi to nasze stosunki służbowe.

- Panno Kenton...

- Jestem niezmiernie zajęta, panie Stevens. Na piśmie, jeśli sprawa jest bardziej złożona. W innym razie może pan zwrócić się do Marthy lub Dorothy, czy też do tych panów z męskiego personelu, których uzna pan za godnych zaufania. A teraz muszę wracać do mej pracy, może więc pan dalej kontynuować swe spacerowanie.

Choć zachowanie panny Kenton było bardzo irytujące, nie mogłem zbyt długo roztrząsać tej sprawy, ponieważ już wkrótce pojawili się pierwsi goście. Przedstawiciele innych krajów mieli zjawić się dopiero za dwa lub trzy dni, lecz trzech panowie, których jego lordowska mość nazywał „drużyną gospodarzy” - dwaj ministrowie spraw zagranicznych, ściśle incognito, i sir David Cardinal - zjawili się wcześniej, by jak najlepiej przygotować grunt do konferencji. Jak zwykle, niczego przede mną nie tajono, gdy krążyłem po pokojach, gdzie owi panowie zatopieni byli w poważnych dyskusjach,

więc nie mogłem nie zauważyć ich nastroju. Oczywiście, jego lordowska mość i jego koledzy chcieli jak najdokładniej wypytać się nawzajem o spodziewanych uczestników; jednak ich uwaga skierowana była w przeważającej mierze na jedną tylko osobę, a mianowicie na Francuza, monsieur Duponta i jego przypuszczalne sympatie i antypatie. Raz nawet usłyszałem, wchodząc do palarni, że jeden z panów mówił: „Los Europy zależy może od tego, czy w tej sprawie będziemy potrafili przekonać Duponta”.

I właśnie podczas tych wstępnych narad jego lordowska mość powierzył mi misję tak dziwną, że do dzisiaj pozostała w mojej pamięci - wraz z innymi niezapomnianymi, lecz nie tak niezwykłymi wydarzeniami tego tygodnia. Lord Darlington wezwał mnie bowiem do biura i już od progu zauważyłem, że jest nieco podenerwowany. Zasiadł za stołem i, jak zwykle, zajął ręce otwartą książką - tym razem było nią „Who's Who” - obracając kartki to w tę, to w drugą stronę.

- A, Stevens - zaczął ze źle udawaną nonszalancją, lecz zaraz urwał, nie wiedząc chyba, co mówić dalej. Stałem w miejscu, gotowy uwolnić go od tego zmieszania przy pierwszej okazji. Jego lordowska mość nadal kartkował strony, po czym rzekł:

- Stevens, wiem, że to, o co cię teraz poproszę, jest nieco dziwne.

- Sir?

- Tylko że mam teraz tyle ważnych spraw na głowie...

- Będę bardzo szczęśliwy, sir, jeżeli uda mi się w czymś pomóc.

- Bardzo przepraszam, że wychodzę z czymś takim, Stevens. Wiem, że i wy jesteście okropnie zajęci. Ale nie widzę sposobu, żeby wykręcić się od tego.

Czekałem przez chwilę, podczas gdy lord Darlington znów wertował „Who's Who”. Wreszcie, nie podnosząc głowy, powiedział:

- Zakładam, że jesteście uświadomieni?

- Sir?

- Uświadomieni, Stevens, No, o ptaszkach, o pszczołkach. Wiecie, co i jak, prawda?

- Obawiam się, że nie bardzo rozumiem, sir.

- Pozwólcie, że wyłożę karty na stół. Sir David to mój stary przyjaciel. A do tego był wręcz nieoceniony przy organizacji tej konferencji. Można śmiało stwierdzić, że bez niego nie dałoby się skłonić do przyjazdu tutaj monsieur Duponta.

- Tak, oczywiście, sir.

- Nie zmienia to faktu, że sir David ma swoje śmieszności. Być może sam to zauważyłeś. Przywiózł tu ze sobą swego syna, Reginalda, który będzie jego sekretarzem. Chodzi o to, że on się zaręczył. To znaczy młody Reginald.

- Tak, sir.

- Sir David od pięciu lat usiłuje uświadomić swego syna. Ten młody człowiek ma już dwadzieścia trzy lata.

- Tak jest, sir.

- Przejdę do sedna, Stevens. Tak się składa, że jestem jego ojcem chrzestnym. W związku z tym sir David poprosił mnie, bym to ja uświadomił młodego Reginalda.

- Ach, tak, sir.

- Sir David uznał, że jest to zadanie ponad jego siły, i obawia się, że on sam nie zdąży tego uczynić przed ślubem syna.

- Tak jest, sir.

- No, a chodzi o to, Stevens, że ja jestem okropnie zajęty. Sir David powinien wziąć to pod uwagę, ale cóż, właśnie teraz poprosił mnie o tę przysługę - jego lordowska mość urwał i zaczął znów studiować książkę.

- Czy dobrze rozumiem, sir - powiedziałem - że życzy pan sobie, bym to ja przekazał te informacje młodemu panu?

- No właśnie, Stevens, jeśli byście mogli. Przynajmniej to miałbym z głowy. Sir David co parę godzin wypytuje mnie, czy już to zrobiłem.

- Rozumiem, sir. Musi być to dość uciążliwe przy obecnym natłoku zajęć.

- Zdaję sobie sprawę, Stevens, że to wykracza bardzo daleko poza wasze obowiązki służbowe.

- Zrobię, co w mojej mocy, sir. Mogę mieć jednak pewne trudności ze znalezieniem odpowiedniej chwili na przekazanie tego typu informacji.

- Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyście choć spróbowali, Stevens. Byłoby to naprawdę bardzo uprzejmie z waszej strony. Posłuchajcie, nie ma co za długo o tym rozprawiać. Podajcie tylko najważniejsze fakty i już. Najlepiej prosto z mostu, Stevens, posłuchajcie dobrej rady, Stevens.

- Tak jest, sir. Postaram się.

- Będę wam bardzo wdzięczny. Powiedzcie mi potem, jak wam poszło.

Jak mogą się Państwo spodziewać, byłem nieco zaszokowany tym poleceniem. W warunkach normalnych długo bym się nad nim zastanawiał. Że jednak otrzymałem je teraz, w tak pełnej zajęć chwili, nie mogłem sobie pozwolić, by zbyt mnie zaprzętało, więc postanowiłem załatwić sprawę przy pierwszej nadarzającej się okazji. O ile pamiętam, już w godzinę po powierzeniu mi tej misji spostrzegłem, że młody pan Cardinal znajduje się sam w bibliotece; siedząc przy jednym z biurków studiował uważnie jakieś dokumenty. Przypatrzwszy się bliżej młodemu panu, można było zrozumieć, na czym polega trudność, którą napotkał jego lordowska mość - i niewątpliwie również ojciec młodego pana. Chrześniak mojego chlebodawcy wyglądał bowiem na poważnego, pilnego młodzieńca, w którego rysach można było dostrzec wiele pięknych cech; jednak w sytuacji gdy temat, jaki miałem z nim poruszyć, był taki, a nie inny, lepiej byłoby mieć do czynienia z młodzieńcem nieco lżejszego - by nie rzecz bardziej frywolnego - usposobienia. W każdym razie, zdecydowany jak najszybciej wykonać powierzone zadanie, wszedłem do biblioteki i zatrzymawszy się nieopodal biurka pana Cardinala, kaszlnąłem lekko.

- Przepraszam, sir, lecz mam przekazać panu pewne informacje.

- Ach, tak? - żywo powiedział pan Cardinal, unosząc głowę znad dokumentów. - Czy od ojca?

- Tak jest, sir. To znaczy, częściowo tak, sir.

- Już, chwileczkę - młody pan sięgnął do stojącej u jego stóp aktówki i wyciągnął notes i ołówek. - No, walcie, Stevens.

Znów odkasznąłem i starałem się nadać memu głosowi jak najbardziej bezosobowe brzmienie.

- Sir David życzy sobie, by pan dowiedział się, sir, o pewnych, bardzo ważnych różnicach, jakie istnieją pomiędzy paniami a panami.

Musiałem chyba urwać na chwilę, by sformułować następne zdanie, gdyż pan Cardinal westchnął i rzekł:

- Znam je aż za dobrze, Stevens. Czy moglibyście powiedzieć od razu, o co chodzi?

- To pan wie, sir?

- Ojciec wiecznie mnie nie docenia. Ja tymczasem wyczerpująco przestudiowałem cały ten temat.

- Czy tak, sir?

- Od miesiąca o niczym innym nie myślę.

- Ach, więc to tak, sir. W takim razie moja informacja jest już być może niepotrzebna.

- Możecie zapewnić ojca, że jestem naprawdę bardzo dobrze przygotowany. Ta teczka - trącił ją nogą - aż pęka od notatek, a jest w nich na ten temat więcej, niż można to sobie w ogóle wyobrazić.

- Czy tak, sir?

- Naprawdę uważam, że wziąłem pod uwagę każdy wariant, jaki tylko zdolny jest wymyślić ludzki umysł. Chciałbym, byście zapewnili o tym ojca.

- Zrobię to na pewno, sir.

Pan Cardinal rozluźnił się nieco. Jeszcze raz dotknął swej aktówki - od której wolałem odwrócić wzrok - i powiedział:

- Pewnie zastanawialiście się, dlaczego nigdy nie wypuszczam z rąk tej teczki. No, to teraz już wiecie. Wyobraźcie sobie, co by się stało, gdyby otworzył ją ktoś niepowołany.

- Byłoby to wysoce żenujące, sir.

- O tak, oczywiście - powiedział, nagle prostując się - chyba że ojciec pomyślał jeszcze o jakimś nowym elemencie, nad którym mam się zastanowić.

- Nie sędzę, sir.

- Nie? Czyli nie wiemy już nic więcej o tym Duponcie?

- Obawiam się, że nie, sir.

Z najwyższym wysiłkiem powstrzymałem się, by nie dać poznać po sobie całej mej rozpaczy, gdy pojąłem, że zadanie, które uważałem już za wykonane, nie zostało nawet rozpoczęte. Staralem się zbierać myśli, by zacząć od nowa, gdy młody pan powstał nagle i ściskając swą aktówkę pod pachą powiedział:

- No, to pójde chyba zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Dzięki za pomoc, Stevens.

Miałem zamiar postarać się jak najszybciej o kolejną rozmowę z panem Cardinalem, lecz okazało się to niemożliwe, głównie z powodu przyjazdu tego samego popołudnia - dwa dni wcześniej, niż się spodziewano - pana Lewisa, znanego amerykańskiego senatora. Pracowałem właśnie u siebie na dole nad rachunkami od dostawcy, gdy gdzieś nad głową usłyszałem ten jedyny w swoim rodzaju odgłos zajeżdżających na dziedziniec samochodów. Spiesząc na górę natknąłem się na pannę Kenton w tylnym korytarzu - a więc w miejscu naszego ostatniego nieporozumienia - i być może to niefortunne skojarzenie zachęciło ją do kontynuowania tej całej dziecinady. Gdy bowiem zapytałem, kto przyjechał, panna Kenton rzuciła tylko, nie zwalniając kroku: „Na piśmie, jeśli to coś ważnego, panie Stevens”. Było to, oczywiście, wysoce irytujące, lecz nie miałem teraz czasu na dyskusję, gdyż musiałem pędzić na górę.

Pana Lewisa pamiętam jako mężczyznę postawnego, z wiecznie przyklejonym do ust dobrotliwym uśmiechem. Jego wcześniejsze przybycie było bez wątpienia bardzo niewygodne dla naszego lorda i jego kolegów, którzy liczyli, że będą mieli dzień lub dwa na spokojne przygotowanie się do konferencji. Jednak ujmująca otwartość pana Lewisa oraz jego stwierdzenie przy kolacji, że Stany Zjednoczone „będą zawsze stały po stronie sprawiedliwości i gotowe są uznać, że w Wersalu popełnione zostały pewne błędy”, zdały się zyskać mu zaufanie „drużyny gospodarzy”; wraz z trwaniem kolacji rozmowa powoli, lecz nieubłaganie przeszła od zalet Pensylwanii, ojczyzny pana Lewisa, do nadchodzącej konferencji; gdy panowie zapalali cygara, niektóre z wyrażanych opinii miały charakter równie poufny jak te, które wymieniano przed przyjazdem pana Lewisa. W pewnej chwili dżentelmen ów zwrócił się do reszty towarzystwa tymi słowami:

- Zgadzam się z wami, panowie, że nasz monsieur Dupont może być bardzo nieprzewidywalny. Chciałbym jednak powiedzieć o nim jedną rzecz, o którą mógłbym się założyć. I to założyć się ze stuprocentową pewnością. - Pochylił się do przodu i dla

podkreślenia swych słów zaczął gestykulować cygarem. - Dupont nienawidzi Niemców. Nienawidził ich przed wojną i nienawidzi ich teraz z mocą, której panowie nie jesteście nawet w stanie pojąć. - Tu pan Lewis znów rozparł się w krzesło, a dobrotliwy uśmiech powrócił na jego twarz. - Powiedzcie mi jednak, panowie, jak to jest - ciągnął. - Nie można przecież tak bardzo winić Francuzów za to, że nienawidzą Niemców, prawda? Francuzi mają w końcu swoje powody, no nie?

Pan Lewis rozejrzał się dokoła. Na chwilę zapanowało niezręczne milczenie. W końcu odezwał się lord Darlington:

- Naturalnie, w takich sprawach nie da się uniknąć pewnych uraz. Ale przecież i my, Anglicy, długo i ciężko walczyliśmy z Niemcami.

- Jednak wy, Anglicy, tym chyba różnicie się od Francuzów - odparł pan Lewis - że wy już tak naprawdę przestaliście nienawidzić Niemców. Tymczasem według Francuzów Niemcy zniszczyli cywilizację w Europie i nie ma za to dla nich wystarczającej kary. Oczywiście, nam, w Stanach, wydaje się to bardzo niepraktycznym podejściem do sprawy; zawsze dziwiło mnie jednak co innego - że wy, Anglicy, nie podzielacie właśnie poglądów Francuzów. A przecież sami twierdzicie, że Wielka Brytania też wiele straciła w tej wojnie.

Nastąpiła kolejna niezręczna przerwa, po czym, nieco niepewnie, głos zabrał sir David.

- My, Anglicy, panie Lewis, często inaczej niż Francuzi patrzymy na te sprawy.

- Ach, tak. Można by powiedzieć, że macie różne temperamenty. - Gdy to mówił, jego uśmiech zdał się jeszcze szerszy. Pokiwał głową, jak gdyby znalazł teraz odpowiedź na wiele nurtujących go pytań, i zaciągnął się cygarem.

Być może teraz, po fakcie, ubarwiam nieco moje wspomnienia, lecz wyraźnie pamiętam, że wówczas wyczułem po raz pierwszy coś dziwnego, pewną jakby dwulicowość, u tego czarującego skądinąd Amerykanina. Jeżeli jednak obudziły się we mnie jakieś podejrzenia, wyraźnie nie podzielał ich lord Darlington. Milczał przez chwilę, rozważając coś w duchu. Wreszcie podjął decyzję.

- Panie Lewis - zaczął. - Powiem otwarcie. Większość nas, Anglików, uważa obecną postawę Francuzów za godną pożałowania. Może pan to nazywać różnicą

temperamentów, lecz ośmielałam się twierdzić, że chodzi tu o coś więcej. Nie przystoi do tego stopnia nienawidzić przeciwnika, gdy konflikt już się zakończył. Gdy leży już na deskach, to na tym koniec, nie wolno go jeszcze kopać. Jesteśmy coraz mocniej przekonani, że obecne zachowanie Francuzów to barbarzyństwo.

Ta ostatnia wypowiedź zdawała się zadowolić pana Lewisa, gdyż mruknął coś ze zrozumieniem i uśmiechnął się z aprobatą do współbiesiadników przez kłęby dymu tytoniowego, gęsto już unoszące się nad stołem.

Następnego ranka również zjawili się nie oczekiwani tak wcześnie goście. Najpierw przybyły obie panie z Niemiec, które podróżowały razem, pomimo wielkiej, zdawałoby się, różnicy w ich pochodzeniu - i które przywiozły ze sobą całą świtę dam do towarzystwa i lokajów, jak i całe sterty kufrów i walizek. Potem, po południu pojawił się Włoch w towarzystwie lokaja, sekretarza, „eksperta” i dwóch członków ochrony osobistej. Zupełnie nie wiem, czego się spodziewał, przywożąc tutaj tych ostatnich. Muszę stwierdzić, że było czymś przedziwnym widzieć w Darlington Hall tych dwóch wielkich, milczących mężczyzn, strzelających podejrzliwie oczyma we wszystkie strony na parę kroków wokół miejsca, gdzie akurat przebywał ich pan. Wkrótce okazało się zresztą, że ich podział pracy wymagał, by jeden lub drugi chodził spać o najdziwniejszych porach, dzięki czemu przynajmniej jeden z nich mógł być na służbie przez całą noc. Gdy jednak, dowiedziawszy się o tym układzie, chciałem przekazać to panie Kenton, ta po raz kolejny uchyliła się od rozmowy ze mną. By załatwić to jak najszybciej, byłem rzeczywiście zmuszony do sporządzenia krótkiej notatki, którą wsunąłem pod drzwi jej saloniku.

Następny dzień przyniósł kolejnych gości i na dwa dni przed rozpoczęciem konferencji Darlington Hall był już pełny ludzi wszelkich narodowości, rozmawiających po pokojach albo stojących, zdawałoby się bez celu, w hallu, w korytarzach, na podestach schodów, oglądających obrazy czy inne ozdoby. Goście ci odnosili się do siebie z wyszukaną uprzejmością, lecz pomimo to panowała dość napięta atmosfera, charakteryzująca się przede wszystkim nieufnością. Jakby pod jej wpływem służba gości również odnosiła się do siebie bardzo chłodno, więc mój personel był nawet całkiem zadowolony, że z powodu natłoku zajęć nie może spędzać z nią zbyt wiele czasu.

W takiej właśnie sytuacji, gdy zajmowałem się naraz kilkoma sprawami wymagającymi mej uwagi, wyjrzałem przypadkowo przez okno i zobaczyłem sylwetkę młodego pana Cardinala, który zażywał świeżego powietrza. Jak zwykle ściskając mocno swą aktówkę, spacerował po ścieżce biegnącej obrzeżem trawnika i wydawał się głęboko zatopiony w myślach. Rzecz jasna, natychmiast przypomniałem sobie o powierzonych misji; przyszło mi na myśl, że na dworze, na łonie natury i w bezpośredniej bliskości adekwatnego przykładu, czyli gęsi, łatwiej będzie przekazać mu owe wiadomości. Zauważyłem ponadto, że jeżeli wyjdę szybko na zewnątrz i schowam się za wielki krzew rododendronu, pan Cardinal wkrótce zbliży się do mnie. Nie był to, przyznaję, najsubtelniejszy plan, lecz rozumieją Państwo, że to akurat zadanie, choć na swój sposób niewątpliwie ważne, nie było dla mnie wówczas sprawą pierwszej kolejności.

Lekki szron pokrywał jeszcze ziemię i sporą część liści, lecz dzień był dość ciepły jak na tę porę roku. Szybko przeszedłem przez trawę, skryłem się za krzewem rododendronu i wkrótce usłyszałem zbliżające się kroki pana Cardinala. Niestety, źle obliczyłem czas mojego pojawienia się; chcąc sprawić wrażenie, że idę do altany lub do domku ogrodnika, planowałem ukazać się na ścieżce w pewnej odległości od pana Cardinala, by ten zobaczył mnie na czas. Mógłbym wtedy udać, że dopiero teraz go zauważyłem, i rozpocząć zaimprovizowaną rozmowę. Tymczasem pojawiłem się zbyt późno i obawiam się, że dość wystraszyłem młodego pana, który natychmiast zasłonił aktówkę, oburącz przyciskając ją do piersi.

- Och, bardzo przepraszam, sir.

- Boże, Stevens. Aleście mnie przestraszyli. Już myślałem, że będzie jakaś awantura.

- Bardzo mi przykro, sir. Tak się jednak składa, że mam panu coś do zakomunikowania.

- Słucham. O Boże, jak się przestraszyłem.

- Chciałbym od razu przejść do sedna sprawy, sir. Na pewno dostrzega pan te gęsi, które znajdują się niedaleko od nas?

- Gęsi? - rozglądał się dokoła nieco zdumiony. - Ach, tak. O, tam.

- Jak również kwiaty i krzewy. Nie jest to, co prawda, najlepsza pora roku, by widzieć je w pełnym rozkwicie, lecz zauważy pan niewątpliwie, sir, że wraz z nadejściem wiosny w otoczeniu tym zajdzie pewna zmiana, wielce szczególna zmiana.

- O, tak, ogród na pewno nie jest teraz w swym najlepszym okresie. Ale szczerze mówiąc, Stevens, nie zwracałem w tej chwili większej uwagi na cuda natury. To wszystko jest takie denerwujące. A jeszcze ten monsieur Dupont przyjechał w jak najgorszym nastroju. Tylko tego nam brakowało.

- To pan Dupont już przybył, sir?

- Jakieś pół godziny temu. I to w okropnie złym humorze.

- Proszę mi wybaczyć, sir, ale muszę zająć się nim natychmiast.

- Oczywiście, Stevens. To miło, że wyszliście do mnie, żeby sobie pogadać.

- Proszę mi wybaczyć, sir. W rzeczywistości muszę panu powiedzieć jeszcze parę słów na temat - jak pan to nazwał - cudów natury. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby poświęcił mi pan chwilę uwagi. Obawiam się jednak, że będziemy musieli poczekać do następnej okazji.

- O, bardzo chętnie, Stevens. Chociaż mnie właściwie najbardziej interesują ryby. Świetnie znam się na rybach i to na morskich i słodkowodnych.

- Mam nadzieję w przyszłości dyskutować z panem o całej przyrodzie ożywionej, sir. Teraz jednak muszę prosić o wybaczenie. Nie miałem pojęcia, że monsieur Dupont już przyjechał.

Pośpieszyłem do domu, gdzie już na progu czekał na mnie starszy lokaj.

- Szukaliśmy pana wszędzie. Przyjechał ten pan z Francji.

Monsieur Dupont był wysokim, eleganckim mężczyzną z siwą brodą i monoklem. Przyjechał w stroju, w którym często widuje się panów z kontynentu spędzających wakacje; jak się potem okazało, przez cały czas pobytu w Darlington Hall konsekwentnie zachowywał pozory, że przybył tu wyłącznie dla przyjemności i nawiązania przyjaźni. Jak mówił młody pan Cardinal, monsieur Dupont nie przyjechał w dobrym nastroju; nie pamiętam teraz dokładnie wszystkiego, co zdenerwowało go od chwili przybycia do Anglii, lecz szczególne znaczenie miały tu pęcherze na stopach, których nabawił się podczas zwiedzania Londynu i od których obawiał się zakażenia. Odesłałem w tej sprawie

jego osobistego służącego do panny Kenton, lecz nie przeszkodziło mu to w parę godzin później pstryknąć na mnie palcami i rzucić: „Kamerdyner! Potrzeba mi więcej bandaży”.

Jego nastrój poprawił się dopiero na widok pana Lewisa. Z amerykańskim senatorem powitali się jak starzy znajomi i przez prawie całą resztę dnia można ich było spotkać razem, jak ze śmiechem wymieniali wspomnienia. Widać było zresztą, że niemal ciągła obecność pana Lewisa przy monsieur Dupontcie była bardzo nie w smak lordowi Darlingtonowi, który, oczywiście, chciał poznać bliżej tego dostojnego gościa jeszcze przed rozpoczęciem obrad. Kilkakrotnie byłem świadkiem, że gdy tylko jego lordowska mość starał się zamienić parę słów na stronie z monsieur Dupontem, zaraz pojawiał się przy nich uśmiechnięty pan Lewis, z uwagą typu: „Wybaczcie mi, panowie, ale pewna rzecz bardzo mnie zajmuje” i jego lordowska mość musiał znów wysłuchiwać jowialnych anegdot Amerykanina. Jednak - poza panem Lewisem - reszta gości, czy to z powodu onieśmielenia, czy wrogości, trzymała się z dala od monsieur Duponta, co dało się łatwo zauważyć nawet w tak pełnej rezerwy atmosferze i co jeszcze dobitniej podkreślało ogólne odczucie, że to właśnie od monsieur Duponta zależeć będzie wynik nadchodzących dyskusji.

Konferencja rozpoczęła się w deszczowy poranek ostatniego tygodnia marca roku 1923 w nieco nietypowym miejscu, to jest w salonie - jakby dla podkreślenia, że wielu z obecnych przybyło tu ściśle nieoficjalnie. Według mnie zresztą, owo staranie się o wrażenie „nieoficjalności” zostało posunięte aż do przesady. Już i sam widok tego przeznaczonego przede wszystkim dla kobiet pokoju, tym razem wypełnionego przez tylu poważnych, odzianych w ciemne garnitury panów, czasem siedzących po trzech czy czterech na jednej kanapie, sprawiał doprawdy dziwne wrażenie; jednak pragnienie niektórych z gości, by do końca zachować pozory spotkania o charakterze wyłącznie towarzyskim, było tak silne, że trzymali na kolanach otwarte gazety i czasopisma.

Podczas tego pierwszego przedpołudnia byłem zmuszony ciągle wchodzić i wychodzić z salonu, więc nie mogłem dokładnie śledzić biegu wydarzeń. Pamiętam jednak, że obrady otworzył lord Darlington, wygłaszając słowa oficjalnego powitania, a następnie przedstawiając ważne przesłanki moralne dla złagodzenia pewnych postanowień traktatu wersalskiego, ze szczególnym naciskiem na wielkie cierpienia narodu niemieckiego, jakich sam był świadkiem. Oczywiście, podobne poglądy słyszałem

już wielokrotnie z ust jego lordowskiej mości, lecz podczas tego dostojnego zgromadzenia przemawiał z tak głębokim przekonaniem, że nie mogłem oprzeć się nowej fali wzruszenia. Potem głos zabrał sir David Cardinal i choć nie słyszałem znacznej części jego wystąpienia, wydaje mi się, że było ono bardziej poświęcone kwestiom szczegółowym i, szczerze mówiąc, dla mnie zbyt trudne - jednak ogólnie rzecz biorąc pokrywało się z tym, co mówił lord Darlington, a zakończyło apelem o zamrożenie spłat odszkodowań wojennych przez Niemcy i wycofanie wojsk francuskich z rejonu Ruhry. Potem przemawiała niemiecka księżna, lecz wtedy musiałem na dłuższy czas opuścić salon z jakiegoś powodu, którego już nie pamiętam. Gdy wróciłem, trwała już otwarta dyskusja, która - jako że dotyczyła głównie gospodarki i stopy kredytowej - była dla mnie zupełnie niezrozumiała.

O ile mogłem zauważyć, monsieur Dupont nie brał udziału w tych rozważaniach, a z jego posępnej miny trudno było wywnioskować, czy słucha uważnie tego, co się tu mówi, czy też jest głęboko zatopiony we własnych myślach. W pewnej chwili, gdy wychodziłem z pokoju w połowie mowy jednego z Niemców, monsieur Dupont wstał nagle i podążył za mną.

- Kamerdyner - powiedział, gdy znaleźliśmy się w hallu. - Może dałoby się zmienić opatrunek? Przez ten ból nie mogę skoncentrować się na tym, co mówią inni.

Jak pamiętam, przekazałem tę prośbę panie Kenton - oczywiście za pośrednictwem posłańca - i zostawiłem monsieur Duponta w pokoju bilardowym. Gdy wychodziłem, zbiegł ku mnie po schodach mocno zdenerwowany starszy lokaj z wiadomością, że zaniemógł mój ojciec.

Pośpieszyłem na pierwsze piętro i osiągnąwszy podest zobaczyłem dziwaczny widok. W końcu korytarza, niemal naprzeciw wielkiego okna wypełnionego obecnie szarą poświatą i deszczem, widniała postać mego ojca, zastygła w pozie sprawiającej wrażenie, że bierze udział w jakiejś ceremonii. Opadł na jedno kolano i z nisko pochyloną głową zdawał się wciąż pchać stojący przed nim wózek, który z nieznanego powodu nie pozwalał ruszyć się z miejsca. W pewnej odległości od niego stały dwie pokojówki, z obawą śledząc jego wysiłki. Podszedłem do ojca i oderwawszy jego dłonie od krawędzi wózka, powoli ułożyłem go na dywanie. Miał zamknięte oczy; na spopielalej twarzy

perlily się krople potu. Zawołano jeszcze kogoś do pomocy, wnet pojawił się fotel na kółkach i ojciec został przewieziony na górę do swego pokoju.

Gdy już położono go do łóżka, nie wiedziałem przez chwilę, jak postąpić; choć było niepożądane zostawiać ojca samego w tym stanie, naprawdę nie miałem ani chwili czasu. Kiedy tak stałem na progu, niezdecydowany, obok mnie pojawiła się panna Kenton, mówiąc:

- Panie Stevens, mam teraz trochę więcej czasu niż pan. Jeśli pan sobie życzy, mogłabym zostać przy pana ojcu. Przyprowadzę doktora Mereditha i dam panu znać, jeżeli będzie miał coś ważnego do powiedzenia.

- Dziękuję pani, panno Kenton - rzekłem i wyszedłem.

Wróciłem do salonu, gdy jeden z duchownych mówił o niedostatku, jaki cierpią teraz berlińskie dzieci. Natychmiast musiałem zająć się dolewaniem gościom herbaty i kawy. Kilku panów, zauważyłem, piło alkohol, a jeden czy dwóch zaczęło nawet palić, nie zważając na obecność pań. Pamiętam, że wyszedłem z salonu z opróżnionym dzbankiem na herbatę, gdy zatrzymała mnie panna Kenton.

- Panie Stevens, doktor Meredith właśnie wyjeżdża. Gdy to mówiła, dostrzegłem doktora wkładającego w hallu nieprzemakalny płaszcz i kapelusz, zbliżyłem się więc do niego, wciąż dzierżąc dzbanek do herbaty. Spojrzał na mnie z niezadowoloną miną.

- Z waszym ojcem nie jest najlepiej - powiedział. - Gdyby jego stan jeszcze się pogorszył, proszę mnie natychmiast wezwać.

- Tak jest, sir. Bardzo panu dziękuję, sir.

- Ile lat ma wasz ojciec, Stevens?

- Siedemdziesiąt dwa, sir.

Doktor Meredith podumał przez chwilę, po czym powtórzył:

- Gdyby jego stan jeszcze się pogorszył, proszę mnie natychmiast wezwać.

Jeszcze raz podziękowałem doktorowi i odprowadziłem go do drzwi.

Tego samego wieczoru, tuż przed kolacją, przypadkiem podsłuchiłem rozmowę pomiędzy panem Lewisem a monsieur Dupontem. Z jakiegoś powodu szedłem do pokoju monsieur Duponta i właśnie miałem zapukać do drzwi, lecz przedtem przez chwilę nasłuchiwałem pod drzwiami. Być może nie macie Państwo w zwyczaju przedsiębrać tej

drobnej ostrożności, by nie zapukać do kogoś w najmniej odpowiednim momencie. Ja jednak zawsze tak robię i jestem gotów przysiąc, że jest to zwykła praktyka wśród ludzi mojego zawodu. Nie chodzi tu wcale o żadne podsłuchiwanie, ponieważ bynajmniej nie miałem zamiaru dowiedzieć się tego wszystkiego, o czym mówiono owego wieczoru. Jednak los tak chciał, że gdy przyłożyłem ucho do drzwi pokoju monsieur Duponta, dobiegał stamtąd głos pana Lewisa i choć nie potrafię dokładnie przytoczyć słów, które na początku usłyszałem, ton jego głosu wydał mi się podejrzany. Słuchałem więc tego samego dobrotliwego i powolnego głosu, którym ów Amerykanin oczarował tak wielu od chwili swego przybycia, lecz tym razem wyczuwałem w nim - jestem tego pewien - jakieś podstępne nutki. To spostrzeżenie oraz fakt, że głos ten dochodził z pokoju monsieur Duponta - a więc to najprawdopodobniej z tą bardzo ważną osobistością rozmawiał pan Lewis - sprawiły, że powstrzymałem dłoń i zacząłem nasłuchiwać.

Drzwi sypialni w Darlington Hall są dość grube, więc nie mogłem usłyszeć całej rozmowy, trudno mi też teraz przypomnieć sobie dokładnie, jakie słowa doszły do moich uszu; podobne trudności miałem zresztą jeszcze tego samego wieczoru, gdy donosiłem o wszystkim jego lordowskiej mości. Mimo to nie można powiedzieć, bym nie mógł doskonale zrozumieć, co zaszło w tym pokoju. Otóż Amerykanin wygłaszał opinię, że jego lordowska mość i inni uczestnicy konferencji knują przeciwko monsieur Dupontowi; że monsieur został dlatego zaproszony najpóźniej, by inni mogli omówić wiele spraw pod jego nieobecność, że nawet po jego przyjeździe można było zauważyć, iż jego lordowska mość prowadzi poufne konsultacje z najważniejszymi delegatami, nie dopuszczając do nich monsieur Duponta. Wreszcie pan Lewis zaczął przytaczać pewne uwagi poczynione przez jego lordowska mość i inne osoby w pierwszym dniu jego, pana Lewisa, pobytu w Darlington Hall.

- Szczerze mówiąc - usłyszałem - byłem wstrząśnięty ich nastawieniem do pańskich rodaków, proszę pana. Używali wręcz zwrotów typu „barbarzyństwo”, czy „godne pożałowania”. Zanotowałem je zresztą w moim dzienniku zaledwie parę godzin później.

Monsieur Dupont dał na to jakąś krótką odpowiedź, której nie dosłyszałem, po czym znów przemówił pan Lewis.

- Mówię panu, byłem wstrząśnięty. Czy tak mówi się o sojuszniku, z którym zaledwie parę lat temu stało się ramię przy ramieniu?

Nie jestem pewien, czy wtedy w ogóle zapukałem do drzwi Francuza; możliwe, że z uwagi na niepokojący charakter tego, co usłyszałem, postanowiłem wycofać się natychmiast. W każdym razie nie pozostałem tam na tyle długo - jak potem relacjonowałem jego lordowskiej mości - by mieć jakiegokolwiek pojęcie o reakcji monsieur Duponta.

Następnego dnia dyskusja w salonie przybrała na sile i przed samym obiadem stała się bardzo burzliwa. Odniosłem wrażenie, że oskarżenia były coraz śmieiej kierowane ku fotelowi, w którym siedział skubiąc brodę małomówny monsieur Dupont. Zauważyłem też, że podczas każdej przerwy pan Lewis natychmiast odciągał go na bok i tam naradzali się szeptem. Raz nawet natknąłem się na tych dwóch panów, gdy rozmawiali ze sobą skrycie tuż za progiem biblioteki; odniosłem wrażenie, że na mój widok przerwali nagle dyskusję.

Tymczasem stan zdrowia mojego ojca ani nie pogorszył się, ani nie poprawił. Jak mi mówiono, przez większość czasu spał i w takim właśnie stanie znajdowałem go w tych nielicznych chwilach, gdy mogłem zajrzeć do jego pokoiku na poddaszu. Okazję porozmawiania z nim miałem dopiero drugiego wieczoru po nawrocie choroby.

Również i wtedy spał, gdy przyszedłem, ale pozostawiona przy nim przez pannę Kenton pokojówka wstała na mój widok i zaczęła potrząsać go za ramię.

- Co ty robisz, głupia! - wykrzyknąłem.
- Pan Stevens kazał się obudzić, gdyby pan przyszedł, sir.
- Niech śpi. Był bardzo przemęczony.
- Powiedział, że mam go obudzić i już, sir - odparła dziewczyna i znów nim potrząsnęła.

Ojciec otworzył oczy, przekręcił nieco głowę na poduszce i spojrzał na mnie.

- Mam nadzieję, że ojciec czuje się już lepiej - powiedziałem.

Patrzył na mnie przez chwilę, po czym zapytał:

- Dajesz sobie radę tam, na dole?

- Sytuacja jest dość delikatna. Przed chwilą minęła szósta, więc może ojciec sobie wyobrazić, co teraz dzieje się w kuchni.

Na twarzy ojca pojawił się wyraz zniecierpliwienia.

- Ale dajesz sobie radę czy nie? - powtórzył.

- Tak, myślę, że może ojciec być spokojny. Bardzo się cieszę, że ojciec czuje się lepiej.

W zamyśleniu wyciągnął ręce spod kołdry i ze znużeniem wpatrywał się w swe dłonie. Trwał tak przez jakiś czas.

- Cieszę się, że ojciec czuje się znacznie lepiej - powiedziałem znowu po chwili. - No, a teraz muszę już wracać. Jak mówiłem, sytuacja jest dość delikatna.

Dalej przypatrywał się swym dłoniom. Potem rzekł powoli:

- Mam nadzieję, że byłem dla ciebie dobrym ojcem.

Zaśmiałem się lekko i powiedziałem:

- Tak się cieszę, że czujesz się znacznie lepiej.

- Jestem z ciebie dumny. Dobry z ciebie syn. Mam nadzieję, że byłem dla ciebie dobrym ojcem. Ale pewnie nie.

- Bardzo mi przykro, ale jesteśmy teraz niezwykle zajęci. Rano znowu porozmawiamy.

Ojciec wciąż przyglądał się swym dłoniom, jak gdyby lekko go irytowały.

- Tak się cieszę, że czujesz się lepiej - powtórzyłem jeszcze raz i wyszedłem.

Po zejściu nad dół zastałem kuchnię na granicy pandemonium, i w ogóle dość napiętą atmosferę wśród całej służby. Muszę się jednak pochwalić, że gdy podawano kolację, moi podwładni wykazywali niczym nie zmaćony, zawodowy spokój i sprawność.

Wspaniała sala bankietowa Darlington Hall w pełnej gali zawsze przedstawiała widok godny zapamiętania. Było tak również i tego wieczoru. Co prawda, długie rzędy panów we frakach, przy znikomej liczbie przedstawicielek płci pięknej, wprowadzały tu nastrój nieco surowy, lecz że w tamtych czasach w obu wielkich żyrandolach wiszących nad stołem znajdowały się lampy gazowe, salę oświetlał subtelny, delikatny blask - a nie,

tak jak teraz, oślepiająca jasność żarówek elektrycznych. Podczas tej drugiej, a zarazem ostatniej kolacji - większość gości miała rozjechać się następnego dnia po obiedzie - towarzystwo porzuciło rezerwę, jaką zachowywało przez ostatnie dni. Nie tylko rozmowy toczyły się głośniejsze i płynęły bystrzejszym nutem; wyraźnie więcej podawaliśmy teraz wina. Pod koniec kolacji, która z zawodowego punktu widzenia odbyła się bez większych trudności, jego lordowska mość wstał, by przemówić.

Zaczął od wyrażenia wdzięczności wszystkim obecnym za to, że dyskusje ostatnich dwóch dni, „choć chwilami niezwykle szczere”, były prowadzone w duchu przyjaźni i w dobrej wierze. Przyznał, że nie spodziewał się aż takiej jednogłośniejszości wśród uczestników. Ufa więc, że podczas pozostającej jeszcze przed nimi porannej, „podsumowującej” sesji będzie mógł usłyszeć zobowiązania uczestniczących stron co do działań, jakie podejmą przed zbliżającą się tak ważną konferencją międzynarodową w Szwajcarii. W tym właśnie miejscu jego lordowska mość - i nie sądzę, by planował to wcześniej - zaczął wspominać swego zmarłego przyjaciela, Herr Karla Heinza Bremanna. Było to niezbyt fortunne, ponieważ na ten temat, tak drogi sercu jego lordowskiej mości, zwykle mówił dosyć rozwlekle. Należy też może dodać, że lord Darlington nigdy nie cieszył się opinią osoby obdarzonej naturalnym talentem do przemówień i wkrótce w całej sali zaczęły narastać owe drobne odgłosy oznaczające, że mówca utracił zainteresowanie swych słuchaczy. Kiedy zaś lord Darlington doszedł wreszcie do wzniesienia toastu za „pokój i sprawiedliwość w Europie”, poziom tychże odgłosów - być może z powodu dużej ilości spożytego wina - zdał mi się graniczyć z przejawem złych manier.

Po spełnieniu toastu towarzystwo usiadło i rozmowy znów zaczęły rozbrzmiewać na nowo, gdy rozległo się energiczne stukanie w stół i z krzesła wstał monsieur Dupont. Na sali natychmiast zaległa cisza. Ten dostojny dżentelmen rozejrzał się wokół z powagą, po czym przemówił:

- Mam nadzieję, że nie odbieram komuś z obecnych powierzonego mi obowiązku, lecz nie usłyszałem dotąd propozycji, by wznieść ten toast w podziękowanie naszemu gospodarzowi, czcigodnemu lordowi Darlingtonowi. - Tu rozległ się pomruk aprobaty. - W ciągu ostatnich dwóch dni powiedziano tutaj wiele interesujących rzeczy. Wiele ważnych rzeczy.

Urwał, a na sali panowała teraz zupełna cisza.

- To, co tu mówiono - ciągnął - było często bezpośrednią lub pośrednią krytyką - choć to niewystarczająco silne słowo. - Krytyką polityki zagranicznej mego kraju. - Znów urwał; teraz wyglądał niemal groźnie. - W ciągu tych dwóch dni wysłuchaliśmy dokładnych i mądrych analiz obecnej, bardzo złożonej sytuacji w Europie. Pozwolę sobie powiedzieć, że mimo to żadną z nich nie ogarnęła w pełni powodów postawy, jaką Francja przyjęła względem swego sąsiada. Jednak - wznosił palec do góry - nie czas teraz rozpoczynać takie rozważania. Zresztą celowo nie zabierałem głosu, gdyż przyjechałem tu głównie po to, aby słuchać. I niechaj będzie mi wolno stwierdzić, że niektóre z przytaczanych tu argumentów zrobiły na mnie silne wrażenie. Ale jakie wrażenie, zapytacie państwo.

Monsieur Dupont uczynił kolejną przerwę, podczas której jego wzrok bardzo powoli obiegł wszystkie zwrócone ku niemu twarze. Wreszcie powiedział:

- Panowie - i panie, proszę mi wybaczyć - wiele myślałem o tych sprawach i pragnę stwierdzić tu z zupełną szczerością, że choć pomiędzy wieloma z obecnych a mną istnieją różnice w interpretacji tego, co naprawdę dzieje się teraz w Europie, pomimo to, jeśli chodzi o zasadnicze poruszane tutaj kwestie, jestem przekonany, przekonany - podkreślił - co do ich słuszności. - Wokół stołu rozległ się szmer, tyle ulgi, co triumfu, lecz tym razem monsieur Dupont nieco podniósł głos i mówił dalej: - Z przyjemnością zapewniam wszystkich tu obecnych, że użyję tego skromnego wpływu, jaki posiadam, by doprowadzić do pewnych zmian w polityce Francji, w znacznej części zgodnych z tym, co zostało tutaj powiedziane. I postaram się to uczynić na czas, a więc jeszcze przed konferencją w Szwajcarii.

Rozległy się głośnie brawa; zauważyłem, że jego lordowska mość wymienił spojrzenie z sir Davidem. Monsieur Dupont uniósł rękę, lecz nie wiadomo, czy dziękując za aplauz, czy aby go powstrzymać.

- Zanim jednak podziękuję naszemu gospodarzowi, lordowi Darlingtonowi... Otóż muszę tu obnażyć nieco moją duszę. Ktoś może powiedzieć, że nie należy do dobrego tonu obnażać się przy stole. - To stwierdzenie wywołało entuzjastyczny śmiech. - Ja jednak zawsze w takich sprawach na pierwszym miejscu stawiam szczerość. Podobnie jak uważam, że należy publicznie wyrazić wdzięczność lordowi Darlingtonowi, którego to zasługą jest zgromadzenie nas tutaj i tym samym umożliwienie, by zapanował wśród nas

duch jedności i dobrej woli - należy też z całą mocą otwarcie potępić tych, którzy zjawili się tutaj wyłącznie po to, by nadużywać gościnności naszego gospodarza, by z zapalem godnym lepszej sprawy rozsiewać wśród nas niezadowolenie i podejrzliwość. Osoby takie są nie tylko odrażające towarzysko; w dzisiejszej sytuacji ludzie tacy są po prostu niebezpieczni.

Znów urwał i po raz kolejny w sali zapanowała głucha cisza. Monsieur Dupont mówił dalej spokojnym, dobitnym głosem:

- Mam więc do pana Lewisa następujące pytanie: Do jakiego stopnia jego haniebna postawa odzwierciedla stanowisko obecnej administracji amerykańskiej? Panie i panowie, pozwólcie, że sam postaram się odpowiedzieć, ponieważ nie można polegać na słowie osoby zdolnej do takiej dwulicowości, jaką człowiek ten prezentował podczas całego naszego spotkania. A więc oto moje przypuszczenie. Oczywiście, Ameryka obawia się o spłaty naszych u niej długów - w wypadku zamrożenia reparacji niemieckich. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy miałem jednak okazję porozmawiać na ten właśnie temat z wieloma bardzo wysoko postawionymi osobistościami amerykańskimi i odniosłem wrażenie, że w kraju tym myśli się znacznie bardziej dalekowzrocznie, niż mogliśmy to zaobserwować na przykładzie obecnego tu ich rodaka. Pocięgą dla nas wszystkich, którym nieobojętne jest dobro Europy, będzie na pewno fakt, że pan Lewis - jak by to wyrazić? - nie ma już tych wpływów co dawniej. Być może uznają państwo, iż jestem zbyt brutalny, tak otwarcie mówiąc o tych sprawach. Otóż przeciwnie, panie i panowie, jestem właśnie bardzo delikatny, powstrzymałem się bowiem od powtórzenia tego, co ów dżentelmen mówił do mnie o was wszystkich, drodzy państwo, i to z niewyobrażalną wręcz bezczelnością i brakiem ogłady. Ale dość tych oskarżeń, czas na podziękowania. Proszę was więc, byście wraz ze mną wzniesli kielichy na cześć lorda Darlingtona.

Podczas swej przemowy monsieur Dupont ani razu nie spojrzął w stronę pana Lewisa; zresztą po spełnieniu toastu za jego lordowską mość i zajęciu z powrotem miejsc nikt inny również nie kwapił się spojrzeć na Amerykanina. Przez chwilę panowało niezręczne milczenie, po czym wstał pan Lewis. Na jego twarzy gościł, jak zwykle, uprzejmy uśmiech.

- No, ponieważ każdy dzisiaj przemawia, to może i ja skorzystam z okazji - powiedział i po jego głosie można było natychmiast poznać, że tego wieczoru wypił bardzo dużo. - Na temat tych bzdur wygłoszonych przed chwilą przez tego naszego Francuza nie mam absolutnie nic do powiedzenia. Takie gadanie puszcza mimo uszu. Różni ludzie próbowali już dać mi radę i bardzo nielicznym się to udało, bardzo nielicznym. - Tu pan Lewis urwał i wydawało się, że na chwilę stracił wątek. Wreszcie znowu uśmiechnął się i rzekł: - Jak powiedziałem, nie zamierzam tracić czasu na naszego Francuza. Ale tak się składa, że mam tu coś do powiedzenia. Jak już wszyscy jesteśmy tacy szczerzy, to ja też będę szczerzy. Otóż wybaczone mi, panowie, ale jesteście bandą naiwnych marzycieli. Zresztą gdybyście nie próbowali mieszać się do wielkich spraw całego świata, byłibyście naprawdę czarujący. Weźmy na przykład naszego gospodarza. Kimże on jest? Jest dżentelmenem, z czym, jak myślę, wszyscy się zgodzimy. Klasycznym angielskim dżentelmenem. Przyzwoitym, uczciwym, pełnym dobrych chęci. Ale jego lordowska mość jest też amatorem. - Przy słowie tym zrobił przerwę i rozejrzał się wokoło. - Jest amatorem, a sprawy międzynarodowe nie są dziś zajęciem dla dżentelmenów amatorów. Im wcześniej wy, Europejczycy, zdacie sobie z tego sprawę, tym lepiej. Pozwólcie, że was zapytam, wy wszyscy przyzwoici, pełni dobrych chęci dżentelmeni, czy wy wiecie, ku czemu zmierza świat, w którym żyjecie? Skończyły się czasy, gdy mogliście dawać upust tym waszym szlachetnym instynktom. Tylko że u was, w Europie, nie jest to jeszcze jasne. Osoby takie jak nasz gospodarz nadal uważają, że mogą mieszać się do spraw, o których nie mają pojęcia. Ile się tu w ciągu ostatnich dwóch dni nagadało bzdur! Dobrotliwych, naiwnych bzdur. Wam w Europie potrzeba teraz zawodowców. Jeżeli tego szybko nie zrozumiecie, czeka was katastrofa. A więc toast, panowie. Pozwólcie, że wzniosę toast. Za profesjonalizm.

Zapadło pełne zaskoczenia milczenie. Nikt nie ruszył się z miejsca. Pan Lewis wzruszył ramionami, przepił do wszystkich i usiadł. Niemal natychmiast wstał lord Darlington.

- Nie chciałym - zaczął jego lordowska mość - wszczynać kłótni w ten nasz ostatni wieczór, podczas tej jakże zasłużonej radosnej uroczystości. Jednak właśnie z poszanowania dla pańskich poglądów uważam, że nie należy ich traktować, jak gdyby zostały wypowiedziane przez jakiegoś zwariowanego krzykacza ulicznego. Niech mi więc

będzie wolno stwierdzić, co następuje: To, co pan nazywa „amatorszczyzną”, my tutaj nadal wolimy określać słowem „honor”.

To wywołało głośny pomruk aprobaty, parę okrzyków „właśnie! właśnie!” i nieco braw.

- Ponadto, proszę pana - ciągnął jego lordowska mość - wydaje mi się, że wiem dość dobrze, co pan uznaje za „profesjonalizm”. Otóż polega on na dążeniu do własnych celów drogą oszustw i manipulacji, cele te zaś określa chciwość i zaborczość, a nie pragnienie dobra i sprawiedliwości. Jeżeli tym jest ów „profesjonalizm”, o którym pan mówi, nie jest on w moim guście i nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Reakcją na te słowa był najgłośniejszy wybuch entuzjazmu, po którym nastąpiły długie i gorące brawa. Mogłem zauważyć, że pan Lewis uśmiecha się do swego kieliszka i ze znużeniem kręci głową. Wtedy właśnie stanął przy mnie starszy lokaj i szepnął:

- Panna Kenton chciałaby z panem mówić. Jest tu, za drzwiami.

Wyszedłem, jak tylko mogłem najdyskretniej, gdy tymczasem jego lordowska mość, wciąż stojąc, kontynuował swoje wystąpienie.

Panna Kenton była nieco zdenerwowana.

- Pański ojciec bardzo źle się poczuł, panie Stevens - rzekła. - Wezwałam już doktora Mereditha, lecz zdaje się, że nie będzie mógł przyjechać od razu.

Musiałem sprawiać wrażenie nieco zdezorientowanego, gdyż panna Kenton dodała:

- Z nim naprawdę jest bardzo źle. Niech pan lepiej od razu pójdzie do niego.

- Mam bardzo mało czasu. W każdej chwili goście mogą przejść do palarni.

- Oczywiście. Ale teraz niech pan idzie, panie Stevens, żeby potem gorzko tego nie żałować.

Panna Kenton pierwsza ruszyła po schodach i szybko przeszliśmy przez cały dom, aż do małego pokoiku na poddaszu. Nad łóżkiem mojego ojca stała kucharka, pani Mortimer, wciąż jeszcze w swym fartuchu.

- Och, panie Stevens - rzekła, gdy weszliśmy. - Bardzo mu się pogorszyło.

Rzeczywiście, twarz ojca miała teraz barwę matowej czerwieni, jakiej nigdy jeszcze nie widziałem u nikogo żywego. Usłyszałem, że stojąca za mną panna Kenton mówi cicho:

- Ma bardzo słaby puls...

Patrzyłem na ojca przez chwilę, dotknąłem jego czoła, po czym cofnąłem rękę.

- Według mnie - mówiła pani Mortimer - to on miał wylew. Już w życiu widziałam dwa, i to tak właśnie wyglądało. - I rozplakała się. Czuć ją było mocno tłuszczem i pieczenia.

Odwróciłem się i rzekłem do panny Kenton:

- To bardzo niepokojące, ale naprawdę muszę teraz być na dole.

- Oczywiście, panie Stevens. Powiem panu, gdy przyjedzie pan doktor. Albo gdyby zaszły jakieś zmiany.

- Dziękuję pani, panno Kenton.

Szybko zbiegłem po schodach i akurat zdążyłem na moment, w którym panowie przechodzili już do palarni. Lokaje z ulgą przyjęli moje pojawienie się na dole, ja zaś natychmiast wskazałem im ich stanowiska.

Gdy wróciłem na dół, wśród gości panowała już pogodna atmosfera. Palarnia pełna była mniejszych i większych grup osób śmiejących się i klepiących się nawzajem po ramieniu. O ile mogłem zauważyć, pan Lewis udał się już na spoczynek. Zacząłem krążyć po pokoju z butelką porto na tacy. Właśnie podałem kieliszek jednemu z gości, gdy usłyszałem za sobą:

- A, Stevens, więc mówicie, że interesujecie się rybami.

Odwróciłem się i ujrzałem młodego pana Cardinala, który uśmiechał się do mnie radośnie. Ja również uśmiechnąłem się i zapytałem:

- Rybami, sir?

- Jak byłem mały, trzymałem w akwarium przeróżne gatunki ryb tropikalnych. Miałem całkiem niezłe akwarium. Słuchajcie no, Stevens, nic wam nie jest?

- Nie, wszystko w porządku, dziękuję, sir.

- Jak słusznie powiedziałeś, koniecznie muszę przyjechać tu jeszcze raz na wiosnę. W Darlington Hall musi być wtedy cudownie. Zdaje się, że ostatnim razem byłem tu również w zimie. Hej, Stevens, naprawdę dobrze się czujecie?

- Zupełnie w porządku, dziękuję, sir.

- Nic wam nie jest, naprawdę?

- Nie, naprawdę nic, sir. Przepraszam bardzo.

Zacząłem nalewać porto innym gościom. Za sobą usłyszałem gromki śmiech; belgijski duchowny wykrzyknął: „Ależ to herezja! To zupełna herezja!”, po czym sam wybuchnął śmiechem. Poczulem, że ktoś dotyka mego ramienia. Był to lord Darlington.

- Co wam jest, Stevens?

- Nic, sir. Wszystko w porządku, sir.

- Wyglądacie, jakbyście płakali.

Zaśmiałem się i wyjąwszy chusteczkę, szybko otarłem twarz.

- Bardzo przepraszam, sir. To tylko ten ciężki dzień.

- O, tak, to była ciężka praca.

Ktoś zagadnął jego lordowską mość, więc ten odwrócił się, by odpowiedzieć. Miałem już ruszyć w dalszy obchód pokoju, gdy w otwartych drzwiach spostrzegłem pannę Kenton dającą mi jakieś znaki. Skierowałem się w stronę drzwi, lecz nim tam dotarłem, mego ramienia dotknął monsieur Dupont.

- Kamedyner - powiedział - czy nie moglibyście znaleźć dla mnie świeżego opatrunku? Stopy znów mi dokuczają.

- Tak jest, sir.

Kiedy ruszyłem do drzwi, okazało się, że monsieur Dupont idzie za mną. Odwróciłem się i powiedziałem:

- Jak tylko otrzymam wszystko, czego potrzeba, sir, natychmiast przyjdę do pana.

- Bardzo proszę, pośpieszcie się, kamedyner. To dość bolesne.

- Tak jest, sir. Bardzo mi przykro, sir.

Panna Kenton stała wciąż w hallu w tym samym miejscu, w którym ją przedtem widziałem. Gdy pojawiłem się, w milczeniu podeszła do schodów, a co dziwniejsze, bez większego pośpiechu. Wtedy odwróciła się i rzekła:

- Panie Stevens, bardzo mi przykro. Ojciec pana zmarł około czterech minut temu.
- Rozumiem.

Popatrzyła na swe dłonie, potem znów podniosła wzrok na moją twarz.

- Tak mi przykro, panie Stevens. Chciałabym móc panu coś powiedzieć.
- Nie trzeba, panno Kenton.

- Doktor Meredith jeszcze nie przyjechał. - Nagle pochyliła głowę i z piersi jej wydarł się urywany szloch. Natychmiast jednak opanowała się i zapytała spokojnym już głosem: - Czy pójdzie pan teraz do niego?

- Teraz jestem bardzo zajęty, panno Kenton. Może za chwilkę.
- W takim razie, panie Stevens, czy pozwoli pan, bym to ja zamknęła mu oczy?
- Byłbym pani bardzo wdzięczny, panno Kenton.

Już była na schodach, lecz zatrzymałem ją jeszcze, mówiąc:

- Panno Kenton, proszę mnie źle nie sądzić tylko dlatego, że nie idę teraz zobaczyć mego ojca na łożu śmierci. Widzi pani, wiem, że mój ojciec na pewno życzyłby sobie, bym tak właśnie postąpił.

- Oczywiście, panie Stevens.
- W innym przypadku czułbym, że go zawiodłem.
- Oczywiście, panie Stevens.

Odwróciłem się i, wciąż trzymając na tacy butelkę porto, wszedłem na powrót do palarni. To stosunkowo niewielkie pomieszczenie wyglądało teraz jak gąszcz czarnych fraków, siwych włosów i dymu z cygar. Przemykałem się między gośćmi, szukając kieliszków do napełnienia. Monsieur Dupont dotknął mojego ramienia i zapytał:

- Kamerdyner, czy zajęliście się moją sprawą?
- Bardzo mi przykro, sir, lecz w tej chwili nie możemy udzielić panu pomocy.
- Co to znaczy, kamerdyner? Zabrakło wam najprostszych artykułów medycznych?
- Tak się składa, sir, że jedzie już do nas lekarz.

- Ach, doskonale! Wezwaliście lekarza.

- Tak jest, sir.

- Świetnie, świetnie.

Monsieur Dupont powrócił do przerwanej rozmowy, a ja przez jakiś czas krążyłem po pokoju. W pewnej chwili od jednej z grup odłączyła się niemiecka księżna i zanim zdążyłem usłużyć jej kieliszkiem porto, sama zaczęła nalewać go sobie z butelki, którą niosłem na tacy.

- Proszę pogratulować ode mnie kucharce, Stevens - rzekła.

- Oczywiście, proszę pani. Dziękuję pani.

- A wy i wasi podwładni też świetnieście się sprawili.

- Serdecznie pani dziękuję.

- Podczas obiadu, Stevens, mogłabym przysiąc, że byłeś równocześnie w trzech różnych miejscach - powiedziała ze śmiechem.

Ja również zaśmiałem się, mówiąc:

- Czuję się szczęśliwy, że mogę być do usług, proszę pani.

Po chwili dostrzegłem w pobliżu młodego pana Cardinala, nadal stojącego samotnie, i domyśliłem się, że młody pan może czuć się onieśmielony w tym towarzystwie. W każdym razie jego kieliszek był pusty, więc ruszyłem w jego stronę. Na mój widok wyraźnie poweselał. Wyciągnął ku mnie swój kieliszek.

- Myślę, że to wprost cudowne, Stevens, że jesteście takim miłośnikiem natury - powiedział, gdy mu nalewałem. - Muszę też przyznać, że lord Darlington ma szczęście, że ktoś potrafi ze znanstwem dopilnować pracy ogrodnika.

- Przepraszam, sir?

- Natura, Stevens. Rozmawialiśmy wtedy o cudach świata natury. I całkowicie zgadzam się z wami, że jesteśmy zbyt obojętni na otaczające nas cuda.

- Tak jest, sir.

- Pomyśleć tylko, o czym myśmy tu mówili. O tych traktatach, granicach, reparacjach, okupacjach... A tymczasem matka natura robi swoje, nie zważając na to. To śmieszne, gdy się tak o tym pomyśli, nie sądzicie?

- Tak, to prawda, sir.

- Nie wiem, czy nie byłoby lepiej, gdyby Bóg stworzył nas jako jakieś, no, rośliny. No wiesz, mocno zakorzenione w ziemi. Wtedy przede wszystkim nie byłoby tego głupiego gadania o wojnach i granicach.

Myśl ta wyraźnie rozśmieszyła młodego pana. Zaśmiał się, po czym pomyślał chwilę i znów się zaśmiał. Poszedłem w jego ślady. Wtedy trącił mnie w bok i powiedział:

- Możecie to sobie wyobrazić, Stevens? - I zaśmiał się jeszcze raz.

- Tak, sir - odparłem, również ze śmiechem. - Byłaby to dość dziwna sytuacja.

- Ale i tak moglibyśmy mieć takich facetów jak wy, żeby przekazywali między nami wiadomości, podawali herbatę i tak dalej. Bo jak moglibyśmy inaczej cokolwiek zrobić? Wyobrażacie to sobie, Stevens? Wszyscy zakorzenieni w ziemi? Tylko sobie wyobraź!

W tejże samej chwili pojawił się przy mnie jeden z lokajów.

- Panna Kenton prosi pana na słowo - powiedział.

Przeprosiłem pana Cardinala i ruszyłem ku drzwiom. Stał tam już, jak na straży, monsieur Dupont. - Kamerdyner, czy lekarz już jest? - spytał, gdy się zbliżyłem.

- Właśnie idę zobaczyć, sir. Zaraz wracam.

- Bardzo mnie boli.

- Bardzo mi przykro, sir. Pan doktor powinien tu być lada chwila.

Tym razem monsieur Dupont wyszedł już za mną z palarni. Panna Kenton znów stała w tym samym miejscu w hallu.

- Panie Stevens - rzekła - przyjechał doktor Meredith. Jest na górze.

Choć mówiła przyciszonym głosem, monsieur Dupont natychmiast zawołał:

- A, to świetnie!

Obróciłem się do niego i powiedziałem:

- Jeśli zechce pan udać się za mną, sir...

Poprowadziłem go do pokoju bilardowego, gdzie roznieciłem ogień w kominku, podczas gdy monsieur Dupont usiadł na jednym ze skórzanych foteli i zaczął zdejmować obuwie.

- Obawiam się, że jest tu dość zimno, sir. Pan doktor już idzie.

- Dziękuję, kamerdyner. Spisaliście się dobrze.

Panna Kenton jeszcze czekała na mnie w hallu. W milczeniu szliśmy po schodach na samą górę. W pokoju mego ojca doktor Meredith sporządzał jakieś notatki, a pani Mortimer rzewnie płakała. Wciąż miała na sobie ten sam fartuch i sądząc po tłustych plamach na twarzy, używała go też do ocierania łez, przez co wyglądała, jakby chciała ucharakteryzować się na Murzyna. Spodziewałem się zastać w pokoju woń śmierci, lecz z powodu pani Mortimer - lub jej fartucha - przeważała tu woń pieczeni.

Doktor Meredith wstał i rzekł:

- Moje kondolencje, Stevens. Miał rozległy wylew. Jeśli może was to w jakiś sposób pocieszyć, nie cierpiał wiele. I nic tu nie można było poradzić.

- Dziękuję, sir.

- No, to czas na mnie. Zajmiecie się wszystkim?

- Tak jest, sir. Jednak, jeśli można, pewna bardzo ważna osobistość potrzebuje pomocy pana doktora.

- Pilnie?

- Bardzo chciał, by pan doktor zajął się nim, sir.

Zszedłem na dół z panem doktorem, wprowadziłem go do pokoju bilardowego, po czym szybko wróciłem do palarni, gdzie atmosfera stała się jeszcze bardziej - jeśli to w ogóle było możliwe - biesiadna.

Oczywiście, nie do mnie należy ocena, czy jestem godny choćby wzmianki pośród „wielkich” kamerdynerów naszego pokolenia, takich jak panowie Marshall czy Lane - choć trzeba stwierdzić, że niektóre osoby, zapewne zbyt dla mnie łaskawe, byłyby skłonne tak sądzić. Muszę więc wyjaśnić, że gdy utrzymuję, że konferencja roku 1923, a w szczególności ów ostatni wieczór, stały się punktem zwrotnym w mej karierze, mówię to przede wszystkim z własnego punktu widzenia, bez tak wielkich ambicji. Mimo to, jeżeli weźmie się pod uwagę, ile różnych trudności nałożyło się wtedy na siebie, zgodzą się Państwo z moją, może zbyt śmiałą opinią, że w takich okolicznościach wykazałem być może w jakimś niewielkim stopniu „godność” w stylu pana Marshalla - czy choćby mego

ojca. Zresztą po cóż zaprzeczać? Gdy wspominam ów wieczór, pomimo wszelkich smutnych z nim skojarzeń, czynię to zawsze z dużą satysfakcją.

Dzień drugi, po południu

Staw Mortimera, w hrabstwie Dorset

Odnoszę wrażenie, że w moich rozważaniach nad pytaniem „jaki jest «wielki» kamerdyner?” pominąłem całkowicie jeden aspekt tego zagadnienia. Muszę przyznać, że takie odczucie jest bardzo mało przyjemne, tym bardziej że o całym zagadnieniu rozmyślałem przecież przez wiele lat. A jednak może zbyt pochopnie odrzucałem pewne aspekty kryteriów przynależności do Hayes Society. Muszę tu wyjaśnić, że nie mam bynajmniej zamiaru wycofywać się z tego, co dotychczas powiedziałem na temat „godności” kamerdynera i ściśle powiązanej z nią „wielkości”. Zastanowiłem się za to nad innym orzeczeniem Hayes Society - tym mianowicie, że od kandydata na członka Towarzystwa wymagano, by „był zatrudniony w szlacheckim domu”. Nadal uważam, tak samo stanowczo jak do tej pory, że był to przejaw niemądrego snobizmu ze strony Towarzystwa. Jednak przychodzi mi teraz na myśl, że sprzeciw mój dotyczy bardziej staroświeckiego rozumienia pojęcia „szlacheckiego domu” niż ogólnej zasady. A im więcej obecnie rozmyślam nad tą sprawą, tym bardziej skłonny jestem uznać, że niezbędnym warunkiem „wielkości” jest rzeczywiście zatrudnienie w „szlacheckim domu” - jeżeli tylko słowo „szlachecki” będzie miało znaczenie głębsze niż to, jakim posługiwało się Hayes Society.

Wydaje mi się zresztą, że porównanie mojej interpretacji terminu „szlachecki dom” z jego rozumieniem przez Hayes Society doskonale naświetli podstawową różnicę pomiędzy systemem wartości mojego pokolenia kamerdynerów a pokoleniem poprzednim. Nie chodzi mi jedynie o to, że nasze pokolenie nie przywiązywało już takiej wagi do tego, czy pracodawca jest arystokratą, czy zaledwie biznesmenem. Chcę mianowicie powiedzieć - i nie uważam, by było to niesprawiedliwe - że nasze pokolenie było znacznie bardziej idealistyczne. Gdy nasi poprzednicy zwracali uwagę na

utytułowanie chlebowodawcy i jego koligacje z którąś ze „starych” rodzin, my zajmowaliśmy się bardziej jego poziomem moralnym. Nie chodzi tu jednak wcale o prywatne zachowanie naszych chlebowodawców, lecz o to, iż naszą ambicją - która mogłaby wydać się dziwna poprzedniemu pokoleniu - było służenie tym wielkim panom, którzy przyczyniali się w jakiś sposób do postępu ludzkości. I tak, na przykład, znacznie godniej byłoby służyć u osoby pokroju pana George'a Ketteridge'a, który mimo swego skromnego pochodzenia niezaprzeczalnie wniósł wkład w przyszły dobrobyt imperium, niż u dżentelmena o wielce arystokratycznych parantelach, lecz trwoniącemu czas w klubach i na polach golfowych.

W praktyce, rzecz jasna, to właśnie wielu panów z najszlachetniejszych rodzin zwykło poświęcać się rozwiązywaniu palących problemów świata, więc na pierwszy rzut oka zdawać by się mogło, że ambicje naszego pokolenia nie różniły się wiele od ambicji naszych poprzedników. Ręczę jednak, że istniała tu zasadnicza różnica, przejawiająca się nie tylko w tym, co na ten temat mówili sobie członkowie naszego zawodu, lecz również w wyborze miejsca pracy przez najlepszych z nas. Już nie chodziło przy tym o wynagrodzenie, liczbę podległego personelu czy splendor nazwiska; myślę, że można stwierdzić, że dla mojego pokolenia prestiż zawodowy zależał przede wszystkim od moralnej wartości chlebowodawcy.

Sądzę, że różnicę pomiędzy tymi dwoma pokoleniami ukażę najlepiej za pomocą pewnego porównania. Otóż kamerdynerzy z pokolenia mojego ojca widzieli świat w formie drabiny; na samym szczycie znajdowały się domy królewskie, książąt i lordów z najstarszych rodzin, poniżej zaś domy „nuworyszy” i tak dalej, aż osiągało się punkt, poniżej którego o miejscu w hierarchii stanowił już tylko majątek lub jego brak. Każdy ambitny kamerdyner starał się wejść po tej drabinie jak najwyżej, a im wyżej zaszedł, tym większy był jego prestiż zawodowy. Uosobieniem takich właśnie wartości było Hayes Society ze swym rozumieniem idei „szlachetnego domu”, fakt zaś, że głosiło ją z całym przekonaniem jeszcze w roku 1929, ukazuje, dlaczego jego upadek był nieunikniony. Albowiem wówczas takie poglądy zupełnie nie nadążały już za myśleniem ludzi będących wzorem w naszym zawodzie. Myślę, że można stwierdzić, iż nasze pokolenie widziało w świecie nie drabinę, lecz koło. Może uda mi się wyjaśnić to szerzej.

Odnoszę wrażenie, że dopiero moje pokolenie zauważyło coś, co umknęło uwagi pokoleń wcześniejszych: mianowicie, że decyzji o wielkim znaczeniu dla świata nie podejmuje się na posiedzeniach publicznych ani podczas kilku zaledwie dni przeznaczonych na międzynarodową konferencję, w pełni dostępną prasie i publiczności. Przeciwnie: dyskusje prowadzi się i decyzje podejmuje w zaciszu gabinetów wielkich domów naszego kraju. To, co z taką pompą i ceremonią odbywa się na oczach ogółu, bywa często jedynie ukoronowaniem, by nie rzec ratyfikacją, ustaleń powziętych w ciągu całych tygodni czy miesięcy w murach takich domów. Dla nas więc świat jest kołem, obracającym się wokół znajdujących się na jego osi tychże wielkich domów, których ważne decyzje rozchodzą się na świat, na wszystkich innych, kręcących się wokół nich - i bogatych, i biednych. Pragnieniem ambitniejszych ludzi mojego zawodu było pracować jak najbliżej tej osi. Byliśmy bowiem, jak już powiedziałem, pokoleniem idealistów, dla których znaczenie miało nie tylko to, jak dobrze się służyło, lecz również jakiemu celowi; każdy z nas ogarnięty był pragnieniem wniesienia swego skromnego wkładu w dzieło tworzenia lepszego świata i rozumiał, że najpewniejszym dla nas sposobem na to jest służyć tym wielkim panom naszych czasów, których pieczy powierzono losy cywilizacji.

Mówię teraz oczywiście bardzo ogólnikowo i natychmiast przyznaję, że w moim pokoleniu nazbyt rzadko spotykało się skłonności do tak górnolotnych rozważań. Owszem: jestem pewien, że wielu ludzi z pokolenia mego ojca instynktownie postrzegało ów „moralny” czynnik swojej pracy. Uważam jednak, iż uogólnienia te są dość precyzyjne, a opisane przeze mnie „idealistyczne” pobudki na pewno odegrały znaczną rolę w mojej karierze. Sam bowiem z początku dość często zmieniałem pracodawców - zdając sobie sprawę, że praca u nich na dłuższą metę nie może dać mi większej satysfakcji - zanim zostałem wreszcie nagrodzony możliwością służenia lordowi Darlingtonowi.

To dziwne, że nigdy dotąd nie myślałem o tym w tych kategoriach; że w wielogodzinnych dyskusjach, jakie toczyły się przy kominku w naszym pokoju kredensowym, z udziałem ludzi takich jak pan Graham czyja, nigdy nie brano pod uwagę tego aspektu całej sprawy. I choć nie cofam ani słowa z tego, co wypowiedziałem na temat cechy „godności”, muszę przyznać pewną słuszność argumentowi, że niezależnie od stopnia, w jakim cechę tę osiągnie dany kamerdyner, jego koledzy po fachu nie uznają

go za „wielkiego”, jeżeli dla swych umiejętności nie znajdzie właściwego zastosowania. Można bowiem z pewnością stwierdzić, że ludzie pokroju pana Marshalla czy pana Lane'a służyli jedynie osobom o niepodważalnej postawie moralnej - lordowi Wakeling, lordowi Camberley, sir Leonardowi Grayowi - i trudno zaprzeczyć, że chlebodawcom mniejszego kalibru nie ofiarowaliby swego talentu. Zresztą im więcej zastanawiam się nad tym, tym bardziej staje się to oczywiste: warunkiem osiągnięcia „wielkości” jest służba w prawdziwie szlachebnym domu. Na pewno „wielkim” kamerdynerem może być tylko ten, który może wykazać na podstawie wieloletniej pracy, że talenty swe spożytkował w służbie wielkiemu panu - a co za tym idzie i w służbie ludzkości.

Jak już powiedziałem, nigdy dotąd nie myślałem w ten sposób o tej sprawie; być może jednak już tak jest, że podróż otwiera przed nami nowe, zdumiewające perspektywy, i to w sprawach, które, zdawać by się mogło, zostały już dawno i gruntownie przemyślane. To, że moje myśli podążyły w takim kierunku, jest też niewątpliwie konsekwencją pewnego drobnego wydarzenia, które spotkało mnie jakąś godzinę temu - i które, przyznaję, nieco mnie zdenerwowało.

Po przyjemnej jeździe przed południem przy przepięknej pogodzie i po sutym obiedzie w wiejskim zajeździe przekroczyłem właśnie granicę hrabstwa Dorset, gdy wtem poczułem silny śwąd dochodzący z silnika. Myśl, że w jakiś sposób uszkodziłem samochód mojego chlebodawcy, była oczywiście wielce niepokojąca, więc natychmiast zatrzymałem wóz.

Znajdowałem się na wąskiej szosie, po obu stronach tak gęsto obrośniętej krzewami, że nie mogłem zbyt dobrze rozeznaczyć, co znajduje się wokół mnie. Widoczność była ograniczona do około dwudziestu metrów, gdzie droga ostro skręcała. Przyszło mi na myśl, że jeżeli będę tu dłużej stać, pojazd nadjeżdżający z drugiej strony zakrętu może zderzyć się z fordem mego chlebodawcy. Na nowo zapuściłem więc silnik i nieco uspokoiłem się, gdyż śwąd nie był teraz już tak intensywny.

Zdawałem sobie sprawę, że najlepiej byłoby poszukać warsztatu samochodowego, a z braku tegoż, choćby jakiejś posiadłości szlacheckiej, gdzie mógłbym poprosić o pomoc szofera. Jednak droga wiała się nadal i nadal z obu stron obrastał ją żywopłot, do tego stopnia zasłaniając mi widok, że choć minąłem kilka bram, za którymi wyraźnie rozpoczynały się podjazdy do domów, samych domostw nie udało mi się ocenić.

Przejechałem jeszcze kilometr - a swąd z silnika stawał się coraz bardziej niepokojący - aż wreszcie wydostałem się na prosty odcinek. Teraz wzrok mój sięgał nieco dalej; dzięki temu ujrzałem, że po lewej stronie wznosi się wysoki dom w stylu wiktoriańskim, otoczony dość rozległym trawnikiem, przez który prowadził podjazd zbudowany w miejsce zwykłej, polnej drogi. Gdy podjechałem bliżej, jeszcze bardziej podniósł mnie na duchu widok bentleya stojącego w otwartych drzwiach przylegającego do domu garażu.

Brama również była otwarta, więc wprowadziłem forda na podjazd, wysiadłem i skierowałem się ku bocznemu wejściu do domu. Drzwi otworzył mi mężczyzna w koszuli z krótkimi rękawami, bez krawata, lecz który na moje pytanie o szofera odpowiedział wesoło, że „trafiłem za pierwszym razem”. Gdy opisałem mu, co dzieje się z fordem, bez wahania podszedł do samochodu, podniósł maskę silnika i poinformował mnie po kilku zaledwie sekundach oględzin: „Woda, panie. Przydałoby się mieć trochę wody w chłodnicy”. Zdaje się, że całe zdarzenie nieco go rozbawiło, lecz zachował się bardzo uprzejmie; wrócił do domu i po chwili pojawił się znowu z dzbanem wody i lejkiem. Gdy pochylał się nad silnikiem napełniając chłodnicę, rozpoczął ze mną miłą rozmowę; dowiedziawszy się, że odbywam przejażdżkę po okolicy, polecił mi miejscową atrakcję - oddalony o niecały kilometr staw.

Tymczasem miałem możliwość dokładniej przyjrzeć się domowi. Większą część jego wąskiej fasady porastał aż po dach bluszcz. Przez okna dostrzegłem jednak, że meble w ponad połowie jego pomieszczeń znajdowały się pod pokrowcami. Spostrzeżeniem moim podzieliłem się z szoferem, gdy ten napełnił już chłodnicę i opuścił maskę.

- A tak, i wielka szkoda - powiedział. - Taki piękny stary dom. Prawdę mówiąc, to pan pułkownik usiłuje się go pozbyć. Taki duży dom nie jest mu teraz potrzebny.

Nie mogłem powstrzymać się od pytania, ile obecnie pracuje tu służby, i nie zdziwiłem się wcale, gdy usłyszałem od mojego rozmówcy, że teraz jest tu tylko on, a kucharka przychodzi na popołudnia. Człowiek ten pełni więc równocześnie rolę kamerdynera, lokaja, szofera i sprzątającego. Był na wojnie ordynansem pana pułkownika; byli razem w Belgii podczas inwazji niemieckiej i później, po lądowaniu w Normandii. Potem przyjrzał mi się uważnie i rzekł:

- No, teraz już wiem. Z początku nie mogłem zgadnąć, ale teraz wiem. Pan jesteś jednym z tych szykownych kamerdynerów. I to w jednym z tych wielkich, szykownych domów.

Gdy powiedziałem, iż istotnie niewiele się myli, ciągnął dalej:

- Tak, tak, domyśliłem się. Z początku nie mogłem zgadnąć, bo mówisz pan prawie jak jakiś wielki pan. A jeszcze jak pan zajechałeś tu tą limuzyną - tu wskazał ręką na forda - to pomyślałem z początku „Oho, to ci dopiero naprawdę szykowny facet”. No, bo i tak to jest, panie. Serio, pan to jesteś naprawdę szykowny. Widzisz pan, ja tam nigdy się tego nie nauczyłem. Ja jestem tylko zwykły ordynans, co poszedł do cywila.

Zapytał mnie potem, gdzie jestem zatrudniony, i gdy mu to powiedziałem, przechylił na bok głowę i popatrzył na mnie z zaciękawionym wyrazem twarzy.

- Darlington Hall - mruknął do siebie. - Darlington Hall. To musi być naprawdę szykowny dom, bo mówi to coś nawet takiemu głupkowi jak ja. Darlington Hall. Zaraz, chyba nie Darlington Hall, tam, gdzie mieszka lord Darlington?

- Należał do lorda Darlingtona do jego śmierci trzy lata temu - poinformowałem go. - Obecnie zamieszkuje w nim Amerykanin, pan John Farraday.

- No, to musisz pan być rzeczywiście super, jak pan pracujesz w takim domu. Takich jak pan to już wielu nie ma, co? - Tu jego głos wyraźnie się zmienił i zapytał: - To pan naprawdę pracowałeś u lorda Darlingtona?

Znów przypatrywał mi się bacznie. Odrzekłem:

- Ależ nie, pracuję u pana Farradaya, Amerykanina, który kupił tę posiadłość od rodziny lorda.

- Aha, to nie znałeś pan tego lorda Darlingtona. Zastanawiam się, jaki też on był, no, jako człowiek.

Powiedziałem mu, że muszę już jechać i bardzo wylewnie podziękowałem za pomoc. Był to przecież w końcu bardzo sympatyczny człowiek; w dodatku pomógł mi wycofać samochód przez bramę i jeszcze - gdy odjeżdżałem - pochylił się, by ponownie polecić mi obejrzenie stawu i powtórzyć instrukcje, jak mam tam dojechać.

- To przepiękne miejsce - dodał na koniec. - Będziesz pan ciężko żałował, jak pan nie pojedziesz. Zresztą i pan pułkownik jest tam teraz na rybach.

Ford przyszedł już wyraźnie do siebie, a że dojazd do stawu byłby tylko nieznacznym nadłożeniem drogi, postanowiłem posłuchać rady byłego ordynansa. Zdawało mi się, że jego wskazówki są zupełnie jasne, lecz gdy tylko kierując się nimi skręciłem z głównej szosy, znów zagubiłem się w wąskich, krętych drózkach, takich jak te, na których poczułem ów niepokojący swąd. Chwilami listowie po obu stronach stawało się tak gęste, że całkowicie nie przepuszczało światła słonecznego i oczy moje musiały z najwyższym wysiłkiem przyzwyczajać się do nagłych kontrastów między jasnym słońcem a głębokim cieniem. W końcu jednak, po krótkich poszukiwaniach, dostrzegłem drogowskaz „Do stawu Mortimera” i tak oto jestem tu już od około pół godziny.

Czuję teraz głęboką wdzięczność dla byłego ordynansa, który nie tylko naprawił mi forda, lecz również wskazał ten jakże uroczy zakątek, o którego istnieniu przecież nawet nie wiedziałem. Staw nie jest duży - ma może z pół kilometra obwodu - więc z każdego miejsca brzegu można objąć wzrokiem całość. Panuje tu atmosfera wielkiego spokoju. Drzewa rosnące nad stawem znajdują się na tyle blisko wody, że brzegi toną w przyjemnym cieniu; gdzieniegdzie znów kępy wysokich trzciny i sitowia łamią tafle jeziora i odbijające się w nim nieba. Nie mam na sobie obuwia, które pozwoliłoby mi bez przeszkód obejść staw dookoła - nawet stąd widzę, że ścieżka niknie miejscami w głębokim błocie - przyznam jednak, że miałem na to wielką ochotę, tak zauroczyło mnie piękno tego zakątka. Jedynie myśl o katastrofach, jakie mogłyby przydarzyć mi się na takiej wyprawie, oraz o szkodach, jakie mógłby odnieść mój garnitur podróżny, przekonała mnie, bym zadowolił się tą właśnie ławeczką, na której siedzę już od pół godziny, przyglądając się po kolei poszczególnym postaciom, siedzącym w milczeniu z wędkami wokół wody. Teraz widzę ich kilkanaście, lecz silny poblask połączony z głębokim cieniem nisko zwisających konarów nie pozwala na dokładniejszą obserwację, tak że musiałem zrezygnować z zaplanowanej zabawy, jaką miało być odgadywanie, któryż to z tych wędkarzy może być pułkownikiem, w którego domu otrzymałem przed chwilą tak niezbędną pomoc.

To niewątpliwie spokój tej okolicy pozwolił mi zastanowić się głębiej nad wszystkimi myślami, jakie mnie nawiedziły w ciągu ostatniej półgodziny. Gdyby bowiem nie panująca wokół cisza, zapewne nie myślałbym więcej o moim zachowaniu podczas

spotkania z byłym ordynansem, w szczególności zaś o tym, dlaczego dałem mu wyraźnie do zrozumienia, że nigdy nie służyłem u lorda Darlingtona. Zapytał mnie przecież: „To pan naprawdę pracowałeś dla lorda Darlingtona?”, ja zaś dałem niedwuznacznie przeczącą odpowiedź. Można by uznać, że był to tylko mało znaczący kaprys chwili - lecz to mało przekonujące wyjaśnienie tak dziwnego zachowania. W każdym razie przyznałem już przed samym sobą, że nie był to pierwszy przypadek tego rodzaju; istnieje tu bez wątpienia pewien związek - choć nie wiem do końca jaki - z tym, co wydarzyło się parę miesięcy temu, podczas odwiedzin państwa Wakefield.

Państwo Wakefield to amerykańska para małżeńska osiadła w Anglii - zdaje się, że gdzieś w hrabstwie Kent - od około dwudziestu lat. Mając z panem Farradayem wielu wspólnych znajomych w środowisku bostońskim, odwiedzili kiedyś na krótko Darlington Hall, zostali na obiedzie i odjechali przed podwieczorkiem. Działo się to zaledwie w parę tygodni po przybyciu samego pana Farradaya, a więc w czasie gdy jego entuzjazm z powodu nowego nabytku był największy; z tego powodu większą część odwiedzin państwa Wakefield zajęło dokładne oprowadzanie ich przez mego chlebodawcę po całej posiadłości, może nawet nieco zbyt dokładne. Jako że objęło też wszystkie pokoje, w których na meble założono pokrowce. Jednak państwo Wakefield mieli na zwiedzanie ochotę chyba równie wielką jak pan Farraday, bowiem gdy krzątałem się po domu, co chwila dobiegały mnie z coraz to innej części domu bardzo amerykańskie okrzyki zachwyty. Pan Farraday rozpoczął oprowadzanie od górnego piętra, więc gdy wreszcie doprowadził swych gości do najwspanialszych sal na parterze, znajdował się w stanie prawdziwego uniesienia, wskazując detale gzymsów czy framug okiennych i z wielkim rozmachem opisując w każdym pomieszczeniu, co „robili tu dawniej ci angielscy lordowie”. Choć oczywiście nie czyniłem żadnych wysiłków, by cokolwiek podsłuchać, nie mogłem nie uchwycić ogólnego sensu jego objaśnień. Muszę przyznać, że byłem zdumiony wiedzą mego chlebodawcy, której zakres świadczył dobitnie, że pomimo sporadycznie popełnianych niezręczności wykazuje on daleko idący entuzjazm dla angielskiego stylu życia. Dało się zauważyć ponadto, że państwu Wakefield - a szczególnie pani Wakefield - tradycje naszego kraju nie były bynajmniej obce, a z wielu poczynionych przez nich uwag można było wnosić, że i oni są właścicielami angielskiego domu o świetnej przeszłości.

W pewnej chwili podczas tego zwiedzania - przechodziłem przez hali przekonany, że towarzystwo wyszło już obejrzeć grunta - zobaczyłem, że pani Wakefield pozostała z tyłu i uważnie ogląda kamienny łuk obramowania drzwi jadalni. Gdy przechodziłem obok niej, szepnąwszy „przepraszam panią”, odwróciła się i powiedziała:

- A, Stevens, może ty mi powiesz. Ten łuk wygląda na siedemnasty wiek, ale czy przypadkiem nie został tu dodany całkiem niedawno? Może za czasów lorda Darlingtona?

- To niemożliwe, proszę pani.

- Jest bardzo piękny. Ale może to być imitacja sprzed zaledwie paru lat, prawda?

- Nie jestem tego pewien, proszę pani, ale to całkiem możliwe.

Wtedy zniżyła głos i spytała:

- Ale powiedz no, Stevens, jaki był ten lord Darlington? Bo przecież pracowałeś u niego?

- Nie, proszę pani, nie pracowałem.

- O, a ja myślałam, że tak. Nie wiem dlaczego. - Tu znów spojrziała na łuk i kładąc na nim dłoń, dodała: - Czyli nie wiadomo na pewno. Zresztą dla mnie wygląda to na imitację. Bardzo udaną, ale imitację.

Bardzo możliwe, że wkrótce zapomniałbym o tej rozmowie; jednak gdy po wyjeździe państwa Wakefield podawałem panu Farradayowi herbatę, zauważyłem, że jest dość zdenerwowany. Po chwili milczenia odezwał się:

- Wiesz, Stevens, pani Wakefield wcale się tu nie podobało tak, jak powinno.

- Czy tak, sir?

- Ona chyba uważa, że przesadzam co do wieku tego domu. No, że wcale nie jest taki zabytkowy, jak mówiłem.

- Naprawdę, sir?

- Ciągle mówiła, że to jest „imitacją” i tamto jest „imitacją” i w ogóle. Uważa też, że i ty jesteś „imitacją”, Stevens.

- Doprawdy, sir?

- Doprawdy, doprawdy, Stevens. Właśnie opowiadałem jej, że jesteś autentyk - autentyczny, starodawny angielski kamerdyner. Że pracujesz tu od trzydziestu lat, że byłeś na służbie u wielkiego angielskiego lorda. A pani Wakefield zaprzeczyła mi. I to zaprzeczyła z wielką pewnością siebie.

- Czy tak, sir?

- Pani Wakefield, Stevens, jest przekonana, że pracujesz tu dopiero od czasu, gdy ja ciebie zatrudniłem. W dodatku ubzdurała sobie, że to wie od ciebie. Możesz sobie wyobrazić, jak mi było głupio.

- To rzeczywiście godne pożałowania, sir.

- Ale słuchaj no, Stevens, przecież to jest autentyczny, stary, wielki dom angielski, no nie? W końcu za to płaciłem. A ty jesteś autentycznym starodawnym angielskim kamerdynerem, a nie jakimś kelnerem, co go tylko udaje. Przecież jesteś autentyk, no nie? O to mi chodziło, jak kupowałem to wszystko: więc mam to czy nie mam?

- Ośmielę się stwierdzić, że ma pan to, sir.

- To czy wobec tego możesz mi wytłumaczyć, skąd ta pewność pani Wakefield? Nic z tego nie rozumiem.

- Otóż jest to dość możliwe, sir, że mogłem przedstawić pani Wakefield nieco mylący obraz mojej kariery. Bardzo przepraszam, jeżeli stało się to przyczyną pańskiego zażenowania, sir.

- I to jeszcze jak! Teraz oni uważają mnie za bufona i kłamcę. A w ogóle, co to znaczy, że dałeś jej „nieco mylący obraz”?

- Bardzo mi przykro, sir. Nie zdawałem sobie sprawy, że będzie to powodem takiego nieporozumienia.

- Ale do diabła, Stevens, po coś ty jej opowiedział tę bajkę?

Przez chwilę zastanawiałem się, co powiedzieć, po czym odparłem:

- Bardzo przepraszam sir, ale takie zwyczaje panują w naszym kraju.

- Co ty wygadujesz, człowieku?

- Chodzi mi o to sir, że w Anglii pracownicy zazwyczaj nie rozmawiają o swych dawnych chlebodawcach.

- Dobra, w porządku, Stevens, czyli nie chcesz odgrzebywać starych wspomnień. Ale czy przez to musisz też nie przyznawać się, że pracowałeś dla kogoś innego poza mną?

- Gdy tak to sformułować, sir, rzeczywiście brzmi to dość dziwnie. Jednak często uznaje się takie właśnie postępowanie pracowników za pożądane. Jeśli wolno mi wyrazić się w ten sposób, sir, przypomina to trochę formy wypowiedzi przyjęte w mówieniu o związkach małżeńskich. Gdy rozwiedziona pani znajduje się w towarzystwie swego drugiego męża, uważa się powszechnie, że nie należy w żaden sposób nawiązywać w rozmowie do pierwszego małżeństwa. Podobnie ma się rzecz w moim zawodzie, sir.

- No, to tylko szkoda, Stevens, że nie wiedziałem przedtem o tym zwyczaju - rzekł mój chlebodawca, rozpierszając się w fotelu. - Bo przez to wyszedłem na durnia.

Chyba już wtedy zdawałem sobie sprawę, że wyjaśnienie dane przeze mnie panu Farradayowi - choć oczywiście nie pozbawione prawdy - było, niestety, wielce niewystarczające. Jednak gdy trzeba myśleć o tylu różnych rzeczach, jak jest to w moim przypadku, niełatwo poświęcać wiele uwagi takim sprawom: i tak zapomniałem na jakiś czas o tym wydarzeniu. Natomiast kiedy teraz wspominam to w ciszy panującej tu, nad stawem, nie mam żadnych wątpliwości, że moje zachowanie względem pani Wakefield miało ścisły związek z tym, co wydarzyło się dziś po południu.

Oczywiście, obecnie wielu ludzi mówi o lordzie Darlington same głupstwa, więc mogli państwo odnieść wrażenie, że jestem w pewien sposób zakłopotany czy zawstydzony mym związkiem z jego lordowską mością, i że to właśnie było przyczyną takiego zachowania się. W takim razie proszę pozwolić mi wyjaśnić, że nie mogłoby być nic dalszego od prawdy. Znaczna większość tego, co obecnie słyszy się o jego lordowskiej mości, to i tak same bzdury, oparte na niemal całkowitej nieznajomości faktów. Wydaje mi się więc, że moje dziwne zachowanie można łatwo usprawiedliwić niechęcią wysłuchiwanie dalszych tego typu nonsensów na temat jego lordowskiej mości, a więc i w jednym, i w drugim przypadku wołałem uciec się do niewinnego kłamstwa niż znów znaleźć się w podobnej sytuacji. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej prawdopodobne staje się takie wytłumaczenie, gdyż, przyznam, nic mnie dziś tak nie denerwuje, jak właśnie wysłuchiwanie bez przerwy tych bzdur. Niech mi będzie wolno powiedzieć w tym miejscu, że lord Darlington był człowiekiem nieskazitelnej postawy moralnej, mogącej

zaćmić większość tych, którzy teraz opowiadają o nim wszystkie te brednie - i gotów jestem świadczyć, że taki był do końca swych dni. Nic nie byłoby mniej prawdziwe niż przypuszczenie, że kiedykolwiek żałowałem mych związków z osobą tego pokroju. Zresztą muszą Państwo przyznać, że służyć przez te wszystkie lata jego lordowskiej mości znaczyło: znaleźć się tak blisko osi tego świata, jak tylko można by sobie wymarzyć. Lordowi Darlingto- nowi poświęciłem trzydzieści pięć lat służby; całkowicie uzasadnione jest stwierdzenie, że w owym czasie byłem, w pełnym tego słowa znaczeniu, „zatrudniony w szlachebnym domu”. Gdy teraz zastanawiam się nad moją dotychczasową karierą, głównym powodem zadowolenia jest dla mnie to właśnie, co udało mi się osiągnąć w Darlington Hall. Mogę czuć tylko wdzięczność i dumę, że dane mi było dostąpić tego szczytu.

Dzień trzeci, rano

Taunton, w hrabstwie Somerset

Zeszłą noc spędziłem w gospodzie „Pod Zaprzęgiem”, niedaleko małego miasteczka o nazwie Taunton, w hrabstwie Somerset. Ponieważ zajazd mieści się w krytej strzechą, stojącej tuż przy drodze chacie, gdy tam podjeżdżałem, w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, przez okno forda wydał mi się czymś bardzo atrakcyjnym. Gospodarz wprowadził mnie po drewnianych schodach do małego pokoiku o nieco zbyt pustych ścianach, lecz bardzo porządnego. Gdy zapytał, czy jestem już po kolacji, poprosiłem, by podał mi do pokoju jakąś kanapkę, co było dla mnie w zupełności wystarczającym posiłkiem. Jednak gdy nadszedł wieczór, poczułem się w moim pokoiku trochę nieswojo, więc postanowiłem w końcu zejść do znajdującego się na parterze baru i dokonać degustacji tutejszego jabłeczniaka.

Przy barze stała grupka pięciu czy sześciu klientów. Z ich wyglądu wnosiłem, że są to osoby związane z rolnictwem. Poza tym sala była pusta. Otrzymawszy od gospodarza kufel jabłeczniaka, zasiadłem przy stojącym nieopodal stoliku, chcąc rozluźnić się nieco i przemyśleć wszystkie wydarzenia mijającego dnia. Wkrótce jednak okazało się, że

obecność moja ściągnęła na mnie uwagę miejscowych, którzy uznali widać za swój obowiązek okazać mi gościnność. Gdy przerywali rozmowę, ten czy ów ukradkiem spoglądał w moją stronę, jakby zbierając się na odwagę, by podejść do mnie. Wreszcie jeden z nich przemówił donośnym głosem:

- A więc będzie pan tu dziś spał, sir?

Gdy potwierdziłem, mówiący pokręcił z powątpiewaniem głową i zauważył:

- Nie wyśpi się pan tutaj, sir. No, chyba że spodoba się panu, jak stary Bob - tu wskazał na gospodarza - tłucze się przez całą noc. A potem obudzi pana jego kobita, jak będzie na niego wrzeszczała od samego rana.

Wywołało to głośny wybuch śmiechu, pomimo protestów wspomnianego dżentelmena.

- Doprawdy? - zapytałem.

Gdy to wypowiedziałem, przyszło mi na myśl - podobnie jak ostatnio w wielu sytuacjach w obecności pana Farradaya - że wymaga się ode mnie jakiejś dowcipnej odpowiedzi. Jakby na potwierdzenie tych przypuszczeń rozmówcy przyglądali mi się w milczeniu i czekali uprzejmie na moje słowa. Wysiliwszy więc całą wyobraźnię, oznajmiłem wreszcie:

- To na pewno tutejsza wersja piania koguta.

Miejscowi zdawali się czekać na ciąg dalszy. Potem, zauważywszy rozbawiony wyraz mej twarzy, parsknęli śmiechem, w którym wyczuć można było jednak pewną nutkę zdziwienia. Po czym powrócili do przerwanej rozmowy i nie zamieniliśmy już ani słowa aż do chwili, gdy życzyliśmy sobie dobrej nocy.

Ten dowcip bardzo mi się spodobał, gdy przyszedł mi do głowy, więc muszę przyznać, że byłem nieco rozczarowany jego nie najlepszym przyjęciem. Przypuszczam, że moje rozczarowanie było tym większe, że przez ostatnie miesiące wiele czasu i wysiłku poświęciłem przecież doskonaleniu umiejętności w tej dziedzinie. A umiejętność tę musiałem w sobie wykształcić, jeżeli chciałem bez obawy spełniać wszystkie oczekiwania pana Farradaya dotyczące żartów.

I tak, na przykład, ostatnio w każdej wolnej chwili - gdy, powiedzmy, pan Farraday spędzał wieczór poza domem - starałem się słuchać radia. Jednym z

programów, których najchętniej słucham, jest „Dwa razy na tydzień albo częściej”, w rzeczywistości nadawany trzy razy w tygodniu; polega głównie na tym, że dwie osoby w sposób zabawny komentują przeróżne tematy z listów słuchaczy. Programem tym zająłem się dlatego, że prezentowane tam żarty są zawsze w najlepszym guście - według mnie - w stylu takiego właśnie przekomarzania się, jakiego może ode mnie oczekiwać pan Faraday. Opierając się na tym programie, wymyśliłem sobie proste ćwiczenie, które staram się wykonywać przynajmniej raz dziennie; gdy tylko nadarzy się wolna chwila, staram się sformułować trzy dowcipne uwagi na temat sytuacji, w jakiej w tym momencie się znajduję. Albo, dla odmiany, staram się wymyślić trzy żarty oparte na zdarzeniach ostatniej godziny.

Zrozumięją więc Państwo na pewno moje rozczarowanie w związku z moim wczorajszym dowcipem. Myślałem z początku, że może moja wymowa była niezbyt wyraźna. Potem jednak, gdy już leżałem w łóżku, przyszło mi do głowy, że być może powiedziałem coś niestosownego. Przecież mogli zrozumieć, że według mnie żona gospodarza przypomina koguta - o co bynajmniej mi nie chodziło. Wątpliwość ta zaczęła mnie mocno dręczyć tuż przed snem, tak że niemal postanowiłem z samego rana wystąpić z przeprosinami; jednak gospodarz odnosił się do mnie nadal bardzo miło, więc zrezygnowałem w końcu z poruszania tego tematu.

To drobne wydarzenie jest bardzo dobrym przykładem, jak niebezpieczne bywa mówienie dowcipów. Z samej ich natury wynika, że mówi się bardzo szybko, bez zastanowienia nad wszystkimi możliwymi ich konsekwencjami, więc przy braku koniecznego doświadczenia istnieje poważne ryzyko wygłoszenia rzeczy bardzo niestosownych. Nie ma powodu przypuszczać, że jest to dziedzina, w której nie mógłbym dojść do wprawy przy dostatecznej ilości czasu i praktyki, lecz związane z tym niebezpieczeństwa są tak wielkie, że postanowiłem nie starać się spełniać tego obowiązku w obecności pana Farradaya, przynajmniej chwilowo, póki nie będę miał okazji trochę poćwiczyć.

W każdym razie muszę z przykrością w pełni potwierdzić słuszność przepowiedni, którą tak żartobliwie uraczyli mnie miejscowi - że mianowicie nie zaznam snu z powodu hałasu dobiegającego z dołu. Żona gospodarza wprawdzie nie krzyczała, lecz przez cały czas słyhać było jej głos, zarówno do późna w nocy, gdy wraz z mężem zajmowali się gospodarstwem, jak i następnego dnia od samego rana. Byłem jednak gotów im to

wybaczyć, ponieważ hałas ten świadczył równocześnie o pilności, z jaką oddawali się pracy; prócz tego była jeszcze sprawa mojej niefortunnej uwagi. Nie rzekłem więc ani słowa na temat nie przespanej nocy, gdy dziękowałem gospodarzowi i wyruszałem na zwiedzanie targowego miasteczka Taunton.

Być może lepiej byłoby, gdybym zatrzymał się w innym lokalu, a mianowicie tu, gdzie siedzę teraz, rozkoszując się przedpołudniową filiżanką herbaty. Wiszący na froncie szyld oferuje bowiem nie tylko „herbatę, zakąski i ciastka”, lecz również „czyste, ciche, wygodne pokoje”. Lokal ów znajduje się przy głównej ulicy Taunton, bardzo blisko rynku. Jest to dość już wiekowy budynek, z zewnątrz wyróżniający się ciemnym, drewnianym belkowaniem. Przebywam teraz w jego przestronnej, dębem wykładanej herbaciarni; przy stolikach mogłoby się bez kłopotu pomieścić, jak sędzę, i ponad dwadzieścia osób. Za ladą, zastawioną ciastkami i słodyczami w dużym wyborze, usługują dwie wesołe dziewczyny. Pod każdym względem jest to więc doskonałe miejsce na przedpołudniową herbatę, choć zadziwiająco mało mieszkańców Taunton zdaje się mieć na nią ochotę. Moim jedynym towarzystwem są dwie starsze panie siedzące obok siebie przy stole naprzeciw ściany oraz mężczyzna - być może emerytowany rolnik - przy stoliku w jednej ze sporych nisz okiennych. Nie mogę dobrze mu się przyjrzeć, ponieważ jasne światło słoneczne sprawia, że widać tylko jego ciemną sylwetkę. Dostrzegam jednak, że czyta gazetę, w równych odstępach czasu podnosząc wzrok, by spojrzeć w okno na przechodzących chodnikiem ludzi. Pomyślałem z początku, że pewnie na kogoś czeka, lecz zdaje się, że po prostu pozdrawia mijających go znajomych.

Ja zaś siedzę niemal pod samą ścianą sali, lecz nawet stąd widzę wyraźnie całą zalaną słońcem ulicę i mogę odczytać drogowskaz znajdujący się na chodniku po drugiej stronie. Jedną z wypisanych na nim miejscowości jest wioska Mursden. Nazwa ta być może wyda się Państwu znajoma, tak jak i mnie, gdy wczoraj zauważyłem ją w atlasie samochodowym. Muszę zresztą przyznać się, że kusiło mnie nawet, żeby zboczyć lekko z obranej trasy, po to tylko, by zajrzeć do tej wioski. Otóż to właśnie Mursden w hrabstwie Somerset było siedzibą firmy „Giffen i Spółka”, i to tam pisano zawsze po ciemne laski „politury do sreber Giffena”, które należało „zemleć, rozmieszać z woskiem, nakładać ręcznie”. Przez jakiś czas to właśnie politura Giffena była najlepsza w całej Anglii i

dopiero przed samą wojną pojawienie się na rynku nowych substancji chemicznych zmniejszyło popyt na ten doskonały produkt.

O ile pamiętam, Giffen był w sprzedaży od początku lat dwudziestych i na pewno nie jestem odosobniony w kojarzeniu tego środka z pewną zmianą w naszym zawodzie - zmianą, która wysunęła czyszczenie srebra na pierwsze miejsce pod względem ważności, które to miejsce zajmuje zresztą do tej pory. Podobnie jak wiele innych ważnych przemian owego okresu było to związane, jak sądzę, z wejściem w życie zawodowe nowego pokolenia: właśnie wtedy „dorosło” moje pokolenie kamerdynerów, a pod wpływem postaci takich jak pan Marshall znacznie wzrosła ranga czyszczenia sreber. Powyższe, oczywiście, bynajmniej nie oznacza, że czyszczenie sreber - a przede wszystkim tych, które pojawiały się na stole - nie było dotychczas uważane za ważny obowiązek. Nie będzie jednak niesprawiedliwością stwierdzenie, że wielu kamerdynerów z pokolenia mojego ojca rzadko nadzorowało osobiście czyszczenie sreber, zadowolając się pozostawieniem tego zadania w gestii młodszego kamerdynera, i jedynie od czasu do czasu kontrolowało jego pracę. Wszyscy są zgodni, że to dopiero pan Marshall pierwszy docenił w pełni znaczenie stanu sreber - a mianowicie, że żadne inne przedmioty w domu nie są tak dokładnie oglądane przez gości z zewnątrz jak srebra podczas posiłków, i dzięki temu są one odzwierciedleniem poziomu całego gospodarstwa. To również pan Marshall pierwszy wprowadził w osłupienie gości Charleville House, prezentując srebra wypolerowane do nie znanych przedtem granic. Oczywiście, bardzo szybko kamerdynerzy w całym kraju, pod presją swych chlebodawców, zaczęli coraz więcej uwagi poświęcać czyszczeniu sreber. Natychmiast też pojawili się kamerdynerzy chępiący się posiadaniem własnych metod, rzekomo jeszcze lepszych niż te stosowane przez pana Marshalla. Aż do przesady obnosili się ze swymi wielkimi „sekretemi”, jak gdyby każdy z nich był nie kamerdynerem, lecz francuskim kucharzem zazdrośnie strzegącym swych przepisów. Ja sam byłem jednak zawsze przekonany - tak teraz, jak i dawniej - że wszystkie te wyszukane i tajemne techniki ludzi pokroju pana Jacka Neighboura nie miały prawie, albo i całkiem, żadnych widocznych efektów. Moja recepta jest za to zupełnie prosta: używać dobrej pasty i dobrze pilnować pracownika. U Giffena zaopatrywali się wszyscy poważni kamerdynerzy, a jeżeli produkt ten był

stosowany właściwie, nie było obawy, że srebra w jakimś innym domu mogą przyćmić własne.

Z zadowoleniem wspominam, że wiele razy srebro w Darlington Hall wywarło dodatnie wrażenie na gościach. Pamiętam na przykład nie pozbawioną goręcej uwagi lady Astor, że nasze srebra „są, niestety, niedoścignione”. Pamiętani również, jak podczas pewnej kolacji pan George Bernard Shaw, znany dramaturg, wpatrywał się jak oczarowany w swoją łyżeczkę deserową, podnosząc ją do światła i porównując z powierzchnią znajdującej się opodal tacki, na śmierć zapomniawszy o towarzystwie przy stole. Jednak największą satysfakcją napawa mnie wspomnienie wieczoru, kiedy to pewna wysoko postawiona osobistość - członek gabinetu, który wkrótce potem miał zostać ministrem spraw zagranicznych - złożyła nam wielce „nieoficjalną” wizytę. Zresztą teraz, gdy rezultaty tych wizyt zostały już dobrze udokumentowane, nie ma powodu ukrywać, że osobistością tą był lord Halifax.

Jak się okazało, ta właśnie wizyta była zaledwie pierwszą z całej serii równie „nieoficjalnych” spotkań lorda Halifaxa z ówczesnym ambasadorem niemieckim, Herr Ribbentropem. Jednak owego wieczoru lord Halifax przybył pełen obaw; jego pierwsze słowa po wprowadzeniu go do domu brzmiały: „Słowo daję, Darlington, zupełnie nie wiem, w coś ty mnie wpakował. Jestem pewny, że będę tego żałował”.

Ponieważ Herr Ribbentropa spodziewano się dopiero za godzinę, jego lordowska mość zaproponował panu ministrowi zwiedzanie Darlington Hall - był to wypróbowany sposób na uspokojenie zdenerwowanego gościa. Tym razem jednak chyba nie skutkował: poruszając się po pałacu, słyszałem wciąż tylko głos lorda Halifaxa, nadal wyrażającego swe wątpliwości względem zbliżającego się spotkania i nie zwracającego uwagi na perswazje lorda Darlingtona. W pewnej chwili jednak usłyszałem okrzyk lorda Halifaxa: „Na Boga, Darlington, srebra w tym domu to istny cud!” Już wtedy bardzo mnie to ucieszyło, lecz prawdziwa radość ogarnęła mnie w dwa lub trzy dni później, gdy lord Darlington zauważył: „A propos, Stevens, nasze srebra zrobiły doskonałe wrażenie na lordzie Halifaxie. Zupełnie odmieniły mu nastrój”. Jego lordowska mość - pamiętam doskonale - użył tych właśnie słów, więc nie jest to tylko moje wyobrażenie, że owego pamiętnego wieczoru stan sreber miał swój mały, lecz znaczący wkład w polepszenie stosunków pomiędzy lordem Halifaxem i Herr Ribbentropem.

Wypadałoby może w tym miejscu powiedzieć kilka słów o Herr Ribbentropie. Dziś oczywiście uznaje się powszechnie, że Herr Ribbentrop był oszustem, że do planów Hitlera należało wówczas jak najdłuższe oszukiwanie Anglii co do jego prawdziwych intencji, i że jedynym celem misji Herr Ribbentropa było właśnie przygotowanie tego oszustwa. Jak powiedziałem, jest to opinia powszechnie uznana i nie chcę jej w tym miejscu podważać. Drażni mnie jednak bardzo wysłuchiwanie dziś różnych ludzi, twierdzących, że nigdy ani przez chwilę nie dali się wziąć na lep Herr Ribbentropowi - że to tylko lord Darlington uznał go za prawdziwego dżentelmena i nawiązał z nim stosunki. Tymczasem prawda jest taka, że w latach trzydziestych Herr Ribbentrop był osobą mile widzianą, jeśli wręcz nie rozchwytywaną, w najlepszych domach Anglii. Pamiętam, że rozmowy pomiędzy służbą naszych gości - szczególnie w latach 1936 i 1937 - często dotyczyły „niemieckiego ambasadora” i wynikało z nich jasno, że wiele najdostojniejszych pań i wielu panów naszego kraju było nim zachwyconych. Dlatego też, jak już powiedziałem, bardzo drażni mnie wysłuchiwanie, co te same osoby mówią teraz o tamtych czasach, a szczególnie tego, co w związku z tym opowiadają o jego lordowskiej mości. Po przejrzeniu listy gości podejmowanych wówczas przez te osoby natychmiast zdemaskowałyby Państwo ich wielką obłudę; nie tylko zobaczyliby Państwo, jak często za ich stołami zasiadał Herr Ribbentrop, lecz również jak często bywał tam gościem honorowym.

Ludzie ci chcieliby też przekonać innych, że lord Darlington był jakimś wyjątkiem, pozwalając gościć się hitlerowcom podczas kilku swych wyjazdów do Niemiec w tym okresie. Nie sądzę, że powtarzaliby to tak często, gdyby na przykład „The Times” opublikował jedną choćby z list gości zaproszonych na bankiety wydawane z okazji zjazdu w Norymberdze. Tymczasem z gościnności niemieckich przywódców korzystali najznamienitsi, najbardziej szanowani mieszkańcy Anglii i wiem z pierwszej ręki, że znaczna większość tych osób powracała stamtąd pełna pochwał i zachwyty dla swych gospodarzy. Każdy, kto twierdzi, że lord Darlington potajemnie porozumiewał się z jawnym wrogiem, zapomina - bardzo dla siebie wygodnie - prawdziwą atmosferę tamtych czasów.

Należy też powiedzieć, jak obrzydliwe są posądzenia lorda Darlingtona o antysemityzm czy o bliskie powiązania z Brytyjskim Związkiem Faszystów i temu

podobnymi organizacjami. Pomówienia te mogą wynikać jedynie z całkowitej nieznamomości osobowości lorda Darlingtona. Jego lordowska mość zaczął w końcu wręcz brzydzić się antysemityzmem; sam słyszałem wielokrotnie, jakim oburzeniem reagował na wystąpienia antysemickie. Posądzanie zaś jego lordowskiej mości o to, jakoby nigdy nie wpuszczał pod swój dach osób narodowości żydowskiej ani nie pozwalał zatrudnić u siebie żydowskiej służby, jest całkowicie bezpodstawne - być może poza jednym błahym incydentem z lat trzydziestych, który następnie rozdmuchano do przesadnych rozmiarów. A jeśli chodzi o Brytyjski Związek Faszystów, mogę jedynie stwierdzić, że wszelkie pomówienia jego lordowskiej mości o kontakty z tymi ludźmi są wręcz śmieszne. Sir Oswald Mosley, przywódca „czarnych koszul”, gościł w Darlington Hall, o ile pamiętam, najwyżej trzy razy, a i to tylko w początkowym okresie działania tej organizacji, zanim jeszcze ujawniła ona swe prawdziwe oblicze. Gdy tylko okazało się, jak odrażająca jest ideologia „czarnych koszul” - a pierwszy zauważył to właśnie lord Darlington - jego lordowska mość nie chciał mieć z nimi więcej nic wspólnego.

Zresztą takie organizacje nie miały absolutnie żadnego znaczenia dla życia politycznego naszego kraju. Rozumieją zaś Państwo doskonale, że lord Darlington raczył zajmować się jedynie tym, co stanowiło sedno danego zagadnienia; osobistości, które udało mu się pozyskać dla swych prac w ciągu tych wszystkich lat, nie miały bynajmniej nic wspólnego z takimi mało przyjemnymi, marginalnymi grupkami. Lord Darlington współpracował bowiem z osobami nie tylko powszechnie szanowanymi, lecz przede wszystkim z tymi, którzy posiadali rzeczywisty wpływ na życie kraju, a więc z politykami, dyplomatami, wojskowymi, duchownymi. A sam fakt, że spośród nich niektórzy byli Żydami, powinien wystarczyć do wykazania, jak bezsensowne są wspomniane twierdzenia o jego lordowskiej mości.

Odbiegam jednak od tematu. Opowiedziałem przecież o srebrach i o tym, jak korzystne wrażenie wywarły one na lordzie Halifaksie w wieczór jego spotkania z Herr Ribbentropem w Darlington Hall. Muszę tu wyjaśnić, że ani przez chwilę nie chciałem sugerować, że to tylko dzięki naszym srebram wieczór, który zapowiadał się źle dla mojego chlebodawcy, stał się jego triumfem. Z drugiej jednak strony, jak już wspomniałem, sam lord Darlington dał mi do zrozumienia, że srebra mogły być przynajmniej

jednym z czynników polepszenia nastroju jego gościa, więc może nie całkiem bezpodstawnie myślę o takich zdarzeniach z poczuciem satysfakcji.

Pewne osoby mojego zawodu twierdzą, że ostatecznie to, komu się służy, nie ma wcale tak wielkiego znaczenia; uważają, że panujący w moim pokoleniu idealizm - czyli twierdzenie, że my, kamerdynerzy, powinniśmy służyć przede wszystkim wielkim panom, którzy pracują dla dobra ludzkości - to tylko górnolotne frazesy pozbawione jakiegokolwiek związku z rzeczywistością. Oczywiście, łatwo zauważyć, że tak sceptyczne uwagi wyrażali głównie ci, którzy najgorzej radzili sobie w naszym zawodzie - wiedząc bowiem, że brak im zdolności, by osiągnąć właściwy poziom, starali się ściągnąć w dół jak najwięcej innych - więc trudno poważnie traktować ich opinie. Mimo to przyjemnie jest móc wskazać na konkretne przykłady w swej karierze, które ukazują dobitnie, jak bardzo mylili się tacy osobnicy. Oczywiście, chlebodawcy należy się od nas przede wszystkim wytrwała, codzienna służba, której wartości nie da się sprowadzić do określonej liczby poszczególnych zdarzeń, takich jak ów wieczór, gdy lord Halifax oglądał nasze srebra. Chodzi mi jednak o to, że właśnie takie pojedyncze przypadki zaczynają z czasem potwierdzać niezaprzeczną prawdę: że mianowicie miało się zaszczyt wykonywać swój zawód w samym centrum wielkich spraw tego świata. Osoby zadowolające się służbą u chlebodawców przeciętnych nigdy nie doznają takiej satysfakcji - satysfakcji z tego, że własna praca stanowiła wkład, choćby najskromniejszy, w bieg dziejów ludzkości.

Może jednak nie powinienem uciekać myślą tak daleko w przeszłość. Mam w końcu przed sobą jeszcze wiele lat pracy, pan Farraday zaś jest nie tylko świetnym chlebodawcą, lecz również Amerykaninem, któremu bez wątpienia należy ze szczególną starannością ukazać najlepsze strony angielskiej służby. Muszę więc skupić się na terażniejszości; strzec się przed wszelkimi przejawami samozadowolenia, szczególnie groźnego właśnie teraz, gdy udało się już nieco osiągnąć w mym zawodzie. Trzeba bowiem przyznać, że w ciągu ostatnich miesięcy w Darlington Hall nie działo się tak dobrze, jak powinno. Pojawiły się pewne drobne uchybienia, w tym również incydent ze srebrem z kwietnia tego roku. Na całe szczęście pan Farraday nie przyjmował wtedy żadnych gości, lecz i tak był to dla mnie wielki wstyd.

Zdarzyło się to pewnego ranka przy śniadaniu, a pan Farraday - czy to z uprzejmości, czy dlatego, że jako Amerykanin nie potrafił ocenić rozmiaru uchybienia - przez cały czas nie poskarżył się ani słowem. Gdy zasiadł za stołem, po prostu podniósł widelec, przyglądał mu się przez krótką chwilę, dotykając jego ząbków czubkiem palca, po czym zajął się poranną gazetą. Wszystko to zostało poczynione z pewnym roztargnieniem, lecz ja oczywiście zauważyłem, co się stało, i podszedłem szybko, by zabrać ze stołu dowód mojej kompromitacji. Być może ze zdenerwowania uczyniłem to nawet zbyt szybko, gdyż pan Farraday wzdrygnął się i mruknął: „A, to ty, Stevens”.

Tym samym szybkim krokiem wyszedłem z pokoju, by po chwili, nie tracąc czasu, powrócić z zadowolająco wyczyszczonym widelcem. Gdy znów podchodziłem do stołu - i do pana Farraday a, który wydawał się całkowicie pochłonięty gazetą - przyszło mi na myśl, by spróbować cicho podsunąć mu widelec, nie przeszkadzając w lekturze. Z drugiej strony istniała możliwość, że pan Farraday udaje tylko obojętność wobec tego wydarzenia, by jak najbardziej zmniejszyć moje zakłopotanie, a wtedy takie ukradkowe dostarczenie widelca mogłoby wydać mu się pobłażliwością z mojej strony dla tego uchybienia - lub, co gorsza, próbą zatarcia śladów. Dlatego więc uznałem, że bardziej właściwe będzie położyć widelec na stole w sposób całkowicie jawny. To zaś spowodowało, że mój chlebodawca wzdrygnął się po raz drugi, popatrzył na mnie i powtórzył: „A, to ty, Stevens”.

To, że te i inne błędy pojawiły się w mojej pracy w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy, było naturalnie ciężkim przeżyciem i wpłynęło źle na moje samopoczucie, lecz najprostszym ich wyjaśnieniem jest wspomniany już niedobór personelu. Oczywiście, niepełny skład personelu nie jest bynajmniej sprawą błahą; gdyby jednak panna Kenton miała rzeczywiście powrócić do Darlington Hall, jestem przekonany, że te małe potknięcia nie powtórzyłyby się więcej. Rzecz jasna, należy pamiętać, że list panny Kenton - tak się złożyło, że przeczytałem go jeszcze raz przed zgaszeniem światła - nie zawiera żadnych jednoznacznych stwierdzeń co do jej chęci powrotu na dawne stanowisko. Trzeba zresztą brać pod uwagę możliwość, że uprzednio - zapewne pod wpływem własnych, ukrytych pragnień, ściśle jednak dotyczących spraw zawodowych - zbyt gorliwie doszukiwałem się oznak takich właśnie chęci. Muszę bowiem przyznać się, że

wczoraj wieczorem nieco zdumiała mnie trudność, jaką miałem ze wskazaniem choćby jednego ustępu w jej liście, który zawierałby wyraźne życzenie powrotu.

A choć rozsądek podpowiadał mi, że nie warto zbyt dokładnie roztrząsać tej sprawy, skoro najprawdopodobniej w ciągu czterdziestu ośmiu godzin będę rozmawiał osobiście z panną Kenton, to próbując zasnąć mimo dobiegających z dołu odgłosów porządkowania gospody, długo jeszcze odtwarzałem w pamięci wszystkie fragmenty listu.

Dzień trzeci, wieczorem

Moscombe koło Tavistock, w hrabstwie Devon

Wydaje mi się, że powinienem powrócić na chwilę do sprawy odnoszenia się jego lordowskiej mości do osób pochodzenia żydowskiego, jako że ostatnio wszyscy stali się bardzo wyczuleni na cały ten problem antysemityzmu. W szczególności chciałbym wyjaśnić sprawę domniemanego zakazu przyjmowania Żydów na służbę w Darlington Hall. Ponieważ zarzut ten dotyczy spraw, za które to ja właśnie byłem odpowiedzialny, mogę odeprzeć go z całą stanowczością. Podczas mojej służby u lorda Darlingtona w skład personelu wchodziło wiele osób pochodzenia żydowskiego i niech mi będzie wolno stwierdzić, że nigdy nie były one traktowane inaczej z powodu swej przynależności rasowej. Naprawdę trudno pojąć, skąd wzięły się te bezsensowne pomówienia - chyba że zupełnie absurdalnie powstały one pod wpływem krótkiego, kilkutygodniowego okresu na początku lat trzydziestych, gdy jego lordowska mość znajdował się pod przemożnym wpływem pani Carolyn Barnet.

Pani Barnet, wdowa po panu Charlesie Barnecie, była wtedy czterdziestoletnią, bardzo przystojną, a według niektórych wręcz zachwycającą damą. Miała opinię osoby o niespotykanej inteligencji; słyszało się często opowieści, jak to na przyjęciach potrafiła upokorzyć najbardziej uczonych panów w dyskusji nad jakimś ważnym problemem tamtych czasów. Przez większą część lata roku 1932 regularnie bywała w Darlington Hall, spędzając długie godziny na poważnych dyskusjach z jego lordowską mością, głównie na

tematy społeczne i polityczne. O ile pamiętam, to właśnie pani Barnet „oprowadzała” jego lordowska mość po najbiedniejszych częściach londyńskiego East Endu, gdzie jego lordowska mość osobiście odwiedzał domy wielu rodzin borykających się ze straszliwą nędzą tamtych lat. Na pewno pani Barnet przyczyniła się w jakiejś mierze do wzrostu zainteresowania lorda Darlingtona losem biednych naszego kraju, w tym więc względnie nie można uważać jej wpływu za negatywny. Z drugiej strony była ona, jak powszechnie wiadomo, członkinią organizacji „czarnych koszul” sir Oswalda Mosleya; wszelkie kontakty pomiędzy jego lordowska mością a sir Oswaldem miały właśnie miejsce jedynie podczas tych kilku tygodni owego lata. Wtedy też, i tylko wtedy, w Darlington Hall zaszły te zupełnie nietypowe incydenty, na których kruchej podstawie czyniono później wszelkie absurdalne posądzenia.

Nazywam je „incydentami”, lecz to i tak chyba za silne słowo dla tych jakże błahych zdarzeń. Pamiętam na przykład, że kiedyś przy kolacji, gdy ktoś wspomniał o pewnej gazecie, lord Darlington zauważył: „A, ta żydowska szmata?” Kiedy indziej znowu, w tym samym mniej więcej okresie, jego lordowska mość polecił mi, bym przestał posyłać datki dla którejś z miejscowych organizacji dobroczynnych z tego powodu, że jej zarząd składa się „niemal wyłącznie z Żydów”. Pamiętam, że byłem prawdziwie zaskoczony tymi uwagami, gdyż do tej pory jego lordowska mość nigdy nie głosił jakichkolwiek poglądów antysemitycznych.

Wreszcie któregoś popołudnia jego lordowska mość wezwał mnie do gabinetu. Z początku mówił o sprawach raczej ogólnych, pytając, czy w domu wszystko w porządku i tym podobne. Wreszcie rzekł:

- Wiele myślałem ostatnio, Stevens. Bardzo wiele. I powziąłem decyzję. W Darlington Hall nie możemy mieć na służbie żadnych Żydów.

- Sir?

- To dla dobra całego domu, Stevens. I w interesie wszystkich odwiedzających nas gości. Zastanowiłem się nad tym dogłębnie, Stevens, i informuję cię o podjętej decyzji.

- Tak jest, sir.

- Powiedzcie mi, Stevens, czy oni, to znaczy jacyś Żydzi, pracują tutaj?

- Wydaje mi się, że do tej kategorii zaliczyć by można dwie osoby obecnego personelu, sir.

- Aha. - Jego lordowska mość urwał na chwilę, wyglądając przez okno. - Oczywiście, będziecie musieli ich zwolnić.

- Słucham, sir?

- Tak, Stevens, to przykre, lecz nie mamy wyboru. Muszę brać pod uwagę bezpieczeństwo i spokój moich gości. Zapewniam was, że dogłębnie rozważyłem całą sprawę i gruntownie to przemyślałem. To tylko dla naszego dobra.

Służącymi tymi były dwie pokojówki, więc niewłaściwe byłoby, gdybym przedsięwziął jakiegokolwiek kroki bez uprzedniego powiadomienia o wszystkim panny Kenton. Postanowiłem uczynić to jeszcze tego samego dnia, podczas naszego co-wieczornego spotkania u niej na kakao. O spotkaniach tych powinienem chyba powiedzieć parę słów. Niech będzie mi wolno stwierdzić, że były one poświęcone przede wszystkim sprawom zawodowym - choć naturalnie od czasu do czasu rozmawialiśmy i na tematy nieoficjalne. Powód, dla którego weszły one w zwyczaj, był prosty: zauważyliśmy kiedyś, że w ciągu dnia jesteśmy zajęci do tego stopnia, że często nie mamy czasu nawet na wymianę podstawowych informacji. Uznaliśmy więc, że taka sytuacja poważnie zagraża płynnemu funkcjonowaniu całego gospodarstwa. Spędzanie około piętnastu minut pod koniec każdego dnia w zacisznym saloniku panny Kenton było w tej sytuacji najprostszym rozwiązaniem. Powtórzę raz jeszcze, że spotkania te miały charakter przede wszystkim służbowy: omawialiśmy plany zbliżającego się przyjęcia lub dyskutowaliśmy nad tym, jak radzi sobie któraś z nowo zatrudnionych osób.

W każdym razie - wracając do głównego wątku - rozumiem Państwo na pewno, że bynajmniej nie uśmiechało mi się zawiadomienie panny Kenton o planowanym zwolnieniu dwóch jej pokojówek. Obie były zresztą w pełni zadowolającymi pracownicami, więc - mogę to dodać, skoro wszyscy są teraz tak wyczuleni na całą tę kwestię żydowską - w duszy byłem całkowicie przeciwny tej decyzji. Mimo to znałem dobrze swoją powinność i według mego uznania nic nie dałoby nieodpowiedzialne ujawnienie osobistych wątpliwości. Było to trudne zadanie, lecz jako takie wymagało spełnienia go z godnością. Kiedy więc poruszyłem tę sprawę pod koniec naszej rozmowy

tego samego wieczoru, uczyniłem to w sposób możliwie zwięzły i rzeczowy, kończąc słowami:

- Porozmawiam z tymi pracownicami w moim pokoju, jutro przed południem, o dziesiątej trzydzięci. Byłbym więc wdzięczny, panno Kenton, gdyby mogła pani przysłać je wtedy do mnie. Zostawiam pani uznaniu, czy poinformuje je pani o tym, co mam im zakomunikować.

Wydawało się, że panna Kenton nie miała na ten temat nic do powiedzenia. Dodałem więc:

- No, to dziękuję za kakao, panno Kenton. Najwyższy czas iść spać. Jutro mamy znowu dzień pełen zajęć.

Wtedy dopiero panna Kenton odezwała się:

- Nie wierzę własnym uszom, panie Stevens. Ruth i Sarah należą do mojego personelu już od sześciu lat. Mam do nich całkowite zaufanie i one też mi ufają. Służyły w tym domu doskonale.

- Jestem o tym przekonany, panno Kenton. Nie możemy jednak pozwolić sobie na to, by w naszych osądach kierować się sentymentami. No, a teraz muszę już naprawdę powiedzieć pani dobranoc...

- Panie Stevens, jestem oburzona, że może pan spokojnie siedzieć i mówić takie rzeczy, jak gdyby chodziło o polecenie dla kuchni. Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Mówi pan, że Ruth i Sarah mają być zwolnione dlatego, że są Żydówkami?

- Panno Kenton, właśnie przed chwilą w pełni wyjaśniłem pani całą sytuację. Jego lordowska mość podjął już decyzję, więc nie ma o czym mówić.

- Czy nie przyszło panu do głowy, panie Stevens, że zwolnienie na tej podstawie Ruth i Sarah może być po prostu wyrządzeniem im krzywdy? Ja nie mogę tego tolerować. Nie będę pracować w domu, w którym zdarzają się takie rzeczy.

- Panno Kenton, muszę prosić, by pani nie unosiła się, by zachowywała się pani tak, jak tego wymaga pani stanowisko. Sprawa jest bardzo prosta. Jeżeli jego lordowska mość chce, by zerwać te umowy o pracę, nie ma o czym więcej mówić.

- Ostrzegam pana, panie Stevens, że w takim razie nie zamierzam tu pracować. Jeżeli moje dziewczęta zostaną zwolnione, ja również odejdę.

- Panno Kenton, bardzo dziwię się pani reakcji. Nie muszę przecież przypominać pani, że w naszym zawodzie należy kierować się nie własnymi zachciankami i sentymentami, lecz życzeniami chlebodawcy.

- Mówię panu, panie Stevens, jeżeli jutro zwolni pan moje dziewczęta, będzie to najzwyczajniejszy w świecie grzech, a ja nie będę tu więcej pracowała.

- Panno Kenton, chciałbym przypomnieć, że nie do pani należy ferowanie tak kategoriycznych i surowych wyroków. Dzisiejszy świat jest skomplikowany i niebezpieczny. Wielu spraw, choćby tego, co dotyczy samej natury Żydów, ani pani, ani ja nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Tymczasem jego lordowska mość, ośmielę się stwierdzić, jest nieco lepiej predestynowany do decydowania, jak będzie najlepiej. Teraz muszę już naprawdę iść do siebie, panno Kenton. Jeszcze raz dziękuję za kakao. A więc jutro, o dziesiątej trzydzieści przed południem. Proszę przysłać wspomniane pracownice.

Gdy nazajutrz przed południem obie pokojówki weszły do mego pokoju, od razu widać było, że panna Kenton już z nimi rozmawiała, obie bowiem płakały. Wyjaśniłem im jak najwięcej całą sytuację, podkreślając, że praca ich była zadowalająca, więc że w związku z tym otrzymają dobre referencje. O ile pamiętam, żadna nie mówiła nic szczególnego podczas całej rozmowy, trwającej trzy czy cztery minuty, po czym obie wyszły, tak jak weszły, z płaczem.

Przez następne dni panna Kenton odnosiła się do mnie niezmiernie chłodno. Chwilami była wręcz niegrzeczna, i to nawet w obecności personelu. A choć nasze wieczorne spotkania przy kakao trwały nadal, odbywały się szybko i w mało przyjaznej atmosferze. Gdy jednak po dwóch tygodniach panna Kenton nadal nie zmieniła swego zachowania, zacząłem powoli tracić cierpliwość. Wreszcie, podczas któregoś z naszych spotkań, pozwoliłem sobie zauważyć nieco ironicznym tonem:

- Panno Kenton, spodziewałem się, że do tego czasu złoży już pani wypowiedzenie.

Miałem chyba nadzieję, że może nieco złagodnieje, że odpowie bardziej pojednawczo i tym samym będziemy mogli zapomnieć o całej sprawie. Tymczasem panna Kenton spojrzała na mnie surowo i rzekła:

- Nadal mam zamiar złożyć wypowiedzenie, panie Stevens. Tylko dlatego jeszcze tego nie zrobiłam, że byłam zbyt zajęta.

Muszę przyznać, że przez jakiś czas obawiałem się, że być może rzeczywiście zamierza spełnić tę groźbę. Gdy jednak mijały kolejne tygodnie, powoli stawało się jasne, że nie ma już mowy o jej wyjeździe z Darlington Hall, a że powoli poprawiały się też nasze wzajemne stosunki, dokuczałem jej chyba od czasu do czasu, przypominając o tej zapowiedzi odejścia. Na przykład, gdy omawialiśmy jakieś nadchodzące wielkie przyjęcie, wtrącałem: „Oczywiście, panno Kenton, zakładając, że pani będzie jeszcze wtedy z nami”. Jeszcze w wiele miesięcy po tym wydarzeniu panna Kenton milkła, gdy czyniłem podobne uwagi - choć myślę, że już bardziej ze zmieszania niż z gniewu.

W końcu, oczywiście, cała sprawa powoli poszła w zapomnienie. Pamiętam jednak, że po raz ostatni była o niej mowa w ponad rok po zwolnieniu tych dwóch pokojówek.

A poruszył ją na nowo jego lordowska mość, gdy pewnego popołudnia podawałem mu w salonie herbatę. Dni, gdy pozostawał pod wpływem pani Carolyn Barnet, dawno minęły - dama ta przestała nawet pojawiać się w Darlington Hall. Warto też podkreślić, że jego lordowska mość zerwał już wówczas wszelkie związki z „czarnymi koszulami”, przekonawszy się o prawdziwym, odrażającym obliczu tej organizacji.

- A, Stevens - powiedział wtedy. - Już dawno miałem z wami porozmawiać. O tej sprawie sprzed roku. No, o tych dwóch pokojówkach, pamiętacie?

- Ach, tak, sir.

- Nie udałoby się ich jakoś odszukać? To, co się stało, nie było w porządku i trzeba by im to jakoś wynagrodzić.

- Zapewniam, że zajmę się tym, sir. Nie jestem jednak pewien, czy będzie teraz możliwe ustalenie ich miejsca pobytu.

- Zorientujcie się, co można zrobić. To nie było w porządku.

Uznałem, że ta rozmowa z jego lordowską mością może zainteresować pannę Kenton, więc postanowiłem, że należy jej o tym donieść - nawet jeżeli miałyby znów wpaść w gniew. Zrobiłem to po południu tego samego mglistego dnia, natknąwszy się na nią w altanie. Jak się jednak okazało, jej reakcja była zupełnie inna - i nieoczekiwana.

Pamiętam, że gdy szedłem wtedy przez trawnik, z ziemi podnosiła się już mgła. Do altany podążyłem z zamiarem posprzątania po podwieczorku, który jego lordowska mość spożywał tam wcześniej z paroma gośćmi. Pamiętam też, że już z daleka - znacznie wcześniej, niż dotarłem do schodków, na których upadł kiedyś mój ojciec - dojrzałem poruszającą się po altanie postać panny Kenton. Gdy wszedłem, siedziała na jednym z licznych foteli wiklinowych stojących tu i tam w nieładzie i zajmowała się szyciem; przyjrząwszy się bliżej, stwierdziłem, że ceruje jakąś poduszkę. Zająłem się zbieraniem nakrycia stołowego pozostawionego wśród roślin i trzcinowych mebli, a czyniąc to, najprawdopodobniej wymieniłem z panną Kenton jeden czy drugi żart; być może omówiliśmy też parę spraw służbowych. Prawdę mówiąc, po tylu dniach ciągłego przebywania w głównym budynku, możliwość pracy w altanie była przyjemną odmianą i żadnemu z nas nie śpieszyło się do swoich zajęć. Choć wokół nie było wiele widać z powodu narastającej mgły, a i światło dzienne powoli przygasало - tak że panna Kenton musiała wciąż unosić ku resztkom światła swoją robótkę - pamiętam, że co chwila przerywaliśmy nasze zajęcia po to tylko, by wpatrywać się w otaczający nas widok. Pamiętam również, że spoglądałem właśnie ponad trawnikiem na mgłę gęstniejącą między topolami rosnącymi wzdłuż polnej drogi, gdy wreszcie zdecydowałem się nawiązać do ubiegłorocznych zwolnień. Jak zapewne można było się spodziewać, zacząłem następująco:

- Wie pani, panno Kenton... teraz wydaje się to jedynie dziwnym wspomnieniem, ale pomyśleć, że jeszcze rok temu o tej porze twierdziła pani stanowczo, że złoży pani wypowiedzenie. Dość mnie to teraz bawi. - Zaśmiałem się, lecz znajdująca się za mną panna Kenton wciąż milczała. Gdy odwróciłem się, by na nią popatrzeć, zobaczyłem, że i ona wpatruje się w bezmiar mgły.

- Zapewne nie zdaje pan sobie sprawy, panie Stevens - rzekła wreszcie - jak poważnie zastanawiałam się nad opuszczeniem tego domu. Bardzo przejęłam się tym, co tu wtedy zaszło. Gdybym była warta jakiegokolwiek szacunku, na pewno już dawno odeszłabym z Darlington Hall. - Urwała na chwilę, a ja na powrót zwróciłem wzrok ku widocznym z daleka topolom. Znów zaczęła mówić, głosem jakby zmęczonym: - To było tchórzostwo, panie Stevens, najzwyklejsze tchórzostwo. Dokąd miałabym stąd pójść? Nie mam żadnej rodziny, tylko jedną starą ciotkę. Bardzo ją kocham, ale nie mogę mieszkać z

nią przez choćby jeden dzień, by nie odnosić wrażenia, że w ten sposób zmarnuję całe życie. Oczywiście, wmawiałam sobie, że zaraz znajdę jakąś nową posadę. Ale tak się bałam, panie Stevens. Gdy tylko pomyślałam o odejściu, natychmiast widziałam siebie samotną, bez znajomych, bez przyjaciół. No i tyle zostało z moich wielkich zasad. Tak mi wstyd, panie Stevens, że nie potrafiłam odejść, że nie potrafiłam podjąć decyzji.

Panna Kenton znów umilkła, więc uznałem, że dobrze będzie w tym miejscu zrelacjonować jej jak najdokładniej moją rozmowę z lordem Darlingtonem. Tak też uczyniłem, kończąc:

- Co się stało, już się nie odstanie. To jednak wielka ulga usłyszeć tak jednoznaczne wyznanie jego lordowskiej mości, że wszystko to było po prostu bardzo przykrym nieporozumieniem. I pomyślałem sobie, że chciałaby pani o tym wiedzieć, ponieważ pamiętałem, że był to dla pani cios równie silny jak dla mnie.

- Bardzo przepraszam, panie Stevens. - Głos panny Kenton zmienił się nagle, jak gdyby zbudziła się ze snu. - Chyba pana nie rozumiem. - Odwróciłem się do niej. Ciągnęła: - O ile pamiętam, uważał pan wówczas, że wszystko jest w porządku, że Ruth i Sarah mają się wynosić i już. Mówił pan o tym zupełnie spokojnie.

- No, wie pani, panno Kenton, to całkowicie błędne i niesprawiedliwe stwierdzenie. Cała ta sprawa zmartwiła mnie bardzo, naprawdę bardzo. Nie było to coś, czego życzyłbym sobie w tym domu.

- Więc dlaczego, panie Stevens, dlaczego wtedy pan mi tego nie powiedział?

Zaśmiałem się, ale przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć. Zanim zdobyłem się na odpowiedź, panna Kenton odłożyła swą robótkę i rzekła:

- Czy zdaje pan sobie sprawę, panie Stevens, ile by to dla mnie znaczyło, gdyby rok temu pomyślał pan o podzieleniu się ze mną swoją opinią? Wiedział pan przecież, jak bardzo przeżyłam zwolnienie moich dziewcząt. Czy zdaje pan sobie sprawę, jak bardzo by mnie to podniosło na duchu? Dlaczego, panie Stevens, dlaczego i jeszcze raz dlaczego musi pan zawsze udawać?

Zaśmiałem się znowu, gdyż rozmowa nasza przybrała zaiste dość dziwny obrót.

- No, wie pani, panno Kenton... - powiedziałem. - Nie wiem, o co pani chodzi. Udawać? No nie, wie pani...

- Tak bardzo cierpiałam z powodu zwolnienia Ruth i Sarah. A cierpiałam tym bardziej, że myślałam, iż jestem osamotniona w swych odczuciach.

- No, wie pani, panno Kenton... - Podniosłem tacę, na którą przedtem zebrałem brudne nakrycia. - Przecież to naturalne, że nie pochwalałem tych zwolnień. Wydawało mi się to zupełnie oczywiste.

Nic już nie powiedziała. Wychodząc spojrzałem na nią jeszcze raz. Znów patrzyła przed siebie, w dal, lecz teraz w altanie było już tak ciemno, że widziałem tylko jej profil na tle bladego, pustego tła. Przeprosiłem i podążyłem ku wyjściu.

Teraz, gdy opowiedziałem już wszystko o zwolnieniu tych dwóch pokojówek, przypomina mi się dość dziwny epilog całej tej sprawy, związany z pojawieniem się nowej pokojówki imieniem Liza. Musieliśmy bowiem znaleźć kogoś na miejsce dwóch zwolnionych pracownic. Wtedy właśnie przyjęto Lizę.

Ta młoda osoba zwróciła się do nas o przyjęcie do pracy z bardzo wątpliwymi referencjami, co każdy doświadczony kamerdyner potrafiłby odczytać jako znak, że opuściła swe poprzednie miejsce zatrudnienia w sposób mało chwalebny. Ponadto, podczas rozmowy, jaką panna Kenton i ja przeprowadziliśmy z nią, wyszło na jaw, że dziewczyna nigdzie nie zagrzała miejsca dłużej niż kilka tygodni; w ogóle z całej jej postawy wnioskowałem, że zupełnie nie nadaje się do pracy w Darlington Hall. Jakież było więc moje zdumienie, gdy po tej rozmowie panna Kenton zaczęła nalegać, by dziewczynę przyjąć. Na wszystkie moje protesty odpowiadała niezmiennie: „Widzę w niej wielkie możliwości. Poza tym będzie pod moim ścisłym nadzorem, a ja już dopilnuję, by wszystko było w porządku”.

Pamiętam, że długo nie mogliśmy dojść do porozumienia i być może z powodu wciąż świeżej jeszcze sprawy dwóch zwolnionych pokojówek nie potrafiłem dostatecznie stanowczo sprzeciwić się pannie Kenton. Tak czy inaczej, zgodziłem się w końcu, choć z następującym zastrzeżeniem:

- Panno Kenton, zdaje sobie pani sprawę, mam nadzieję, że odpowiedzialność za przyjęcie tej dziewczyny bierze pani wyłącznie na siebie. Jeśli chodzi o mnie, to jestem absolutnie przekonany, że obecnie nie nadaje się ona zupełnie do naszego personelu.

Zgadzam się, by ją pani przyjęła, tylko dlatego, że podejmuje się pani osobiście czuwać nad jej rozwojem.

- Zobacz pan, panie Stevens, że ta dziewczyna wyjdzie na ludzi.

I oto, ku mojemu zdumieniu, w ciągu następnych kilku tygodni ta młoda osoba rzeczywiście uczyniła zaskakujące postępy. Jej postawa zawodowa poprawiała się niemal z dnia na dzień i nawet jej sposób bycia i wykonywania powierzonych zadań - podczas pierwszych dni tak niechlujny, że aż wstyd było patrzeć - zmienił się nie do poznania.

Mijały tygodnie. Triumf panny Kenton był oczywisty, gdyż dziewczyna zdawała się jakby cudem przemieniona w pożytecznego członka personelu. Szczególną przyjemność sprawiało pannie Kenton powierzanie Lizie bardziej odpowiedzialnych zadań. Gdy tylko działo się to w mojej obecności, panna Kenton zawsze posyłała mi nieco kpiące spojrzenie. Wymiana zaś zdań, która nastąpiła pewnego wieczoru przy kakao w saloniku panny Kenton, była dość typowym przykładem naszych rozmów o Lizie.

- Bez wątpienia, panie Stevens - mówiła panna Kenton - będzie pan wielce rozczarowany, gdy panu powiem, że Liza dotąd nie popełniła ani jednego znaczącego uchybienia.

- Nie jestem bynajmniej rozczarowany, panno Kenton. Przeciwnie, jestem z tego bardzo zadowolony, tak ze względu na panią, jak i na nas wszystkich. Muszę przyznać, że, jak do tej pory, odniosła pani pewien sukces, jeśli chodzi o tę dziewczynę.

- Pewien sukces! I cóż to za uśmiech na pana twarzy, panie Stevens? Zawsze się pojawia, gdy wspomnę coś o Lizie. To interesujące, o tak, wielce interesujące.

- Ach, tak, panno Kenton? Cóż w tym takiego interesującego?

- To bardzo interesujące, że był pan do niej nastawiony tak negatywnie. Liza jest bez wątpienia bardzo ładna, a ja zdążyłam już zauważyć, że ma pan dziwną awersję do zatrudniania u nas ładnych dziewcząt.

- Zdaje sobie pani doskonale sprawę, panno Kenton, że wygaduje pani kompletne bzdury.

- Ależ ja wiem, co mówię, panie Stevens. Nie lubi pan, by u nas pracowały ładne dziewczęta. Czyżby nasz pan Stevens był mimo wszystko człowiekiem z krwi i kości i nie mógł sobie w pełni dowierzać?

- Doprawdy, panno Kenton, gdyby w tym, co pani mówi, było choćby ziarenko prawdy, być może dałbym się wciągnąć w tę dyskusję. Ponieważ tak nie jest, sędzę, że zajmę się własnymi myślami do czasu, gdy pani uzna za stosowne zakończyć swe niedorzeczne wypowiedzi.

- Ach, tak? W takim razie cóż robi na pana ustach ten zakłopotany uśmiezek?

- Nie jest to wcale żaden zakłopotany uśmiezek, panno Kenton. Jestem tylko nieco ubawiony pani zdumiewającym talentem do opowiadania nonsensów.

- A właśnie, że to jest zakłopotany uśmiezek, panie Stevens. Poza tym zauważyłam, że stara się pan z całych sił nie patrzeć na Lizę. Teraz staje się jasne, dlaczego tak bardzo sprzeciwiał się pan jej przyjęciu.

- Mój sprzeciw był jak najbardziej uzasadniony i wie pani o tym doskonale, panno Kenton. Ta dziewczyna nie nadawała się przecież do niczego, gdy zjawiała się u nas.

Oczywiście, muszą Państwo zdawać sobie sprawę, że nasza rozmowa nigdy nie przybrałaby takiego tonu, gdyby mógł nas usłyszeć ktokolwiek z personelu. Jednak w owym czasie nasze wieczory przy kakao, zachowując nadal swój wybitnie służbowy charakter, pozwalały też na prowadzenie nieszkodliwej, dowcipnej rozmowy - a trzeba przyznać, że był to świetny środek na zapomnienie trudów całego dnia wyętej pracy.

Liza pracowała u nas od ośmiu czy dziewięciu miesięcy - a ja niemal zapomniałem już o jej istnieniu - gdy nagle zniknęła z domu wraz z młodszym lokajem. Oczywiście, przy licznych personelu takie rzeczy zdarzają się każdemu kamerdynerowi; są bardzo irytujące, ale trzeba się do nich przyzwyczaić. Zresztą w porównaniu z innymi tego typu „ucieczkami w noc” ta i tak odbyła się stosunkowo łagodnie. Zakochana para wzięła ze sobą tylko trochę żywności; ponadto i jedno, i drugie zostawiło list pożegnalny. Młodszy lokaj, którego nazwiska już nie pamiętam, napisał do mnie krótką notatkę o treści mniej więcej takiej: „Proszę nie sądzić nas źle. Kochamy się i chcemy się pobrać”. Liścik Lizy, zaadresowany „Do Pani Gospodyni”, był znacznie dłuższy i ten właśnie list panna Kenton przyniosła do mojego pokoju nazajutrz po zniknięciu pary uciekinierów. Pamiętam, że zawierał wiele błędów ortograficznych i niezgrabnych zdań o tym, jak bardzo się kochają, jaki wspaniały jest ten młodszy lokaj i jaka świetlana przyszłość na pewno ich czeka. Jedna linijka brzmiała, o ile dobrze sobie przypominam, następująco: „Nie mamy pieniędzy ale to nic mamy miłość i po co chcieć więcej mamy siebie nic więcej nie trzeba”. Choć

list miał chyba ze trzy strony, nie było w nim ani słowa wdzięczności dla panny Kenton za całą pracę jaką włożyła w „wychowanie” dziewczyny, ani śladu żalu, że tak nas wszystkich zawiodła.

Panna Kenton była wyraźnie wzburzona. Przez cały czas, gdy przebiegałem wzrokiem list tej młodej osoby, siedziała naprzeciw mnie za stołem, wpatrując się w swe dłonie. Zresztą - i jest w tym chyba coś dziwnego - nie pamiętam, by była kiedykolwiek bardziej przygnębiona. Gdy położyłem list na stole, odezwała się:

- A więc to pan miał rację, panie Stevens, a ja się myliłam.

- Panno Kenton, naprawdę nie ma się czym martwić - powiedziałem. - Takie rzeczy się zdarzają. I w żaden sposób nie jesteśmy w stanie temu zaradzić.

- Przyznaję, panie Stevens, byłam w błędzie. Jak zwykle, to pan miał przez cały czas rację, a myliłam się ja.

- Panno Kenton, naprawdę nie mogę zgodzić się z panią. Zdziałała pani cuda w pracy z tą dziewczyną. Pani osiągnięcia ukazały dobitnie, że to właśnie ja byłem w błędzie. Proszę mi wierzyć, panno Kenton, to mogło przydarzyć się z każdym pracownikiem. Poradziła sobie pani świetnie. Owszem, zawiodła się pani na niej, ale przecież to nie pani wina.

Panna Kenton wciąż była bardzo przygnębiona.

- To bardzo miłe z pana strony, panie Stevens - powiedziała cicho. - Jestem panu za to bardzo wdzięczna. - Potem westchnęła ze zmęczeniem i dodała: - Co za głupota. Przecież ona miała przed sobą prawdziwą karierę, przy jej zdolnościach... Tak wiele młodych kobiet zaprzepaszcza swe szanse. A wszystko to po co?

Spojrzeliliśmy oboje na kartkę leżącą na stole, po czym panna Kenton odwróciła wzrok z pewnym zniecierpliwieniem.

- Tak, to prawda - powiedziałem. - Ma pani rację, to straszne marnotrawstwo.

- Jakie to głupie. I jeszcze on na pewno ją porzuci. A ona, gdyby tylko wytrwała, miała przed sobą świetną przyszłość. Za rok czy dwa mogłabym z niej zrobić dobrą kandydatkę na stanowisko gospodyni w jakimś niewielkim domu. Być może uważa pan, że przesadzam, ale proszę przypomnieć sobie, ile osiągnęłam w ciągu paru tylko miesięcy. A ona teraz odrzuca to wszystko. I wszystko na marne.

- Tak, rzeczywiście postąpiła bardzo głupio.

Zacząłem zbierać leżące przede mną kartki z myślą o tym, by schować je do dokumentów. Gdy jednak to robiłem, zawahałem się, gdyż nie byłem pewny, czy panna Kenton chce, żebym zatrzymał ten list, czy też chciała zatrzymać go dla siebie, więc położyłem go z powrotem na stole, między nami. Jednak panna Kenton była myślami daleko stąd.

- I jeszcze on na pewno ją porzuci - powtórzyła. - Jakie to wszystko głupie.

Sądzę jednak, że niepotrzebnie roztrząsam na nowo te stare dzieje. Nie robiłem tego celowo, lecz być może miało to i swoje dobre strony, gdyż przynajmniej nie przejąłem się zbyt wydarzeniami dzisiejszego wieczoru - które, jak ufam, mam na szczęście całkowicie za sobą. Trzeba bowiem przyznać, że ostatnie kilka godzin kosztowało mnie bardzo wiele nerwów.

Znajduję się teraz w pokoju na poddaszu domku należącego do państwa Taylor. Jest to ich prywatne mieszkanie; pokój, który tak uprzejmie udostępnił mi państwo Taylor, zajmował kiedyś ich najstarszy syn, obecnie już dorosły, mieszkający w Exeter. Strop pokoju tworzą ciężkie belki i krokwie, na podłodze z prostych desek nie ma dywanów czy chodników, a mimo to jest tu nadszpiewanie przytulnie. No i widać wyraźnie, że pani Taylor nie tylko posłała mi łóżko, lecz również uporządkowała i odkurzyła sprzęty, gdyż poza paroma pajęczynami pod krokwiami nie ma tu nic, co mogłoby wskazywać, że pokój ten nie był używany od wielu lat. Jeśli chodzi zaś o samych państwa Taylor, dowiedziałem się, że od lat dwudziestych aż do przejścia na emeryturę trzy lata temu prowadzili w wiosce sklepik warzywny. To bardzo dobrzy ludzie; choć wielokrotnie proponowałem im wynagrodzenie za udzielenie mi gościny, nie chcą nawet o tym słyszeć.

Natomiast to, że znajduję się tutaj, że tej nocy muszę korzystać z uprzejmości państwa Taylor, należy przypisać niemądremu przeoczeniu, tak banalnemu, że aż złość bierze: otóż dopuściłem, by w fordzie skończyło się paliwo. Gdy doda się do tego jeszcze i wczorajsze kłopoty wynikłe z braku wody w chłodnicy, postronny obserwator mógłby uznać, że taki właśnie ogólny brak zorganizowania jest głęboko zakorzeniony w mojej naturze. Ktoś mógłby stwierdzić, oczywiście, że w dziedzinie długodystansowej jazdy samochodem jestem raczej nowicjuszem i że takich prostych przeoczeń można było się spodziewać. Jednak gdy pamięta się, że dobra organizacja i dalekowzroczność to cechy

podstawowe w moim zawodzie, trudno oprzeć się wrażeniu, że znów zawiodłem się na sobie.

Po prawdzie, przez ostatnią godzinę jazdy przed wyczerpaniem się benzyny byłem dość zajęty innymi sprawami. Dzisiejszą noc planowałem spędzić w miasteczku Tavistock, dokąd dojechałem tuż przed ósmą. Tymczasem w głównej gospodzie tego miasta poinformowano mnie, że z powodu miejscowych targów rolnych wszystkie pokoje są zajęte. Zaproponowano mi kilka innych lokali, lecz choć pytałem w każdym, wszędzie spotykałem się z tą samą, choć grzeczną odmową. Wreszcie właścicielka pensjonatu leżącego na obrzeżach miasta poradziła mi, bym pojechał jeszcze parę mil dalej, do przydrożnej gospody prowadzonej przez jej krewną, gdzie, jak zapewniła, na pewno znajdą się wolne miejsca, ponieważ jest to zbyt daleko od Tavistock, by i tam chcieli zatrzymać się uczestnicy targów.

Dała mi bardzo dokładne wskazówki, jak tam dotrzeć. Wtedy wydały mi się one całkiem jasne; trudno więc teraz stwierdzić, z czyjej winy nie mogłem w żaden sposób natrafić na wskazany lokal. Tymczasem po około kwadransie jazdy znalazłem się na drodze wijącej się przez posępne, puste wrzosowiska. Po obu stronach drogi rozciągały się podmokłe łąki, a nad samą drogą snuły się mgły; z lewej strony gasły już ostatnie blaski zachodzącego słońca. Tu i ówdzie linia widnokregu załamywała się na zarysach stodół i gospodarstw, lecz były to jedyne ślady ludzkiej obecności.

Pamiętam, że zawróciłem, by odszukać boczną drogę, którą minąłem jakiś czas przedtem. Gdy jednak skręciłem w nią, okazała się prowadzić na jeszcze większe pustkowia - jeżeli to w ogóle możliwe. Przez jakiś czas jechałem w zapadającym mroku pomiędzy wysokimi żywopłotami. Potem droga zaczęła wspinać się stromo pod górę. Porzuciłem już wszelką nadzieję odnalezienia przydrożnej gospody i postanowiłem jechać, aż natrafię na jakieś miasteczko czy wioskę i tam szukać schronienia. Rano, myślałem sobie, z łatwością powrócę na wcześniej zaplanowaną trasę. Osiągnąłem już połowę wysokości wzgórza, gdy wtem silnik zakaszłał i wtedy dopiero zauważyłem, że skończyła się benzyna.

Ford potoczył się jeszcze parę metrów pod górę, po czym stanął. Gdy wysiadłem, by zorientować się w sytuacji, stwierdziłem, że pozostało mi jedynie kilka minut światła dziennego. Znajdowałem się na stromej drodze obsadzonej drzewami i żywopłotami;

przy niej, lecz znacznie wyżej, dostrzegłem przerwę w żywopłocie; stała tam okratowana brama, doskonale widoczna na tle nieba. Ruszyłem w jej stronę, przypuszczając, że widok stamtąd da mi jakieś pojęcie o moim położeniu; może miałem nadzieję, że za bramą ujrzę jakieś gospodarstwo, gdzie uzyskam szybką pomoc. Dlatego też widok, jaki ukazał się moim oczom, tak mnie zdeprymował. Po drugiej stronie pole opadało stromo w dół, tak że widać je było jedynie na jakieś dwadzieścia kroków. Za tym zboczem, w pewnej odległości - prawie dwóch kilometrów i to w linii prostej - dostrzegłem małą wioskę. Mimo mgły widziałem dość wyraźnie wieżę kościoła i pokryte ciemną dachówką domy; tu i tam znad kominów unosiły się cienkie smużki dymu. Muszę przyznać, że ogarnęło mnie niejake przygnębienie. Oczywiście, sytuacja nie była całkowicie beznadziejna, ford nie był uszkodzony, tylko pozbawiony paliwa. Do wioski miałem stąd najwyżej pół godziny drogi, a tam na pewno znajdzie się dla mnie nocleg i kanister benzyny. Nie było mi zbyt przyjemnie znaleźć się na tym bezludziu i spoglądać z daleka na zapalające się po kolei światła wioski w prawie całkowitym mroku i wciąż gęstniejącej mgle.

Wiedziałem jednak, że nic nie uzyskam, użalając się nad sobą, a tym bardziej marnując ostatnie chwile światła słonecznego. Wróciłem do forda, spakowałem walizeczkę z najpotrzebniejszymi przedmiotami osobistego użytku, po czym uzbrojony w latarkę, która dawała zaskakująco silny snop światła, zacząłem rozglądać się za jakąś ścieżką prowadzącą w dół, do wioski. Ścieżki takiej jednak nie było, choć w poszukiwaniu jej doszedłem wysoko i dość daleko jeszcze za bramę. Gdy spostrzegłem w pewnej chwili, że droga co prawda przestaje wznosić się, ale skręca teraz w kierunku przeciwnym do wioski - której światła tu i tam prześwitywały przez listowie - znów opadło mnie zniechęcenie. Przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy nie powinienem po prostu wrócić do forda i pozostać w nim, aż ktoś będzie tędy przejeżdżał. Było już jednak prawie ciemno i zrozumiałem, że - próbując w takich okolicznościach zatrzymać przejeżdżający pojazd - mógłbym zostać uznany za jakiegoś rozbójnika czy kogoś w tym rodzaju. Zresztą od chwili gdy wysiadłem z forda, nie minął mnie żaden samochód; co więcej, nie przypominałem sobie, bym widział jakikolwiek pojazd od opuszczenia Tavistock. Podjąłem więc decyzję, by wrócić aż do bramy, a stamtąd jak najkrótszą drogą zejść do wioski, bez względu na to, czy znajdę ścieżkę czy nie.

Okazało się w końcu, że nie był to zbyt ciężki marsz. Do wioski trzeba było przejść przez kilka sąsiadujących ze sobą pastwisk; wystarczyło trzymać się między, by bez trudu posuwać się do przodu. Tylko raz, już bardzo blisko wioski, nie mogłem znaleźć przejścia na następne pole i musiałem dobrze oświetlić latarką zagradzający mi drogę żywopłot. Odkryłem w nim małą przerwę i zacząłem przeciskać się na drugą stronę, co udało mi się w końcu, choć nie bez pewnych szkód poczynionych w marynarce i mankietach spodni. Kilka ostatnich pastwisk było też bardziej błotnistych od innych, więc celowo unikałem oświetlania latarką butów i mankietów, by nie podupadać na duchu.

W końcu wydostałem się na brukowaną dróżkę prowadzącą w dół do wioski i właśnie schodząc nią, spotkałem mojego dzisiejszego gospodarza. Pan Taylor wyszedł na dróżkę kilka kroków przede mną i uprzejmie zaczekał, aż podejść do niego, po czym dotknął daszka czapki i spytał, czy może być mi w czymś pomocny. Wyjaśniłem jak najzwięźlej moje położenie, dodając, że byłbym bardzo wdzięczny za wskazanie mi dobrej gospody. Na to pan Taylor pokręcił tylko głową.

- Obawiam się, sir, że w naszej wiosce nie ma gospody z prawdziwego zdarzenia - powiedział. - Zwykle podróżnicy mogą zanocować u Johna Humphreysa „Pod Skrzyżowanymi Kluczami”, ale teraz właśnie naprawia się tam dach. - Jednak jeszcze zanim zdążyłem zmartwić się tą hiobową wieścią, pan Taylor dodał: - Jeżeli nie zależy panu na szczególnych wygodach, sir, to moglibyśmy dać panu u nas pokój z łóżkiem. To nic specjalnego, ale żona już dopilnuje, żeby było czysto i wygodnie, choć prosto.

Zdaje się, że bez większego przekonania powiedziałem coś o nierobieniu im aż takiego kłopotu. Pan Taylor odparł na to:

- Ależ skąd, sir, będzie to dla nas zaszczyt. Ludzie tacy jak pan nieczęsto odwiedzają Moscombe. Zresztą po prawdzie, sir, to chyba nie ma pan zbyt wielkiego wyboru. No, a poza tym żona nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym pozwolił panu iść tak w tę noc.

I w ten oto sposób przyjąłem gościnę państwa Taylor. Gdy jednak mówiłem wcześniej o tym, że wydarzenia dzisiejszego wieczoru „wiele mnie kosztowały”, nie chodziło mi tylko o kłopoty związane z brakiem paliwa i jakże niewygodną drogą do wioski. To, co nastąpiło potem - co rozpoczęło się, gdy zasiadłem do kolacji wraz z państwem Taylor i ich gośćmi - okazało się znacznie bardziej męczące niż wyłącznie

fizyczne niewygody, na które narażony byłem wcześniej. Zapewniam Państwa, że z wielką ulgą znalazłem się wreszcie tutaj, w moim pokoju, gdzie mogę powspominać sobie trochę dawne czasy w Darlington Hall.

Jest faktem, że ostatnio coraz więcej pozwalałem sobie na takie wspomnienia; od kiedy zaś przyszedł mi do głowy pomysł ponownego spotkania z panną Kenton, chyba dość wiele czasu spędziłem na rozważaniach, dlaczego tak zmieniły się nasze stosunki. Oto bowiem około roku 1935 czy 1936, po wielu latach stopniowego wypracowywania sobie dobrej współpracy zawodowej, między nami zaszło coś takiego, że zrezygnowaliśmy ze zwyczaju spotykania się przy filiżance kakao pod koniec każdego dnia. Nigdy jednak nie potrafiłem zgadnąć, co właściwie było tego przyczyną, jaki łańcuch zdarzeń do tego doprowadził.

Rozmyślając nad tym znowu, doszedłem do wniosku, że szczególne znaczenie mógł mieć tu ów dziwny incydent pewnego wieczoru, gdy panna Kenton zjawiła się bez zaproszenia w moim saloniku. Nie pamiętam dokładnie, w jakim celu tam przyszła; mam wrażenie, że przyniosła mi wazon kwiatów, „by rozjaśnić nieco mój salonik”, ale może mylę to z podobnym wydarzeniem, gdy usiłowała zrobić to samo wiele lat wcześniej, na samym początku naszej znajomości. Jestem jednak pewien, że przez te wszystkie lata przeprowadziła przynajmniej trzy próby wstawienia kwiatów do mego biura, choć mogę się mylić, twierdząc, że jedna z nich miała miejsce tamtego właśnie wieczoru. Mogę też podkreślić, że pomimo wielu lat owocnej współpracy nigdy nie dopuściłem do sytuacji, w której gospodyni czułaby się jak u siebie w saloniku kamerdynera. Pokój ten jest dla mnie najważniejszym miejscem w domu, jego właściwym centrum, nie bez podobieństwa do kwatery głównej wojsk podczas bitwy i jest absolutnie konieczne, by wszystko działo się tam dokładnie tak, jak ja sobie tego życzę, bez żadnych zmian. Nie należałem nigdy do tych kamerdynerów, którzy do swego saloniku pozwalają wchodzić byle komu w sprawie wszelkich, nawet błahych skarg i wniosków. Jeżeli dom ma funkcjonować w sposób płynny i skoordynowany, salonik kamerdynera musi być tym miejscem, gdzie gwarantowany jest spokój i odosobnienie.

Tak się złożyło, że gdy owego wieczoru panna Kenton zjawiła się w moim saloniku, nie byłem wcale zajęty sprawami zawodowymi. Ponieważ mieliśmy wtedy bardzo spokojny tydzień, rozkoszowałem się właśnie wolną chwilą, a do tego rzadko mam

okazję. Jak już mówiłem, nie jestem pewien, czy panna Kenton przyniosła i wtedy wazon z kwiatami, lecz pamiętam za to dokładnie, że powiedziała:

- Panie Stevens, wieczorem pański pokój wygląda jeszcze mniej gościnnie niż za dnia. Ta żarówka na pewno jest za słaba do czytania.

- W zupełności wystarczy, panno Kenton, dziękuję bardzo.

- Panie Stevens, ten pokój przypomina celę więzienną. Brakuje tylko małej pryczy w kącie, by można było sobie wyobrazić skazańców, spędzających tu swe ostatnie godziny.

Być może coś na to odpowiedziałem, nie pamiętam. W każdym razie nie uniosłem głowy znad książki i przez chwilę czekałem, by panna Kenton pożegnała się i wyszła. Jednak po chwili znów usłyszałem jej głos:

- Ciekawe, co pan tam czyta, panie Stevens.

- Nic takiego, panno Kenton, po prostu książkę.

- Widzę, panie Stevens. Ale jaką książkę - to właśnie mnie interesuje.

Podniosłem wzrok, by ujrzeć, że panna Kenton podchodzi do mnie. Zamknąłem książkę i przyciskając ją do piersi, podniosłem się z krzesła.

- Doprawdy, panno Kenton - rzekłem - muszę panią prosić o poszanowanie mego spokoju.

- Ale dlaczego tak pan ukrywa się z tą książką, panie Stevens? Podejrzewam, że może to być coś bardzo pikantnego.

- Jest absolutnie wykluczone, panno Kenton, by na półkach jego lordowskiej mości znajdowało się cokolwiek, jak to pani określiła, „pikantnego”.

- Słyszałam, że podobno właśnie wiele uczonych ksiąg zawiera fragmenty wielce pikantne, ale nigdy nie ośmieliłam się tego sprawdzić. No, panie Stevens, niechże pan powie, co pan czyta.

- Panno Kenton, jestem zmuszony prosić panią o pozostawienie mnie w spokoju. To nie mieści się w głowie, że musi mnie pani prześladować w tych jakże krótkich chwilach wolnego czasu, jakim dysponuję.

Mimo to panna Kenton była coraz bliżej i muszę wyznać, że miałem pewne trudności z podjęciem decyzji, jak powinienem się zachować. Ogarnęła mnie pokusa, by

wrzucić książkę do szuflady biurka i zamknąć ją na klucz, ale uznałem to za zbyt dramatyczny gest. Cofnąłem się o kilka kroków, nadal przyciskając książkę do piersi.

- Proszę pokazać mi trzymane przez pana dzieło, panie Stevens - powiedziała panna Kenton, zbliżając się jeszcze bardziej - a pozostawię pana sam na sam z rozkoszami lektury. Cóż to takiego jest, że tak bardzo stara się pan to ukryć?

- Panno Kenton, czy zapozna się pani, czy nie, z tytułem tego dzieła, jest to akurat najmniej ważne. Po prostu nie zgadzam się na takie wtrącanie się w moje prywatne sprawy.

- Zastanawiam się, panie Stevens, czy jest to zupełnie niewinna książka, czy też usiłuje pan uchronić mnie przed jej zgubnym wpływem?

A potem stała tuż przy mnie i nagle wszystko uległo szczególnej zmianie - jak gdybyśmy zostali oboje przeniesieni na zupełnie inną płaszczyznę istnienia. Obawiam się, że nie jestem w stanie wytłumaczyć dokładnie, o co mi chodzi. Mogę tylko powiedzieć, że nagle wszystko jakby znieruchomiało: wydawało mi się, że zachowanie panny Kenton również uległo nagłej zmianie. Na jej twarzy pojawił się wyraz niezwyklej powagi, zdawała się niemal wystraszona.

- Panie Stevens, niech mi pan pokaże tę książkę.

Wyciągnęła rękę i zaczęła powoli wysuwać mi tomik z dłoni. Uznałem, że najlepiej będzie odwrócić wzrok, lecz była tak blisko, że mogłem to uczynić tylko przez przekręcenie głowy pod dość nienaturalnym kątem. Panna Kenton wciąż bardzo delikatnie rozluźniała moją dłoń zaciśniętą na książce, palec po palcu. Trwało to chyba bardzo długo - przez cały czas udało mi się zachować tę samą postawę - aż wreszcie znów usłyszałem jej głos:

- Dobry Boże, przecież to nic takiego skandalicznego, panie Stevens, tylko zwykły, sentymentalny romans.

Zdaje się, że w tej właśnie chwili zdecydowałem, że nie mogę już dłużej tego tolerować. Nie pamiętam dokładnie, co wtedy powiedziałem, lecz na pewno bardzo stanowczo wyprosiłem pannę Kenton z pokoju i na tym zakończył się cały incydent.

Myślę, że winien jestem Państwu małe wyjaśnienie w sprawie książki, wokół której rozegrało się całe to wydarzenie. Rzeczywiście było to dzieło, które można by określić

mianem „sentymetalnego romansu”, jedno z wielu, jakie są w bibliotece i niektórych sypialniach gościnnych, przeznaczone dla rozrywki odwiedzających nas dam. Powód, dla którego zacząłem przeglądać takie dzieło, był prosty: lektura taka jest bowiem niezwykle skutecznym sposobem utrzymania i rozwijania umiejętności posługiwania się językiem angielskim. Jestem zdania - nie wiem, czy zgodzą się Państwo ze mną - że za naszego przynajmniej pokolenia zbyt wielkie znaczenie nadawano w naszym zawodzie dobremu akcentowi i wymowie, że zabiegano o nie często kosztem innych, ważniejszych cech i umiejętności zawodowych. Nigdy jednak nie twierdziłem, że dobry akcent i wymowa nie są pożądanymi zaletami u kamerdynera, i zawsze uważałem za swój obowiązek jak najpilniej je rozwijać. Bardzo prostym, lecz i bardzo skutecznym sposobem na to jest czytanie w wolnych chwilach dobrze napisanej książki. Robię tak od wielu lat i często wybierałem do tego powieści podobne do tej, z którą zastała mnie panna Kenton. Mój wybór jest umotywowany wyłącznie faktem, że książki takie są zwykle pisane dobrą angielszczyzną i zawierają wiele eleganckich dialogów mających dla mnie duże znaczenie praktyczne. Dzieła poważniejsze - na przykład prace naukowe - choć ogólnie bardziej kształcące, bywają zazwyczaj pisane językiem o ograniczonej przydatności w codziennym obcowaniu z gośćmi i chlebodawcą.

Bardzo rzadko miałem czas i ochotę, by przeczytać któryś z owych romansów w całości, lecz jak się zorientowałem, ich fabuła była prawie zawsze absurdalna - by nie rzec: sentymetalna - i nie traciłbym na takie lektury ani chwili, gdyby nie wspomniane korzyści. To stwierdziwszy, przyznam jednak - bo i nie ma się czego wstydzic - że czasami powieści te stanowiły dla mnie źródło rozrywki. Być może wówczas nie przyznawałem się do tego przed sobą, lecz jak już powiedziałem, czy jest czego się wstydzic? Czemuż to nie miałbym bawić się lekką lekturą o paniach i panach zakochujących się w sobie i wyznających uczucia, często w niezwykle eleganckiej formie?

Nie znaczy to wcale, że moje zachowanie owego wieczoru było nieuzasadnione. Muszą bowiem Państwo zdawać sobie sprawę, że chodziło tu o zasadę. Pozostaje faktem, że gdy panna Kenton wkroczyła do mojego saloniku, nie byłem na służbie; jest zaś oczywiste, że każdy szanujący się kamerdyner, dążący do osiągnięcia owej „godności licującej ze stanowiskiem”, jak to kiedyś określiło Hayes Society, nigdy nie powinien pozwolić sobie na to, by ktokolwiek mógł widzieć go w niesłużbowym charakterze. Jest

rzeczą bez znaczenia, czy osobą, która wtedy weszła, była panna Kenton, czy ktoś zupełnie obcy. Dobry kamerdyner musi być w pełni i na zawsze zrośnięty ze swoją rolą: nie może jej odrzucać po to tylko, by zaraz na nowo w nią wejść i zmienić niczym kostium teatralny. Jest jedna i tylko jedna sytuacja, gdy ceniący swą godność kamerdyner ma prawo zapomnieć na moment o swej roli, a to wtedy, gdy znajduje się całkowicie na osobności. Rozumieją więc teraz Państwo, że gdy do mego pokoju wtargnęła panna Kenton i to w chwili, gdy nie bez słuszności spodziewałem się zażyć samotności, musiałem ukazać się jej w charakterze czysto służbowym, gdyż chodziło o pewną zasadę, i więcej: wręcz o moją godność.

Nie zamierzałem jednak roztrząsać tu wszelkich aspektów owego drobnego wydarzenia sprzed wielu lat. Przede wszystkim incydent ten ostrzegł mnie, że stosunki między panną Kenton a mną przybrały - bez wątpienia w efekcie ciągłych, wielomiesięcznych kontaktów - nieodpowiednią formę. Zaniepokoiło mnie, że zdolna jest zachować się tak jak wtedy, więc gdy tylko wyprosiłem ją z mego pokoju i nieco ochłonąłem, postanowiłem zająć się przywróceniem właściwego kształtu naszym stosunkom służbowym. Jednak nadal trudno określić, jakie znaczenie miał ten incydent dla daleko idących zmian, które potem zaszły w kontaktach pomiędzy nami. Być może wynikały one z bardziej zasadniczych spraw, a jedną z nich były dni wolne panny Kenton.

Od jej przybycia do Darlington Hall do około miesiąca przed owym incydem w moim saloniku dni wolne panna Kenton spędzała według ustalonego szablonu. Raz na sześć tygodni brała dwa dni urlopu, by odwiedzić swą ciotkę w Southampton; poza tym, wzorując się na mnie, dni wolne brała jedynie w szczególnie spokojnym okresie i wtedy spędzała je, spacerując po posiadłości i trochę czytając u siebie w saloniku. Potem jednak, jak już wspomniałem, odstąpiła od tej zasady, zaczęła wykorzystywać wszystkie dni wolne przewidziane kontraktem, regularnie znikając z domu wcześniej rano i nie zostawiając żadnych wiadomości o sobie oprócz podania godziny, o której należy spodziewać się jej wieczorem. Oczywiście, nigdy nie przedłużała tych wyjazdów poza dozwolony czas, więc uznałem za niewłaściwe domagać się dalszych wyjaśnień. Przypuszczam, że zmiana ta musiała mnie nieco niepokoić. Pamiętam bowiem, że wspomniałem o tym kiedyś panu Grahamowi, kamerdynerowi sir Jamesa Chambersa - mojemu dobremu koledze po fachu, z którym ostatnio straciłem jakoś kontakt - gdy

pewnego wieczoru siedzieliśmy razem przy kominku podczas jednej z jego regularnych wizyt w Darlington Hall.

Zresztą powiedziałem wtedy tylko, że nasza gospodyni „miewa ostatnio różne nastroje”, więc byłem dość zdumiony, gdy pan Graham skinął głową, pochylił się do mnie i rzekł znacząco:

- Sam się zastanawiałem, jak długo to potrwa.

Gdy spytałem go, o co mu chodzi, pan Graham odrzekł:

- Ile ona teraz ma, ta wasza panna Kenton? Trzydzieści trzy, trzydzieści cztery lata? Co prawda, ma już za sobą najlepszy wiek, żeby zostać matką, ale nie jest jeszcze za późno.

- Panna Kenton - zapewniłem go - jest w pełni oddana swej pracy. Wiem dobrze, że nie ma zamiaru zakładać rodziny.

Pan Graham uśmiechnął się tylko i pokręcił głową, mówiąc:

- Nie należy nigdy wierzyć gospodyniom, że nie chcą rodziny. Przecież, panie Stevens, mogliśmy z miejsca wyliczyć kilkanaście takich, które ciągle to powtarzały, a potem wyszły za mąż i odeszły z zawodu.

Pamiętam, że z początku stanowczo odrzuciłem teorię pana Grahama, lecz później trudno było mi nie dopuszczać myśli, że owe tajemnicze wyjazdy panny Kenton mogą mieć na celu spotkanie z jakimś zalotnikiem. Ta możliwość mocno mnie zaniepokoiła, gdyż ewentualne odejście panny Kenton byłoby poważną stratą, ze służbowego punktu widzenia, dla całego Darlington Hall. Musiałem ponadto przyznać, że sam dostrzegałem pewne drobne objawy, zdające się potwierdzać teorię pana Grahama. Na przykład, jako że do moich obowiązków należało odbieranie poczty, nie mogłem nie dostrzec, że panna Kenton zaczęła dość regularnie - mniej więcej raz na tydzień - otrzymywać listy od tego samego nadawcy i że listy te nosiły stempel tutejszego urzędu pocztowego. Być może powinienem dodać w tym miejscu, że trudno było tego wszystkiego nie zauważyć, skoro poprzednio dostawała listy bardzo rzadko.

Były też i inne, mniej oczywiste przesłanki potwierdzające opinię pana Grahama. I tak, choć nadal wykonywała swe obowiązki służbowe z tą samą pilnością, zmiany jej nastroju ulegały niespotykanym dotąd wahaniom. Toteż kilka dni z rzędu jej

nieprzerwanie dobrego humoru - nie mającego żadnych widocznych przyczyn - było niemal równie niepokojące, co nagle, często przedłużające się okresy przygnębienia. Jak już powiedziałem, służbowo była nadal bez zarzutu, lecz do moich obowiązków należało mieć na uwadze dobro naszego domu również w dalszej przyszłości. Jeżeli zauważone przeze mnie objawy miały potwierdzić zdanie pana Grahama, że panna Kenton zechce kiedyś odejść stąd z powodów uczuciowych, musiałem koniecznie wiedzieć coś więcej na ten temat. Pewnego wieczoru przy kakao ośmieliłem się więc zapytać:

- Czy znów wyjedzie pani w czwartek, panno Kenton, korzystając z wolnego dnia?

Byłem prawie pewny, że pytanie to wywoła jej gniew. Tymczasem, wręcz przeciwnie, wyglądało na to, że już dawno chciała o tym porozmawiać. Powiedziała bowiem jakby z ulgą:

- Ach, panie Stevens, to tylko mój znajomy z czasów, gdy pracowałam w Granchester Lodge. Był tam zresztą kamerdynerem, ale porzucił służbę i pracuje teraz w jednej z firm w tej okolicy. Dowiedział się, że tu jestem, i zaczął pisywać, by odnowić naszą znajomość, i to wszystko, panie Stevens.

- Rozumiem, panno Kenton. To bardzo przyjemnie móc czasem wyjechać na chwilę z tego domu.

- I ja tak uważam, panie Stevens.

Na chwilę zapadło milczenie. Potem panna Kenton podjęła chyba jakąś decyzję, gdyż odezwała się:

- Pamiętam, że ten mój znajomy, gdy był jeszcze kamerdynerem w Granchester Lodge, miał wielkie ambicje. Zdaje się, że jego największym marzeniem było zostać kamerdynerem w takim właśnie jak ten domu. Ach, gdy przypomnę sobie niektóre jego metody! Panie Stevens, wyobrażam sobie, jaką miałby pan minę, gdyby go pan teraz spotkał. Wcale się nie dziwię, że jego ambicje pozostały nie spełnione.

Zaśmiałem się lekko.

- Na podstawie mojego doświadczenia mogę stwierdzić - powiedziałem - że zbyt wiele osób uważa się za zdolnych do osiągnięcia takiego poziomu, nie mając pojęcia o wielkich wymaganiach, jakim trzeba sprostać. A nie każdy to potrafi.

- O, tak, to prawda. Tak bardzo jestem ciekawa, panie Stevens, co by pan powiedział, gdyby go pan wówczas zobaczył.

- Na tym poziomie nie każdy potrafi sprostać wszelkim wymaganiom tego zawodu, panno Kenton. Bardzo łatwo mieć wygórowane ambicje, ale to nie wystarczy. Potrzebne są tu przede wszystkim pewne zdolności. Bez nich kamerdyner po prostu nie będzie w stanie wznieść się na odpowiedni poziom.

Panna Kenton zdawała się zastanawiać nad tym przez chwilę.

- Tak sobie myślę, panie Stevens, że musi pan być człowiekiem bardzo zadowolonym z siebie - powiedziała wreszcie. - Osiągnął pan już przecież w swoim zawodzie wszystko i jest pan pewien swych zdolności. Naprawdę nie wyobrażam sobie, czego jeszcze mógłby pan oczekiwać od życia.

Nie potrafiłem od razu znaleźć na to odpowiedzi. W nieco niezręcznym milczeniu, które zapadło, panna Kenton wbiła wzrok w dno swojej filiżanki z kakao, jak gdyby dostrzegła tam coś ciekawego. W końcu, po pewnym namyśle, odezwałem się następująco:

- Jeśli o mnie chodzi, panno Kenton, uznam moje powołanie za spełnione dopiero wtedy, gdy uczynię wszystko co możliwe, by służyć jego lordowskiej mości aż do pomyślnego osiągnięcia przez niego tych szczytnych celów, jakie sobie postawił. W dniu, w którym zakończy się trud jego lordowskiej mości, w dniu, w którym on będzie mógł cieszyć się owocami swej pracy, do końca wypełniwszy swe zamierzenia, dopiero w tym dniu, panno Kenton, będę mógł uznać się, jak to pani określiła, za człowieka w pełni zadowolonego z siebie.

Zdawała się nieco zdziwiona moimi słowami, a może też z jakiegoś powodu nie przypadły jej one do gustu. W każdym razie nastrój jej natychmiast uległ zmianie, a rozmowa przeszła na inne, mniej osobiste tematy.

Wkrótce potem zakończyły się nasze wieczorne spotkania na kakao w jej saloniku - pamiętam zresztą dokładnie ostatnie z nich. Pragnąłem przedyskutować z panną Kenton nadchodzące wydarzenie towarzyskie - zgromadzenie dostojnych osobistości ze Szkocji pod koniec tygodnia. Choć miało ono odbyć się dopiero za miesiąc, to mieliśmy w zwyczaju omawiać takie sprawy ze znacznym wyprzedzeniem. Tego wieczoru wymieniałem różne aspekty oczekującego nas wydarzenia, gdy zauważyłem, że panna

Kenton od pewnego czasu prawie nie uczestniczy w rozmowie; wkrótce zrozumiałem, że myśli jej krążą zupełnie gdzie indziej. Kilkakrotnie pytałem na przykład: „Czy wie pani, o co mi chodzi, panno Kenton?“, szczególnie gdy robiłem jakąś dłuższą uwagę, i choć w takich momentach zaczynała na chwilę bardziej uważać, to po paru sekundach widziałem, że znów przestaje mnie słuchać. Po kilku minutach mojego monologu, przerywanego jedynie jej stwierdzeniami: „Oczywiście, panie Stevens“ czy „Zgadzam się, panie Stevens“, powiedziałem wreszcie:

- Bardzo przepraszam, panno Kenton, lecz nie widzę żadnego sensu w prowadzeniu dalszej dyskusji. Przecież pani w ogóle nie słucha tego, co mówię.

- Bardzo przepraszam, panie Stevens - odrzekła, prostując się nieco na krześle. - Po prostu jestem dziś trochę zmęczona.

- Coraz częściej bywa pani ostatnio zmęczona, panno Kenton. Dawniej nie musiała pani uciekać się do tej wymówki.

Ku mojemu zaskoczeniu odpowiedź panny Kenton była bardzo gwałtowna:

- Panie Stevens, miałam bardzo pracowity tydzień. Jestem bardzo zmęczona. Od trzech czy czterech godzin o niczym innym nie marzę, jak tylko o śnie. Jestem bardzo, bardzo zmęczona, panie Stevens, czy może pan to zrozumieć?

Nie spodziewałem się wcale przeprosin, lecz napastliwość jej odpowiedzi, muszę przyznać, nieco mnie zdumiała. Jednak postanowiłem nie dać się wciągnąć w nieprzystojną kłótnię, więc nim ponownie się odezwałem, zrobiłem znaczącą pauzę.

- Panno Kenton, jeśli tak, to nie ma wcale potrzeby kontynuowania naszych wieczornych spotkań. Bardzo mi przykro, że przez cały czas nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo te spotkania są dla pani niewygodne.

- Panie Stevens, powiedziałam tylko, że jestem dziś zmęczona...

- Nie, nie, panno Kenton, rozumiem doskonale. Jest pani zawsze bardzo zajęta, a nasze spotkania są dla pani dodatkowym ciężarem. Istnieje wiele innych możliwości wymiany informacji służbowych bez konieczności odbywania takich spotkań.

- Panie Stevens, przecież nie o to chodzi. Ja tylko powiedziałam...

- Mówię całkiem poważnie, panno Kenton. Już od pewnego czasu zastanawiałem się, czy nie należałoby zaprzestać tych spotkań, jako że przedłużają nasze i tak bardzo

pracowite dni. To, że spotykaliśmy się tak od lat, nie jest żadnym powodem, dla którego nie mielibyśmy poszukać bardziej dogodnych rozwiązań.

- Proszę pana, panie Stevens. Ja naprawdę uważam, że te spotkania są bardzo pożyteczne...

- Ale i niewygodne dla pani, panno Kenton. Bardzo panią męczą. Czy mógłbym zaproponować, byśmy od tej pory starali się porozumiewać w ważnych sprawach jedynie podczas normalnych godzin pracy? Jeżeli akurat nie będzie nam dane spotkać się, proponuję, by wsuwać pod drzwi karteczki z odnośnymi uwagami. Wydaje mi się to wręcz doskonałym rozwiązaniem. A teraz, panno Kenton, bardzo przepraszam, że tak się zasiedziałem. I bardzo dziękuję za kakao.

Naturalnie - przyznaję - zastanawiałem się czasem, jak potoczyłyby się później nasze losy, gdybym nie okazał tak nieprzejednanej postawy w sprawie wieczornych spotkań; gdybym przystał w końcu na propozycje ich wznowienia, które były ponawiane kilkakrotnie w ciągu kolejnych tygodni przez pannę Kenton. W świetle następných wydarzeń można by uznać bowiem, że podejmując tę decyzję, mogłem nie przewidzieć wszelkich jej konsekwencji - że stała się jak gdyby punktem zwrotnym, że zapoczątkowała nieodwracalny bieg wydarzeń ku temu, co w końcu nastąpiło.

Z drugiej jednak strony przypuszczam, że gdy po fakcie poszukujemy w przeszłości takich właśnie „punktów zwrotnych”, zaczynamy doszukiwać się ich wszędzie. Za taki można by więc uznać nie tylko moją decyzję odnośnie do naszych wieczornych spotkań, lecz nawet ów incydent w moim saloniku. Jak też potoczyłoby się wszystko, gdybym zachował się nieco inaczej owego wieczoru, gdy panna Kenton przyniosła mi wazon kwiatów. A może - jako że stało się to w tym samym okresie - jeszcze jednym „punktem zwrotnym” było moje spotkanie z panną Kenton w jadalni, w dniu, gdy otrzymała wiadomość o śmierci swojej ciotki.

Wiadomość ta nadeszła kilka godzin wcześniej; to ja właśnie zapukałem rano do drzwi saloniku panny Kenton, by wręczyć jej list. Wszedłem na chwilę, by omówić jakąś sprawę służbową; przypominam sobie, że siedzieliśmy przy stole i panna Kenton otworzyła ten list w trakcie rozmowy. Nagle znieruchomiała, lecz na jej korzyść trzeba zapisać to, że

zachowała spokój i co najmniej dwukrotnie przeczytała całą treść. Potem starannie włożyła list z powrotem do koperty i spojrzała na mnie ponad stołem.

- To od pani Johnson, pani do towarzystwa mojej ciotki. Pisze, że moja ciotka zmarła. Przedwczoraj. - Urwała na chwilę, po czym dodała: - Pogrzeb odbędzie się jutro. Czy byłoby możliwe, bym otrzymała jeden dzień wolny?

- Jestem pewien, że jest to do załatwienia, panno Kenton.

- Dziękuję, panie Stevens. Proszę mi wybaczyć, ale chciałabym zostać teraz sama.

- Oczywiście, panno Kenton.

Wyszedłem i dopiero wtedy zorientowałem się, że przecież nawet nie złożyłem jej kondolencji. Doskonale zdawałem sobie sprawę, jak wielkim ciosem musiała być dla niej ta wiadomość, gdyż ciotka, jak się zdaje, zastępowała jej matkę; zatrzymałem się więc w korytarzu, nie wiedząc, czy nie powinienem wrócić, zapukać i naprawić błąd. Jednak przyszło mi na myśl, że gdybym to uczynił, mógłbym zastać ją pogrążoną w smutku. Nie było wykluczone, że panna Kenton mogła dawać właśnie upust łzom. Myśl ta obudziła we mnie jakieś dziwne uczucie, sprawiające, że niezdecydowany wciąż stałem w korytarzu. W końcu jednak uznałem, że najlepiej będzie poczekać na inny, bardziej dogodny moment do wyrażenia mego współczucia, i odszedłem.

Tak się złożyło, że spotkałem się z nią dopiero po południu, jak już napomknąłem - w jadalni, gdzie układała porcelanę w kredensie. Już od kilku godzin myślałem głównie o nieszczęściu panny Kenton, a szczególnie o tym, w jaki sposób ulżyć jej nieco w cierpieniu. A kiedy usłyszałem jej kroki w jadalni - zajmowałem się czymś w hallu - odczekałem parę minut, po czym porzuciłem wykonywaną pracę i poszedłem za nią.

- A, to pani, panno Kenton - powiedziałem. - No i jak się pani czuje?

- Całkiem dobrze, dziękuję, panie Stevens.

- Czy wszystko w porządku?

- Jak najbardziej, dziękuję.

- Chciałem właśnie zapytać, czy ma pani jakieś szczególne problemy z nowymi pracownikami. - Zaśmiałem się lekko. - Gdy pojawia się ich naraz tak wiele jak teraz, zawsze przysparza to najróżniejszych drobnych trudności. Ośmielę się stwierdzić, że w

takiej sytuacji i najlepszym spośród nas przydarza się trochę podyskutować na tematy służbowe.

- Dziękuję, panie Stevens, ale te nowo przybyłe dziewczęta zachowują się według mnie zupełnie poprawnie.

- Nie widzi więc pani konieczności jakichkolwiek zmian w rozkładzie zajęć służby przy wzięciu pod uwagę tych nowych pracowników?

- Nie sądzę, by było to potrzebne. Jeżeli jednak miałabym zmienić zdanie, natychmiast pana poinformuję.

Jej uwaga znów skupiła się na kredensie i przez chwilę zastanawiałem się, czy nie opuścić jadalni. Zdaje się, że nawet uczyniłem już kilka kroków w stronę drzwi, lecz potem jeszcze raz odwróciłem się i powiedziałem:

- Więc mówi pani, panno Kenton, że nasze nowe pracownice dają sobie radę?

- I jedna, i druga, zapewniam pana.

- A, to świetnie. - Znów zaśmiałem się lekko. - Byłem po prostu ciekawy, gdyż stwierdziliśmy przedtem, że żadna z nich nie pracowała jeszcze w tak dużym domu.

- Tak, rzeczywiście, panie Stevens. Przypatrywałem się, jak napełniała kredens, i czekałem, czy powie coś więcej. Gdy po dłuższej chwili zrozumiałem, że nie, odezwałem się sam:

- A propos, panno Kenton, chciałem pani coś powiedzieć. Ostatnio zauważyłem, że parę rzeczy wykonywanych jest teraz nieco gorzej niż dawniej. Dlatego też wydaje mi się, że jest pani zbyt pobłażliwa dla nowo przyjętych dziewcząt.

- A cóż to takiego, panie Stevens?

- Po pojawieniu się nowych pracowników ja, panno Kenton, zawsze z podwójną dokładnością sprawdzam, czy wszystko jest w porządku. Bacznie przyglądam się ich pracy i oceniam, jak odnoszą się do pozostałych członków personelu. Jest przecież rzeczą ważną ukształtować sobie mniemanie zarówno o nich indywidualnie, jak i o ich wpływie na morale całej służby. Z przykrością stwierdzam, panno Kenton, że w tym względzie nie jest pani bez zarzutu.

Panna Kenton zmieszała się na chwilę. Potem odwróciła się ku mnie, a na jej twarzy malowało się niejake napięcie.

- Co takiego, panie Stevens?

- Na przykład, panno Kenton, choć nakrycia myte są nadal tak samo dobrze jak poprzednio, to sposób, w jaki układane są na półkach kuchennych, choć bezpośrednio nie niebezpieczny, może jednak stać się przyczyną nieco nadmiernej liczby stłuczeń.

- Czy tak, panie Stevens?

- Tak, panno Kenton. Poza tym ta mała nisza przed pokojem śniadaniowym już od jakiegoś czasu nie była odkurzana. Proszę mi wybaczyć, lecz jest jeszcze parę innych drobiazgów, na które chciałbym zwrócić uwagę.

- Nie musi pan więcej mówić, panie Stevens. Jak pan sugeruje, będę teraz lepiej nadzorowała pracę nowych pokojówek.

- To do pani niepodobne, panno Kenton, dopuszczać się takich przeoczeń.

Panna Kenton odwróciła ode mnie wzrok i znów na jej twarzy pojawił się na chwilę wyraz taki, jak gdyby chciała rozwikłać coś, czego nie była w stanie zrozumieć. Wyglądała teraz nie tyle na zdenerwowaną, co na bardzo zmęczoną. Potem zamknęła kredens, rzuciła: „Przepraszam, panie Stevens” i wyszła z pokoju.

Po cóż jednak wiecznie wspominać, co byłoby, gdyby w takiej czy innej chwili sprawy potoczyły się inaczej? W ten sposób można by doprowadzić się do zupełnego rozstroju nerwów. W każdym razie bardzo łatwo po fakcie rozprawiać o tych wszystkich „punktach zwrotnych”. To przecież oczywiste, że gdy teraz pomyśleć o takich czy innych przypadkach, mogą one rzeczywiście nabierać znaczenia najważniejszych, przełomowych chwil w życiu; jednak gdy zachodziły, bynajmniej nie miało się tego odczucia. Owszem, wyglądało to tak, jak gdybym miał nieskończoną liczbę dni, miesięcy i lat, by wyjaśnić wszystkie koleje mych związków z panną Kenton, nieskończoną liczbę innych okazji, by przeciwdziałać skutkom tego czy innego nieporozumienia. Nic wówczas nie wskazywało na to, by tak ewidentnie błahe wydarzenia mogły na zawsze przeszkodzić spełnieniu się wszelkich marzeń.

Spostrzegam jednak, że zaczynam zbyt roztrząsać przeszłość, i to w sposób dość ponury. Ma to bez wątpienia związek z późną porą oraz z niezwykle męczącą serią wydarzeń dzisiejszego wieczoru. Bez wątpienia też nie pozostaje bez wpływu na mój nastrój fakt, że - jeśli uda mi się uzyskać w tutejszym warsztacie kanister benzyny, o

czym upewniłem się u państwa Taylor - około obiadu znajdę się w Little Compton i zapewne, po tylu latach, znów zobaczę się z panną Kenton. Nie ma, oczywiście, powodu przypuszczać, że nasze spotkanie mogłoby nie być bardzo serdecznie. Sądzę zresztą, że nasza rozmowa - poza kilkoma nieoficjalnymi fragmentami całkowicie na miejscu w takich okolicznościach - będzie dotyczyła przede wszystkim spraw służbowych. Muszę przecież przekonać się wreszcie, czy panna Kenton jest rzeczywiście zainteresowana powrotem na swe dawne stanowisko w Darlington Hall - w sytuacji, gdy, jak się niestety wydaje, z powodu rozpadu jej małżeństwa nie ma teraz gdzie mieszkać. Mogę dodać w tym miejscu, że po ponownej, wieczornej lekturze jej listu skłonny jestem przyznać, że być może starałem się wyczytać między wierszami więcej, niż nakazywałby rozsądek. Nadal jednak uważam, że z niektórych partii tego listu przebija coś więcej niż sama tylko nostalgia, zwłaszcza gdy pisze: *Tak lubiłam ten widok z pokojów sypialnych na drugim piętrze: trawnik i ciągnące się w oddali wzgórze.*

Po cóż jednak wiecznie roztrząsać sprawę obecnych zamiarów panny Kenton, skoro jutro zostaną mi one przedstawione przez nią samą? Już i tak dość daleko odszedłem od wydarzeń dzisiejszego wieczoru, które miałem przecież relacjonować. Wracając do tego tematu, pozwolę sobie stwierdzić, że ostatnie kilka godzin było dla mnie nadmiernie męczące. Można by sądzić, że konieczność porzucenia forda na jakimś samotnym wzgórzu, a następnie odbycie marszu tak niezwykłą drogą w zapadających ciemnościach to i tak nadto jak na jeden wieczór. Jestem również pewien, że państwo Taylor, moi mili gospodarze, nigdy nie skazaliby mnie świadomie na te wszystkie katusze, przez które właśnie przeszedłem. Nie zmienia to jednak faktu, że gdy tylko zasiadłem u nich do kolacji, gdy tylko zaczęli pojawiać się u nich sąsiedzi, sytuacja stała się dla mnie bardzo żenująca.

Frontowa izba na parterze domku służyła państwu Taylor zarówno jako jadalnia, jak i pokój dzienny. Była bardzo przytulna, a za główny sprzęt służył wielki stół z pobieżnie tylko oheblowanych desek, taki, jaki widuje się zazwyczaj w wiejskich kuchniach, nie kryty politurą, porysowany wieloma drobnymi śladami tasaków i noży. Widziałem je dosyć dokładnie, choć siedzieliśmy oświetleni słabym żółtym światłem lampy naftowej, stojącej na jednej z półek w kącie izby.

- Co prawda, jest tu prąd - zauważył w pewnej chwili pan Taylor, wskazując ruchem głowy lampę - ale ostatnio coś wysiadło i nie mamy go już od prawie dwóch miesięcy. Inna rzecz, że wcale nam go nie brakuje. We wsi jest parę domów, co nigdy go nie miały. Nafta świeci tak jakoś ciepło.

Pani Taylor podała nam smaczny rosół, który zjedliśmy z chrupiącym chlebem; nic nie zwiastowało, że nie będzie mi dane wkrótce udać się na tak bardzo przecież zasłużony odpoczynek. Tymczasem właśnie kończyliśmy kolację, a pan Taylor częstował mnie szklanką piwa, które wyrabiał jeden z sąsiadów, gdy na wysypanym żwirze podwórzu zachrzęściły czyjeś kroki. Odgłos ten, zbliżający się w ciemności do stojącej przecież na uboczu chaty, wydał mi się nieco złowieszczy, lecz żadne z moich gospodarzy bynajmniej nie okazało niepokoju. W głosie pana Taylora nie brzmiało nic prócz ciekawości, gdy zapytał:

- O, a kto też to może być?

Powiedział to bardziej do siebie, lecz natychmiast usłyszeliśmy jakby w odpowiedzi:

- To ja, George Andrews. Właśnie tędy przechodziłem.

I w następnej chwili pani Taylor prowadziła już do środka dobrze zbudowanego mężczyznę w wieku około pięćdziesięciu lat, który, sądząc po stroju, spędził cały dzień na pracach rolnych. Z poufałością zdradzającą częstego gościa przysiadł na małym stołeczku przy wejściu i z pewnym wysiłkiem ściągnął z nóg kalosze, zamieniając przy tym kilka zdawkowych uwag z panem Taylorem. Potem podszedł do stołu i stanął przede mną na baczność, jakby był w wojsku, i meldował się oficerowi.

- Nazwisko moje Andrews, sir - powiedział. - Życzę panu bardzo miłego wieczoru. Bardzo mi przykro z powodu pana pecha, ale mam nadzieję, że nie jest pan bardzo zły, że nocuje pan tutaj, w Moscombe.

Byłem nieco zdziwiony, skąd pan Andrews mógł dowiedzieć się o moim, jak to określił „pechu”. Tak czy inaczej, odparłem z uśmiechem, że bynajmniej nie jestem „zły”, a wręcz przeciwnie, jestem wielce zobowiązany za gościnę, jaką otrzymałem. Mówiąc to, miałem oczywiście na myśli uprzejmość państwa Taylor, lecz pan Andrews uznał widać, że owe wyrazy wdzięczności adresowane są również do niego, gdyż natychmiast odpowiedział, podnosząc w górę swe wielkie dłonie:

- Ależ to nic takiego, sir, jest nam bardzo miło, że możemy pana gościć. Tacy jak pan nie zdarzają się tutaj często. Bardzo się cieszymy, że się pan tu zatrzymał.

Sposób, w jaki to mówił, zdawał się sugerować, że o moim „pechu” i przybyciu do tego domku wie już cała wioska. Jak miałem przekonać się wkrótce, było to bardzo bliskie prawdy; mogę domyślać się tylko, że w ciągu tych kilku minut od chwili, gdy zaprowadzono mnie do mego pokoju - podczas gdy myłem ręce i starałem się jakoś naprawić szkody poczynione w marynarce i mankietach spodni - państwo Taylor podawali wiadomość o mnie każdemu, kto akurat mijał ich domek. Tak czy inaczej, już po chwili pojawił się następny gość, z wyglądu bardzo podobny do pana Andrews - czyli szeroki w barach i bez wątpienia parający się rolnictwem, w zabłoconych kaloszach, które natychmiast ściągnął zupełnie tak samo jak przed chwilą pan Andrews. Ich podobieństwo było doprawdy tak znaczne, że myślałem, iż są braćmi, dopóki nowo przybyły nie przedstawił mi się: „Morgan, sir. Trevor Morgan”.

Pan Morgan wyraził ubolewanie z powodu mojego „pecha”, zapewniając mnie, że rano wszystko się ułoży, po czym dodał, że jestem w wiosce bardzo mile widzianym gościem. Przed chwilą słyszałem już podobne stwierdzenie, lecz słowa pana Morgana brzmiały dokładnie tak: „To dla nas wielki zaszczyt, sir, gościć tu, w Moscombe, kogoś takiego jak pan”.

Zanim mogłem zastanowić się nad odpowiedzią, na ścieżce za domem dały się słyszeć odgłosy kroków. Wkrótce do izby wprowadzono parę w średnim wieku, którą przedstawiono mi jako pana Harry'ego Smitha z małżonką. Ci ludzie nie wyglądali wcale na rolników; ona była postawną matroną, nieco przypominającą mi panią Mortimer, kucharkę z Darlington Hall, która służyła tam w latach dwudziestych i trzydziestych. Z kolei pan Harry Smith był drobnym człowieczkiem, którego pomarszczonej twarzy nadawały bardzo energiczny wyraz wiecznie nastroszone brwi. Gdy zajmowali miejsca przy stole, rzekł do mnie:

- Pański wóz to ten przedwojenny ford, tam, na wzgórzu Thornley Bush, sir?

- Jeżeli tak się nazywa to wzgórze nad wioską - powiedziałem. - Dziwię się jednak, słysząc, że go pan zauważył.

- Nie na własne oczy, sir. Ale Dave Thornton przejeżdżał tam traktorem, jak wracał do domu. Tak się zdziwił, że aż stanął i wysiadł. - Tu pan Harry Smith zwrócił się

do innych obecnych. - Cudowna limuzyna. Mówił, że jeszcze tu takiej nie widział. Całkiem zakasowała auto, co nim kiedyś jeździł pan Lindsay!

To wywołało powszechny wybuch śmiechu, a siedzący obok mnie pan Taylor pośpieszył z wyjaśnieniem:

- To taki gość, co mieszkał tu kiedyś niedaleko, w tym dużym domu. Miał parę wyskoków i nie był tu lubiany.

Słowa te potwierdził pomruk zebranych. Potem ktoś rzekł: „Pana zdrowie, sir”, podnosząc w górę kufel piwa, którym pani Taylor właśnie poczęstowała wszystkich gości, a całe towarzystwo przyłączyło się do tego toastu.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem:

- Zapewniam państwa, że cała przyjemność po mojej stronie.

- To się nazywa prawdziwa uprzejmość, sir - powiedziała pani Smith. - Tacy właśnie są prawdziwi dżentelmeni. Ten pan Lindsay to nie był żaden dżentelmen. Może i miał mnóstwo pieniędzy, ale dżentelmenem to on nie był nigdy.

I znów wszyscy chętnie się zgodzili. Potem pani Taylor szepnęła coś do ucha pani Smith, na co ta odparła:

- Mówił, że postara się tu zjawić, jak tylko będzie mógł. Odwróciły się do mnie zakłopotane, po czym pani Smith powiedziała:

- Mówiliśmy doktorowi Carlisle, że pan tu jest. Pan doktor bardzo chciałby pana poznać.

- Ma jeszcze pewnie jakieś wizyty u pacjentów - dodała, jakby przepraszająco, pani Taylor. - Obawiam się, sir, że przyjdzie, gdy pan już będzie spał.

Wtedy pan Harry Smith, ów mały człowieczek o pomarszczonej twarzy, znów pochylił się do przodu i powiedział:

- Bo ten pan Lindsay to nic nie wiedział, wie pan? A jak się tu zachowywał! Uważał się za kogoś lepszego od nas, a nas miał za głupków. No, ale powiadam panu, zaraz się przekonał, że się mylił. My tutaj sporo myślimy, sporo rozmawiamy między sobą. Mamy własne, wyrobione poglądy i nie boimy się ich wypowiadać. I ten Lindsay szybko się o tym przekonał.

- To nie był żaden dżentelmen ten pan Lindsay - powiedział cicho pan Taylor. - Żaden dżentelmen.

- To prawda, sir - dorzucił pan Harry Smith. - Starczyło spojrzeć i już było znać, że to żaden dżentelmen. Pewnie, miał piękny dom i porządne garnitury, ale co z tego? No i szybko wszyscy się o tym przekonali.

Odpowiedzią na to był pomruk aprobaty i przez chwilę wszyscy z obecnych zdawali się zastanawiać, czy będzie właściwe podzielić się ze mną opowieścią na temat tej miejscowej osobistości. Wreszcie milczenie przerwał pan Taylor.

- To prawda, co mówi Harry. Zaraz można odróżnić prawdziwego dżentelmena od takiego, co tylko ubiera się w piękne stroje. Bo weźmy pana na przykład. U pana nie tylko krój ubrania ani nawet to, że pan pięknie się wyraża. U pana to jest jeszcze coś, co zaraz mówi, że pan to prawdziwy dżentelmen. Ciężko powiedzieć dokładnie, co to takiego, ale przecież widać to gołym okiem.

Znów wokół stołu rozległy się głosy aprobaty.

- Już niedługo przyjdzie doktor Carlisle - wtrąciła pani Taylor. - Będzie się z nim panu dobrze rozmawiało.

- Pan doktor też to ma - powiedział jej mąż. - Ma. To też prawdziwy dżentelmen.

Pan Morgan, który nie mówił wiele od swego przybycia, teraz pochylił się do przodu i rzekł do mnie:

- Jak panu się wydaje, sir, co to takiego? Może łatwiej będzie to powiedzieć komuś, kto to ma? Bo mówimy tu cały czas o tym, kto to ma, a kto nie ma, ale dalej nie wiemy, o co właściwie chodzi. Może pan by nas nieco oświecił, sir?

Wokół stołu zapadła cisza i poczułem, że wszystkie twarze zwracają się ku mnie. Odkaszlnąłem lekko i powiedziałem:

- Nie do mnie należy wypowiadanie się o cechach, które może mam, a może nie. Jednak w tym przypadku należałoby przypuszczać, że chodzi tu o cechę, którą można określić najdokładniej jako „godność”.

Nie miałem zamiaru szerzej wyjaśniać tego stwierdzenia. Wyraziłem tylko głośno myśli, jakie nasunęły mi się pod wpływem rozmowy, i nie sądzę, bym w ogóle to

powiedział, gdyby nie zmusiła mnie do tego sytuacja. Tymczasem moje słowa zostały przyjęte z aprobatą.

- Święta prawda, to, co pan mówi, sir - rzekł kiwając głową pan Andrews, a parę innych głosów powtórzyło jego słowa.

- Tak, temu Lindsayowi rzeczywiście przydałoby się trochę więcej godności - powiedziała pani Taylor. - Tylko że kłopot z takimi jak on polega na tym, że myli im się godność z zadzieraniem nosa.

- Zaraz, zaraz - przerwał pan Harry Smith - z całym szacunkiem dla pańskich słów, sir, muszę coś tu dodać. Godność to nie tylko to, co mają wielcy panowie. Do godności może dążyć i osiągnąć ją każdy człowiek w tym kraju, nieważne, mężczyzna czy kobieta. Pan mi wybaczy, ale jak już wcześniej mówiłem, my tu nie robimy ceremonii, jak chodzi o wypowiedanie swoich myśli. A ja tak właśnie myślę. Godność nie jest tylko dla wielkich panów.

Zrozumiałem, że mamy z panem Harrym Smithem zupełnie odmienne zdanie na ten temat i że trudno by było wytłumaczyć tym ludziom, o co mi chodzi.

- Oczywiście, ma pan zupełną rację - powiedziałem więc z uśmiechem.

To natychmiast rozładowało pewne napięcie, jakie dało się wyczuć w powietrzu po wystąpieniu pana Harry'ego Smitha. Sam zaś pan Harry Smith zdał się pozbyć wszelkich uprzedzeń, gdyż teraz pochylił się do przodu i mówił dalej:

- W końcu po tośmy się bili z Hitlerem. Jakby on wygrał, bylibyśmy teraz niewolnikami. Na całym świecie byłoby tylko paru panów i całe miliony niewolników. A nie muszę tu nikomu przypominać, że jak się jest niewolnikiem, to nie ma mowy o godności. To o tośmy walczyli i tośmy wywalczyli. Wywalczyliśmy prawo bycia wolnymi obywatelami. I na tym właśnie polega ta wyższość urodzenia się Anglikiem, że niezależnie - bogaty czy biedny, każdy rodzi się wolny, każdy ma prawo do własnego zdania i może głosować za swoim posłem albo przeciw niemu. I na tym właśnie polega godność, jeśli pan pozwoli, sir.

- No, no, Harry - wtrącił pan Taylor - bo ty znowu zapalasz się do tych swoich przemówień politycznych.

Wszyscy roześmiali się. Pan Harry Smith uśmiechnął się z niejakim zażenowaniem, ale mówił dalej:

- Ja tam wcale nie mówię o polityce. Ale nie można mieć godności, jak się jest niewolnikiem. Za to każdy Anglik może ją osiągnąć, jeśli tylko chce. Bo wywalczyliśmy sobie to prawo.

- Może wydawać się, sir, że nasza wieś jest mała i na uboczu - dodała jego żona - ale w czasie wojny zrobiliśmy dla kraju nawet więcej, niż trzeba. O, znacznie więcej.

Po tym stwierdzeniu trwała przez chwilę uroczysta cisza, dopóki pan Taylor nie zwrócił się do mnie:

- Nasz Harry bardzo tu działa dla naszego posła. Dać mu byle pretekst i zaraz panu powie, co mu się nie podoba w naszym kraju.

- Przecież teraz właśnie mówiłem, co mi się tu podoba, może nie?

- A czy pan, sir, miał wiele do czynienia z polityką? - spytał pan Andrews.

- Nie bezpośrednio - powiedziałem. - I nie ostatnio. Już bardziej przed wojną.

- Bo tak mi się zdaje, że rok czy dwa lata temu w parlamencie był jeden Stevens. Parę razy słuchałem go przez radio. Mówił bardzo rozsądnie o problemie mieszkaniowym. Ale to chyba nie pan, sir?

- O, nie - odparłem ze śmiechem.

Nadal jest dla mnie tajemnicą, co sprawiło, że wypowiedziałem te następne zdania; moim jedynym usprawiedliwieniem może być tylko fakt, że wydało mi się to konieczne w tej sytuacji. Otóż dodałem wtedy:

- Ja zajmowałem się raczej sprawami międzynarodowymi. Mam na myśli politykę zagraniczną.

Nieco speszyło mnie wrażenie, jakie na mych słuchaczach wywarły te słowa: wszyscy wydawali się wielce onieśmieleni. Dodałem więc pośpiesznie:

- Nigdy nie sprawowałem żadnego wysokiego urzędu. Wpływ, jaki miałem, wywierałem całkowicie nieoficjalnie. - Mimo to jeszcze przez chwilę trwała zupełna cisza.

- Przepraszam pana, sir - odezwała się wreszcie pani Taylor. - To czy znał pan może pana Churchilla?

- Pana Churchilla? Bywał u nas kilkakrotnie. Jednak szczerze mówiąc, pani Taylor, w czasach moich ściślejszych związków z wielką polityką pan Churchill nie był tak ważną figurą i mało kto spodziewał się wtedy, że taką zostanie. Częściej gościliśmy wówczas osoby takie, jak pan Eden czy lord Halifax.

- Ale jednak poznał pan pana Churchilla, sir. To wielki zaszczyt móc powiedzieć o sobie coś takiego.

- Ja tam nie zgadzam się z wieloma poglądami pana Churchilla - wtrącił pan Harry Smith - ale jedno jest pewne, że to wielki człowiek. To musi być coś, móc sobie podyskutować z kimś takim jak on.

- Muszę tylko powtórzyć - odpowiedziałem - że nie miałem zbyt wiele do czynienia z panem Churchilllem. Jednak jak pan słusznie zauważył, obcowanie z nim dawało wiele satysfakcji. Biorąc wszystko pod uwagę, muszę przyznać, że miałem chyba wiele szczęścia. Dane mi było bowiem przebywać w towarzystwie nie tylko pana Churchilla, lecz i wielu innych przywódców i ludzi wpływowych - z Europy i z Ameryki. A gdy pomyśli się, że miałem szczęście być przez nich wysłuchiwanym w wielkich sprawach owych czasów... tak, gdy to teraz wspominam, odczuwam pewną wdzięczność. To w końcu wielki zaszczyt otrzymać jakąkolwiek, choćby najmniejszą rolę do odegrania na arenie światowej.

- Proszę wybaczyć, że pytam, sir - powiedział pan Andrews - ale jaki jest ten pan Eden, no, jako człowiek, tak osobiście? Bo zawsze wydawało mi się, że to porządny chłop, taki, co to umie z każdym porozmawiać: i z wielkimi figurami, i ze zwykłymi ludźmi, i z bogatymi, i z biednymi. Mam rację, sir?

- Powiedziałbym, że jest to w znacznej mierze słuszne wyobrażenie. W ostatnich latach nie widziałem się już z panem Edenem; być może odmienił go nieco natłok spraw, którymi musi się zajmować. Nieraz mogłem się przekonać, że udział w życiu publicznym potrafi w bardzo krótkim czasie zmienić człowieka nie do poznania.

- Nie wątpię, sir - rzekł pan Andrews. - Przecież nawet z Harrym jest to samo. Parę lat temu zabrał się do polityki i od tego czasu to już nie ten sam człowiek.

Znów zabrzmiał śmiech, pan Harry Smith zaś wzruszył ramionami i pozwolił sobie na przelotny uśmiech. Potem przemówił:

- To prawda, że działałam w kampanii wyborczej. Zresztą tylko na szczeblu lokalnym, więc nigdy nie stykam się z osobami choćby w połowie tak ważnymi jak pan, sir, ale uważam, że na tyle, na ile mogę, robię to, co do mnie należy. Boja widzę to tak: Anglia jest krajem demokratycznym i my, z tej wioski, nieźleśmy się nacierpieli, żeby takim pozostała do dziś. A to, czy teraz będziemy korzystać z naszych praw, zależy już tylko od nas. Wielu porządnych chłopców z naszej wioski oddało życie, żebyśmy mieli te prawa, i według mnie jesteście im teraz wszyscy to właśnie winni, żeby robić swoje. Pewnie, że nasza wieś leży na uboczu, że jest mała, że nikt z nas nie młodnieje, że wieś się wyludnia. Ale - według mnie - mamy dług względem tych chłopaków, co nie wrócili. I właśnie dlatego, sir, tyle teraz czasu poświęcam, żeby nasz głos był słyszany na samej górze. I nic mnie nie obchodzi, czy mnie to zmieni ani czy nie wpędzi wcześniej do grobu.

- Ostrzegałem pana, sir - powiedział z uśmiechem pan Taylor. - Nie ma mowy, żeby Harry pozwolił takiej wpływowej osobie jak pan wyjechać od nas, dopóki do końca nie wysłucha pan tego, co on ma do powiedzenia.

Obecni znów roześmiali się, a ja odpowiedziałem niemal natychmiast:

- Wydaje mi się, że rozumiem pana poglądy, panie Smith, rozumiem doskonale, że chce pan, by świat był lepszy i że pan oraz pana sąsiedzi powinni mieć możliwość uczestnictwa w tworzeniu tego lepszego świata. To godne najwyższej pochwały. Ośmielę się stwierdzić, że i mną kierowały bardzo podobne uczucia, gdy przed wojną zajmowałem się wielkimi sprawami. Wtedy też, jak obecnie, światowy pokój był bardzo kruchy i ja też chciałem przyczynić się do jego umocnienia.

- Proszę mi wybaczyć, sir - powiedział pan Harry Smith - ale mi chodziło o coś trochę innego. Takim jak pan wywierać wpływ było zawsze łatwo. Przecież do grona swych przyjaciół może pan zaliczyć najmożliwszą osobistość naszego kraju. Ale ludzie tacy jak my mogą żyć sobie całe lata i nawet ani razu nie zobaczyć prawdziwego dżentelmena - no, może poza panem doktorem. A i on, choć to pierwszorzędnny doktor, mówiąc z całym szacunkiem, nie posiada takich koneksji. Nam tu łatwo zapominać o naszych obywatelskich obowiązkach i dlatego ja tak bardzo staram się działać przy wyborach. Nieważne, czy się ze mną zgadzają czy nie - już ja wiem, że w tym pokoju nie ma ani jednej osoby, co by zgadzała się ze mną we wszystkim - ale przynajmniej dzięki

temu zaczynają myśleć, przynajmniej przypominam im o ich obowiązkach. Żyjemy w demokratycznym kraju. O tośmy walczyli. Wszyscy musimy robić swoje.

- Ciekawe, co się dzieje z panem doktorem - powiedziała pani Smith. - Jestem pewna, że chętnie porozmawiałby pan teraz z kimś wykształconym.

To znów wywołało wybuch śmiechu.

- Prawdę mówiąc - powiedziałem - to choć było mi bardzo przyjemnie państwa poznać, muszę przyznać, że czuję się już dość wyczerpany...

- Oczywiście, sir - przytaknęła pani Taylor. - Musi pan być strasznie zmęczony. Może dałabym panu jeszcze jeden koc? Noce są teraz coraz chłodniejsze.

- Nie, zapewniam panią, pani Taylor, że w zupełności mi wystarczy.

Zanim jednak zdążyłem wstać od stołu, odezwał się pan Morgan:

- Tak sobie pomyślałem, sir, my tu chętnie słuchamy przez radio takiego faceta nazwiskiem Leslie Mandrake. Tak sobie pomyślałem, że może pan go zna.

Odpowiedziałem, że nie, i podjąłem kolejną próbę udania się na spoczynek, lecz po to tylko, by zostać zatrzymany dalszymi pytaniami o różne osobistości, które mogłem znać. Z tego powodu wciąż jeszcze siedziałem za stołem, gdy pani Smith zauważyła:

- O, ktoś idzie. To pewnie wreszcie pan doktor.

- Naprawdę muszę już udać się na spoczynek - powiedziałem. - Jestem zupełnie wyczerpany.

- Ale to już na pewno pan doktor - powiedziała pani Smith. - Proszę poczekać jeszcze parę minut.

Gdy tylko to wyrzekła, zastukano do drzwi i głos zza nich powiedział:

- To ja, pani Taylor.

Pan, którego wprowadzono, był jeszcze dość młody - w wieku czterdziestu lat - szczupły i wysoki; tak wysoki, że musiał pochylić się, wchodząc do izby. Ledwo przywitał się ze wszystkimi, a już pani Taylor mówiła:

- To właśnie ten nasz pan, panie doktorze. Zepsuło mu się auto na Thornley Bush i musi teraz wysłuchiwać przemówień Harry'ego.

Doktor podszedł do stołu i wyciągnął do mnie rękę.

- Richard Carlisle - przedstawił się z wesołym uśmiechem, gdy ja ścisnąłem jego prawicę. - A to paskudny pech z pana samochodem. No, ale widzę, że dobrze zajęto się tu panem. Pewnie nawet aż za dobrze.

- Dziękuję panu - odparłem. - Wszyscy byli niezwykle uprzejmi.

- No, w każdym razie bardzo nam miło gościć tu pana. - Doktor Carlisle zasiadł za stołem naprzeciwko mnie. - Z jakiej części kraju pan pochodzi?

- Z hrabstwa Oksford - powiedziałem i z trudem opanowałem się, by z przyzwyczajenia nie dodać „sir”.

- To piękna okolica. Mam wujka, który mieszka tuż pod samym Oksfordem. Piękna okolica.

- Ten pan mówił nam właśnie, panie doktorze - powiedziała pani Smith - że zna pana Churchilla.

- Ach, tak. Znałem kiedyś jego siostrzeńca, ale jakoś straciłem z nim wszelki kontakt. Natomiast samego Churchilla nie miałem zaszczytu poznać osobiście.

- I nie tylko pana Churchilla - ciągnęła pani Smith. - Zna pana Edena. I lorda Halifaksa.

- Ach, tak?

Poczułem na sobie badawczy wzrok doktora. Miałem właśnie uczynić jakąś stosowną uwagę, ale uprzedził mnie pan Andrews:

- Pan mówił nam, że w swoim czasie miał wiele do czynienia z polityką zagraniczną.

- Ach tak, naprawdę?

Zdawało mi się, że doktor Carlisle wpatrywał się we mnie niezwykle długo. Potem odzyskał pogodny nastrój i zapytał:

- Jeździ pan dla przyjemności?

- Głównie tak - odparłem i zaśmiałem się lekko.

- Ma pan tu wszędzie piękną okolicę. Aha, panie Andrews, bardzo pana przepraszam, że jeszcze nie oddałem tej piły.

- Nie spieszy się, panie doktorze.

Na chwilę przestałem być w centrum uwagi i wreszcie nie musiałem nic mówić. Potem, w odpowiednim momencie, wstałem i oznajmiłem:

- Proszę mi wybaczyć, był to naprawdę bardzo przyjemny wieczór, ale muszę już absolutnie udać się na spoczynek.

- Och, co za szkoda, że już pan idzie spać, sir - powiedziała pani Smith. - Pan doktor dopiero co przyjechał.

Pan Harry Smith pochylił się przez swoją żonę i rzekł do doktora:

- Miałem nadzieję, że ten pan porozmawia trochę z panem doktorem o pańskich poglądach na temat Imperium, panie doktorze. - A potem, zwracając się do mnie: - Bo nasz pan doktor uważa, że te wszystkie małe kraiki powinny uzyskać niepodległość. Ja nie mam takiego wykształcenia, żeby mu udowodnić, że nie ma racji, choć wiem, że nie ma. Byłbym ciekaw, co też mógłby mu powiedzieć ktoś taki jak pan, sir.

I znów doktor przyglądał mi się bacznie.

- No cóż, szkoda, ale musimy pozwolić panu iść do łóżka - rzekł. - Miał pan pewnie bardzo ciężki dzień.

- Rzeczywiście - powiedziałem i znów zaśmiaawszy się lekko, wysunąłem się zza stołu.

Ku mojemu zażenowaniu wszyscy, łącznie z doktorem, zerwali się na równe nogi.

- Bardzo wszystkim dziękuję - powiedziałem z uśmiechem. - Pani Taylor, pani kolacja była wyśmienita. Życzę wszystkim dobrej nocy.

W odpowiedzi rozległ się chór „Dobranoc, sir”. Prawie wyszedłem z pokoju, gdy w drzwiach osadził mnie na miejscu głos doktora.

- Zaraz, zaraz - powiedział, a gdy odwróciłem się, zobaczyłem, że jeszcze nie usiadł. - Jutro, wcześniej rano, mam wizytę w Stanbury. Chętnie podrzucę pana do samochodu. Nie będzie pan musiał tyle chodzić. A po drodze zabierzemy od Teda Hardacre'a kanister benzyny.

- To bardzo uprzejmie z pana strony - odparłem - ale nie chciałbym panu robić tyle kłopotu.

- To żaden kłopot. Może być siódma trzydzieści?

- Byłoby to dla mnie bardzo wygodne.

- No, to dobrze, siódma trzydzieści. Pani Taylor, niech pani zbudzi i nakarmi swojego gościa na siódmą trzydzieści. - Potem, odwróciwszy się do mnie, dodał: - Dzięki temu będziemy mogli sobie pogadać, tylko Harry nie będzie mógł się cieszyć z mojego upokorzenia.

Rozległ się śmiech, a po nim nowa seria życzeń dobrej nocy, nim wreszcie pozwolono mi schronić się w mój pokój.

Myślę, że nie muszę podkreślać, jak fatalnie czułem się tego wieczoru z powodu owego nieszczęsnego nieporozumienia dotyczącego mojej osoby. Mogę teraz tylko powiedzieć z całą uczciwością, że zupełnie nie mam pojęcia, jak mogłem zapobiec takiemu obrotowi sprawy, bowiem w momencie gdy zorientowałem się, co się dzieje, sprawy zaszły już tak daleko, że poczynienie przeze mnie sprostowania spowodowałoby tylko jeszcze większe zamieszanie. Tak czy inaczej, choć było to dosyć przykre, nie uważam wcale, że stało się jakieś prawdziwe nieszczęście. W końcu jutro rano wyjadę stąd i zapewne nigdy więcej nie spotkam tych ludzi. Nie ma więc powodu zbytnio się tym przejmować.

Jednak, już niezależnie od tego nieszczęśliwego nieporozumienia, powinienem zastanowić się nad paroma innymi aspektami wydarzeń dzisiejszego wieczoru - po to choćby, by nie dręczyły mnie potem przez kilka następnych dni. Jest więc na przykład sprawa twierdzeń pana Harry'ego Smitha o naturze „godności”. Z pewnością niewiele z nich zasługuje na poważne zastanowienie. Trzeba oczywiście wziąć pod uwagę, że pan Harry Smith używał słowa „godność” w zupełnie innym znaczeniu niż ja. Jednak nawet w takim rozumieniu jego twierdzenia były z pewnością zbyt idealizujące, zbyt teoretyczne, by budziły szacunek. Bez wątplenia w tym, co mówił, była szczypta prawdy: rzeczywiście, w takim kraju jak nasz również szary obywatel ma swego rodzaju obowiązek myśleć o wielkich sprawach i wyrabiać sobie opinie na ich temat. Czy jednak w życiu codziennym można wymagać od zwykłych ludzi, by na wszelkie tematy posiadali „wyrobione poglądy” - jak dość dziwnie zdawał się twierdzić pan Harry Smith? Taka sytuacja byłaby nie tylko mało prawdopodobna, lecz wręcz niewskazana. Wiedza i zdolności osądu człowieka z tłumu są przecież mocno ograniczone, więc nie byłoby chyba rozsądne wymagać od niego wtrącania się ze swymi „wyrobionymi poglądami” w wielkie sprawy kraju. A bez

wątpienia całkowitym absurdem jest, by na tej podstawie definiować pojęcie „godności” danej osoby.

Przychodzi mi na myśl przykład, który, jak sądzę, dość dobrze uwidacznia, jak mało słuszne są poglądy pana Harry'ego Smitha. Jest to akurat przykład mego własnego życia. Przytoczę pewne zdarzenie, które miało miejsce przed wojną, około roku 1935.

Jak sobie przypominam, pewnego wieczoru zadzwoniono po mnie dość późno - było już po północy - z salonu, gdzie jego lordowska mość przyjmował po kolacji trzy osoby. Oczywiście, do salonu wzywano mnie już kilkakrotnie, bym dolewał gościom napojów i przy tej okazji za każdym razem zastawałem wszystkich panów pogrążonych w głębokiej dyskusji nad ważkimi problemami. Jednak gdy ostatnim razem wszedłem do salonu, wszyscy przerwali rozmowę i popatrzyli na mnie. Potem odezwał się jego lordowska mość:

- Podejdźcie tu, Stevens, dobrze? Pan Spencer chciałby zamienić z wami parę słów.

Wzmiankowany pan nadal przyglądał mi się przez chwilę, nie zmieniając dość swobodnej pozy, jaką przybrał w fotelu. Wreszcie rzekł:

- Mój dobry człowieku, mam do was pytanie. Potrzebujemy waszej pomocy w sprawie, nad którą debatujemy. Powiedzcie no mi, czy sądzicie, że nasze zadłużenie względem Ameryki ma znaczący wpływ na obecne niskie obroty handlowe? Czy też jest to według was tylko zasłona dymna, a cała sprawa została spowodowana odejściem od parytetu złota?

Byłem tym, oczywiście, nieco zaskoczony, lecz zarazem pojąłem sytuację - tego właśnie spodziewano się po mnie: to pytanie miało mnie zaskoczyć. Zresztą przez chwilę, której potrzebowałem na dostrzeżenie tego i przygotowanie stosownej odpowiedzi, mogłem sprawiać wrażenie, że usilnie rozmyślam nad tym pytaniem, bowiem zauważyłem, że wszyscy panowie wymienili między sobą wesołe uśmiechy.

- Bardzo mi przykro, sir - powiedziałem - lecz nie mogę służyć pomocą w tej sprawie.

W tym momencie panowałem już nad sytuacją, lecz panowie nadal śmiali się ukradkiem, a pan Spencer odezwał się:

- To może pomożecie nam w innym problemie. Jak według was na waluty europejskie wpłynąłby układ o dostawach broni między Francuzami a bolszewikami?

- Bardzo mi przykro, sir, lecz nie mogę służyć pomocą w tej sprawie.

- O Boże - westchnął pan Spencer. - Czyli i w tej sprawie nic nam nie pomożecie.

Dały się słyszeć kolejne przytłumione śmiechy, po czym jego lordowska mość powiedział:

- Bardzo dobrze, Stevens. To by było wszystko.

- Proszę cię, Darlington, mam jeszcze jedno pytanie do naszego dobrego człowieka - powiedział pan Spencer. - Potrzeba mi jego pomocy w sprawie, która obecnie ogromnie nas zajmuje i która, jak wszyscy wiemy, ma podstawowe znaczenie dla określenia linii naszej polityki zagranicznej. Dobry człowieku, bardzo was proszę, pomóżcie nam. Jakie są rzeczywiste zamiary pana Lawała w związku z jego ostatnim przemówieniem na temat sytuacji w Afryce Północnej? Czy i wy jesteście zdania, że są to tylko wewnętrzpartyjne rozgrywki Lawała z nacjonalistyczną frakcją w jego własnym stronnictwie?

- Bardzo mi przykro, sir, lecz nie mogę służyć pomocą w tej sprawie.

- Widzicie, panowie - oznajmił pan Spencer, zwracając się do pozostałych. - Ten oto dobry człowiek nie może służyć pomocą w tej sprawie.

To wywołało nowe śmiechy, teraz niemal nie skrywane.

- A mimo to - ciągnął pan Spencer - nadal upieramy się wszyscy, by decyzje dotyczące tego kraju pozostawały w rękach tego oto dobrego człowieka i milionów jemu podobnych. Czy można więc się dziwić, że z tą kulą u nogi, jaką jest nasz obecny system parlamentarny, nie potrafimy znaleźć żadnych rozwiązań naszych licznych kłopotów? Przecież z równym powodzeniem można by zlecić prowadzenie kampanii wojennej kołom gospodyń wiejskich.

Tu rozległ się już otwarty, nie pohamowany wybuch śmiechu. Jego lordowska mość mruknął: „Dziękuję wam, Stevens”, pozwalając mi tym samym opuścić pokój.

Ta, trzeba przyznać, dość niezręczna sytuacja nie była wcale najtrudniejszą z tych, z jakimi miewałem do czynienia podczas pełnienia obowiązków ani nawet szczególnie nietypową. Bez wątplenia zgodzą się Państwo, że każda szanująca się osoba mego zawodu powinna umieć radzić sobie w takich okolicznościach. Następnego ranka niemal

już zapomniałem o tym zajściu, gdy lord Darlington wszedł do pokoju bilardowego, gdzie stojąc na drabinie odkurzałem portrety, i rzekł:

- Słuchajcie Stevens, to było okropne. To, przez co musieliście przejść wczoraj wieczór.

Przerwałem to, co robiłem, i odparłem:

- Ależ nie, sir. Byłem szczęśliwy, że mogłem przydać się na coś.

- To było okropne. Obawiam się, że po kolacji było nam zbyt wesoło. Chciałem was za to przeprosić.

- Dziękuję, sir. Zapewniam jednak, że wcale nie było mi przykro.

Jego lordowska mość podszedł zmęczonym krokiem do jednego ze skórzanych foteli, zasiadł w nim i westchnął. Z mojego punktu obserwacyjnego na drabinie widziałem teraz całą jego długą postać w świetle zimowego słońca, wpadającego przez przeszklone drzwi tarasu i zalewającego znaczną część sali.

Była to, jak teraz wspominam, jedna z owych chwil, gdy dawały o sobie znać wszelkie trudy, jakie w stosunkowo krótkim czasie zaciążyły na zdrowiu jego lordowskiej mości. Jego postać, i tak zawsze szczupła, stała się teraz niepokojąco wychudzona i jakby zdeformowana; jego włosy przedwcześnie posiwiały, a na zmizerniałej twarzy gościł stale wyraz zaniepokojenia. Przez chwilę siedział, przyglądając się przez szyby odległym wzgórzom, po czym powiedział znowu:

- To było naprawdę okropne. Ale wiecie, Stevens, pan Spencer chciał coś wytłumaczyć sir Leonardowi. Zresztą jeśli jest to dla was jakąś pociechą, byliście bardzo pomocni w udowodnieniu pewnego ważnego twierdzenia. Bo sir Leonard mówił wiele tych staroświeckich bzdur o tym, że najmądrzejszym arbitrem jest lud i tak dalej. Dalibyście wiarę, Stevens?

- Ach tak, sir?

- W naszym kraju tak strasznie długo trwa, zanim przekonamy się, że coś już wyszło z mody. Inne wielkie narody wiedzą doskonale, że dla sprostania wyzwaniom każdej nowej epoki trzeba odrzucić stare metody, często i takie, które darzy się sporym sentymentem. Tylko nie u nas, w Anglii. Ciągle jeszcze jest tu wiele osób, które mówią to, co wczoraj wieczór sir Leonard. I dlatego właśnie pan Spencer chciał mu wykazać, jak

jest naprawdę. A powiadam wam, Stevens, jeżeli tacy jak sir Leonard ockną się i pomyślą nad tym choć przez chwilę, możecie mi wierzyć, że wasze wczorajsze poświęcenie nie poszło na marne.

- Tak jest, sir.

Lord Darlington znów westchnął.

- Bo my zawsze musimy być ostatni; ostatni trzymamy się kurczowo staromodnego systemu. Ale prędzej czy później będziemy musieli zdać sobie z tego sprawę. Demokracja to przeżytek. Dzisiejszy świat jest teraz zbyt skomplikowany, żeby bawić się w powszechne prawo wyborcze i temu podobne rzeczy; na to, by o wszystkich sprawach w nieskończoność głądziły tłumy posłów. To może było dobre parę lat temu, ale w dzisiejszym świecie... Co to powiedział wczoraj pan Spencer? Bardzo dobrze to sformułował.

- Zdaje się, sir, że porównał dzisiejszy system parlamentarny do koła gospodyń wiejskich prowadzącego kampanię wojenną.

- O, właśnie, Stevens, dokładnie tak. Jeśli mam być całkiem szczery, Stevens, powiem wam, że my, w tym kraju, jesteśmy po prostu zacofani. Trzeba, żeby wszyscy ludzie postępu przekonali o tym takich jak sir Leonard.

- Tak jest, sir.

- A tymczasem patrzcie, co się dzieje, Stevens. Ten kryzys trwa i trwa. Widziałem to na własne oczy, gdy pojechałem na północ z panem Whittakerem. Lud cierpi. Cierpią zwykli, porządni ludzie pracy. A Niemcy i Włosi ruszyli z miejsca, bo u nich coś się dzieje. I pewnie na swój sposób podobnie jest nawet u tych wariatów bolszewików. Nawet prezydent Roosevelt, wystarczy spojrzeć, o, on nie boi się podejmować śmiałych działań dla dobra swego ludu. A teraz porównajcie to z tym, co mamy tutaj, Stevens. Mija rok za rokiem, a nic nie idzie ku lepszemu. My potrafimy tylko sprzeczać się i w nieskończoność przeciągać dyskusje. Każdy dobry pomysł jest zmieniany tak, że traci wszelką skuteczność po przejściu przez zaledwie połowę z tych komisji, przez które musi przejść. Ci nieliczni, którzy znają się na rzeczy, mają związane ręce przez otaczający ich tłum ignorantów. No i co wy na to, Stevens?

- Sądzę, sir, że nasz kraj rzeczywiście znajduje się w opłakanym stanie.

- Ano właśnie. A popatrz tylko na Niemcy i Włochy, Stevens. Widzicie, ile może działać silna władza, jeśli tylko da się jej szansę? Tam nie ma tych bzdur z powszechnym prawem wyborczym. Jeżeli pali się dom, nie zbiera się wszystkich domowników w salonie i nie omawia się przez godzinę różnych sposobów ratunku, prawda? Może tak było dawniej, ale dzisiaj świat jest bardziej skomplikowany. Człowiek z ulicy nie może przecież znać się na polityce, gospodarce, światowym handlu i czym tam jeszcze. Bo i skąd? Zresztą wy wczoraj odpowiedzieliście bardzo dobrze, Stevens. Jak wyście to ujęli? Że to nie wasza sprawa? No właśnie, nikt od was przecież nie żąda, żebyście i tym się zajmowali!

Zdaję sobie sprawę, wspominając te słowa, że niektóre z idei lorda Darlingтона są oczywiście dziś mało popularne; niektórzy mogliby nawet uznać je za dziwaczne. Nie można jednak zaprzeczyć, że w tym, co powiedział mi tego ranka w pokoju bilardowym, tkwi przecież ziarno prawdy. Rzecz jasna, jest absurdem wymagać od jakiegokolwiek kamerdynera, by autorytatywnie odpowiadał na pytania tego rodzaju, jakie wtedy zadał mi pan Spencer, a twierdzenie ludzi pokroju pana Harry'ego Smitha, że na tej właśnie umiejętności polega „godność”, są oczywistym nonsensem. Musimy powiedzieć sobie jasno: zadaniem kamerdynera jest dobrze służyć, a nie mieszać się do wielkich spraw kraju. Zresztą sprawy te będą zawsze dla nas niezrozumiałe. Ci, którzy chcą czymś się wyróżnić, muszą pojąć, że najlepszą na to metodą jest koncentrowanie się na tym, co naprawdę jest ich dziedziną. W moim przypadku tym czymś jest jak najlepsze służenie tym wielkim panom, w których rękach znajdują się losy cywilizacji. Mogłoby to wydawać się oczywiste: niestety, znam bardzo wielu kamerdynerów, którzy, przynajmniej przez jakiś czas, sądzili inaczej. Zresztą słowa pana Harry'ego Smitha przypomniały mi owe błędne idee, które w latach dwudziestych i trzydziestych opętały znaczną część mojego pokolenia. Chodzi mi mianowicie o tych ludzi mojego zawodu, którzy utrzymywali, że każdy kamerdynier o poważnych aspiracjach powinien postawić sobie zadanie nieustannej oceny swego chlebodawcy - badania pobudek jego działania, analizy jego poglądów. Tylko dzięki temu, twierdzili, kamerdynier mógł być pewny, że jego umiejętności wykorzystywane są we właściwym celu. Choć trudno nie podzielać do pewnego stopnia zawartego w tych argumentach idealizmu, równie trudno wątpić, że podobnie jak poglądy pana Smitha są one wynikiem błędnego rozumowania. Wystarczy

tylko spojrzeć na tych kamerdynerów, którzy usiłowali realizować ten pogląd w praktyce, by zauważyć, że ich kariery - a były to w wielu przypadkach kariery świetnie się zapowiadające - z tego właśnie powodu zostały zaprzepaszczone. Znałem osobiście dwóch takich kamerdynerów, obu o niemałych umiejętnościach, którzy przechodzili od jednego chlebodawcy do drugiego, wiecznie nie zaspokojeni, nie potrafiący nigdzie się zadomowić, aż wreszcie zaginął po nich wszelki ślad. I nic w tym dziwnego. W praktyce nie da się bowiem przyjmować względem chlebodawcy krytycznej postawy i równocześnie dobrze mu służyć. Nie chodzi tu już wyłącznie o to, że zajmując się takimi sprawami, nie można sprostać licznym wymogom służby na wysokim poziomie; mówiąc bardziej zasadniczo, kamerdyner, który wiecznie usiłuje mieć „wytrobiony pogląd” na sprawy swego chlebodawcy, będzie zapewne pozbawiony absolutnie potrzebnej cechy, a mianowicie lojalności. Proszę nie zrozumieć mnie źle: nie chodzi mi tu o ten bezmyślny rodzaj „lojalności”, nad której brakiem zwykli ubolewać mierni chlebodawcy, gdy nie są w stanie zatrzymać u siebie pracowników wielkiego kalibru. Byłbym zresztą ostatnią osobą, która zalecałaby pochopne obdarowywanie lojalnością każdą panią czy pana, u których akurat się pracuje. Mimo to, jeśli kamerdyner ma mieć jakąkolwiek wartość, musi nadejść czas na zakończenie tych poszukiwań, czas, kiedy powie sobie: „Ten chlebodawca uosabia to wszystko, co uważałem za szlachetne i godne podziwu. Odtąd poświęcę się służbie dla niego”. Oto rozsądne umiejscowienie lojalności. Cóż w tym „niegodnego”? Jest to tylko akceptacja niezbitnej prawdy: że tacy jak my nigdy nie będą w stanie pojąć wielkich spraw współczesnego świata i że najlepiej będzie nam zawsze zawierzyć chlebodawcy, którego uznamy za mądrego i godnego szacunku, i jemu służyć z całych sił. Przypatrzmy się ludziom pokroju pana Marshalla i pana Lane'a, bez wątpienia najwybitniejszych przedstawicieli mojego zawodu. Czy możemy choć wyobrazić sobie pana Marshalla dyskutującego z lordem Camberley na temat jakiejś noty tego ostatniego do ministerstwa spraw zagranicznych? Czy przez to, że pan Lane nie ma zwyczaju polemizować z sir Leonardem Grayem przed każdym wystąpieniem swego chlebodawcy w Izbie Gmin, mniej go poważamy jako doskonałego kamerdynera? Oczywiście, że nie. I cóż w tym „niegodnego”, cóż w ogóle nagannego w takiej postawie? Czy można tu czuć się winnym w jakikolwiek sposób, jeżeli, na przykład, historia wykazała, że wszelkie wysiłki lorda Darlingtona szły w niewłaściwym, a nawet i nierozsądnym kierunku? Przez wszystkie lata mojej u niego służby to on i tylko on rozważał fakty i kierował się li tylko

swym własnym osądem, podczas gdy ja ograniczałem się - i bardzo słusznie - do spraw należących do mojej dziedziny. Jeżeli chodzi o mnie, obowiązki swe wypełniałem najlepiej, jak umiałem, i to na poziomie, który można bez wątpienia nazwać „pierwszorzędnym”. Nie jest więc bynajmniej moją winą, że całe życie i praca jego lordowskiej mości nie przyniosły nic dobrego - i byłoby zupełnie nielogiczne, gdybym miał z tego powodu odczuwać jakikolwiek wstyd czy wyrzuty sumienia.

Dzień czwarty, po południu

Little Compton, w Kornwalii

Dotarłem wreszcie do Little Compton i siedzę właśnie w jadalni hotelu „Różany Ogródek” po dopiero co zakończonym obiedzie. Na zewnątrz ciągle pada.

Hotel „Różany Ogródek”, choć trudno go nazwać luksusowym, jest niewątpliwie przytulny i wygodny, tak że nie żałuję większego wydatku związanego z zatrzymaniem się w nim. Ten czarujący, porośnięty bluszczem dworek, mogący pomieścić, dajmy na to, około trzydziestu gości, jest wygodnie zlokalizowany w jednym z rogów rynku tej wioski. Za to jadalnia, w której teraz przebywam, jest współczesnym dodatkiem do głównego budynku - długą, płaską salą, której charakterystyczną cechą są rzędy wielkich okien po obu stronach. Z jednej strony widać rynek, z drugiej urządzone na dziedzińcu ogródek, od którego zapewne pochodzi nazwa całego obiektu. W ogródku, chyba dość dobrze osłoniętym od wiatru, ustawiono stoły i przy ładnej pogodzie musi to być bardzo przyjemne miejsce do spożywania posiłków czy napojów. Nawet jeszcze przed chwilą kilku gości zasiadło tam do obiadu, wkrótce potem przerwano go pojawieniem się groźnych chmur burzowych. Kiedy około godziny temu zostałem tu wprowadzony, personel w pośpiechu sprzątał stoły w ogrodzie - podczas gdy osoby niedawno je zajmujące, w tym pewien dżentelmen z serwetą wciąż jeszcze zatknięą za kołnierz, stały w pobliżu, dość zdezorientowane. Wkrótce potem lunął deszcz - tak gwałtownie, że wszyscy goście przestali na chwilę jeść i tylko spoglądali przez okna.

Mój stolik znajduje się właśnie od strony rynku, więc większą część ostatniej godziny spędziłem przyglądając się, jak deszcz pada na rynek, na forda i parę innych zaparkowanych tam pojazdów. Ulewa trochę osłabła, lecz mimo to nikt nie kwapi się, by wyjść na zewnątrz i spacerować po rynku. Oczywiście, myślałem o wyruszeniu już teraz na spotkanie panny Kenton, lecz ponieważ poinformowałem ją w moim liście, że złożę jej wizytę o trzeciej, nie uważam za stosowne niespodziewanie pojawić się wcześniej. Jeżeli deszcz wkrótce nie ustanie, pozostanę tu chyba popijając herbatę do czasu, kiedy powinienem wyruszyć. Od podającej mi młodej osoby dowiedziałem się, że dom, który panna Kenton wskazała mi jako swoje obecne miejsce zamieszkania, leży w odległości około piętnastu minut marszu, z czego wynika, że mam przed sobą przynajmniej czterdzieści minut oczekiwania.

Muszę dodać, że nie straciłem jeszcze do tego stopnia poczucia rzeczywistości, by nie być przygotowanym na rozczarowanie. Nie otrzymałem wprawdzie od panny Kenton żadnego potwierdzenia, że ma ona ochotę na takie spotkanie, ale znając ją dobrze, jestem skłonny mniemać, że brak jakiegokolwiek listu można uznać za zgodę; gdyby spotkanie to miało być dla niej z jakiegoś względu niewygodne, jestem pewien, że nie wahałaby się poinformować mnie o tym. Ponadto napisałem jej, że poczyniłem rezerwację w tym właśnie hotelu, więc gdyby wydarzyło się coś w ostatniej chwili, mogłaby zostawić tu dla mnie wiadomość. Że zaś nie zastałem żadnej wiadomości, można mniemać, że wszystko jest w porządku.

Padający właśnie ulewny deszcz jest swego rodzaju niespodzianką, gdyż dzień zaczął się od poranka równie słonecznego jak wszystkie od czasu mojego wyjazdu z Darlington Hall. Zresztą dzień zaczął się dobrze i z innych względów, a mianowicie od śniadania złożonego z grzanek i świeżych, wiejskich jajek podanych mi przez panią Taylor. Gdy punktualnie o siódmej trzydzieści, zgodnie z umową, pojawił się doktor Carlisle, mogłem opuścić państwa Taylor - nadal odmawiających przyjęcia jakiegokolwiek zapłaty - unikając dzięki temu kolejnych kłopotliwych rozmów.

- Znalazłem dla pana kanister benzyny - oznajmił doktor, wpuszczając mnie na siedzenie dla pasażera w swoim roverze. Podziękowałem mu za pamięć, lecz gdy zapytałem o należność, i on nie chciał o niczym słyszeć.

- Nie ma mowy. Przecież to jakieś resztki, które znalazłem u siebie w garażu. Ale wystarczy to panu do Crosby Gate, a tam będzie pan mógł zatankować do pełna, jak należy.

W świetle poranka okazało się, że centrum wsi składa się z kilku małych sklepików zgromadzonych wokół kościoła, którego wieżę widziałem ze wzgórza wczoraj wieczór. Nie miałem jednak okazji bliżej przypatrzeć się wiosce, gdyż doktor szybko skręcił w drogę prowadzącą na jedno z podwórz.

- To taki skrót - wyjaśnił, prowadząc samochód między stodołami i stojącymi maszynami rolniczymi.

Zdawało się, że nie ma tu żywego ducha; w jednym miejscu, gdy natknęliśmy się na zamkniętą bramę, doktor powiedział:

- Bardzo przepraszam, ale czy nie zechciałby pan czynić honorów domu?

Wysiadłem, podszedłem do bramy, a że w tej samej chwili w jednej ze stodół rozległo się wściekłe, chóralne ujadanie, z pewnym uczuciem ulgi powróciłem do rovera na miejsce po lewej ręce doktora Carlisle.

Jadąc w górę stromą drogą, wymieniliśmy kilka żartów[^] doktor wypytywał mnie, jak też spało mi się u Taylorów i tak dalej. W pewnej chwili zapytał dość nagle:

- No, tylko proszę mnie nie uznać za źle wychowanego, ale czy nie jest pan przypadkiem jakimś służącym, co?

Muszę przyznać, że w tym momencie poczułem przede wszystkim ogromną ulgę.

- Tak, to prawda, sir. Jeśli chodzi o ścisłość, jestem kamerdynerem Darlington Hall. To niedaleko Oksfordu.

- Tak też myślałem. Całe to opowiadanie, że zna pan Win- stona Churchilla i tak dalej... Pomyślałem sobie, no, albo facet kłamie jak z nut, albo - i wtedy przyszło mi do głowy, że jest jedno proste wyjaśnienie.

Doktor zwrócił się ku mnie z uśmiechem na twarzy, nadal prowadząc samochód po stromej, krętej drodze. Odparłem:

- Naprawdę nie miałem zamiaru nikogo okłamywać, sir, tylko...

- O, nie musi pan nic wyjaśniać, przyjacielu, doskonale rozumiem, jak to się stało. Bo trzeba przyznać, że robi pan wrażenie. Ludzie tacy jak ci tam biorą pana na pewno

przynajmniej za lorda albo za księcia. - Roześmiał się głośno. - To musi być całkiem przyjemne.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Wreszcie doktor rzekł:

- Mam nadzieję, że podobało się tu panu w trakcie tego krótkiego pobytu.

- O, i to bardzo, dziękuję panu, sir.

- A co pan sądzi o obywatelach Moscombe? Całkiem miła banda, prawda?

- O, są bardzo mili, sir. A państwo Taylor byli niezwykle uczynni.

- Czy mógłby pan nie tytułować mnie tak ciągle, panie Stevens? Tak, to naprawdę całkiem miła banda. Jeśli chodzi o mnie, bardzo chętnie spędziłbym tu resztę życia.

Wydało mi się, że było coś dziwnego w sposobie, w jaki doktor powiedział te słowa. Jakaś nowa nuta brzmiała też w jego głosie, gdy znów zapytał:

- Czyli uważa pan, że to miła banda, co?

- O, tak, panie doktorze, bardzo sympatyczna.

- To o czym opowiadali panu wczoraj wieczorem? Mam nadzieję, że nie zanudzili pana na śmierć wszystkimi wiejskimi ploteczkami.

- Bynajmniej, panie doktorze. Jeśli o to chodzi, rozmowa była bardzo poważna, a wyrażano w jej trakcie wiele ciekawych poglądów.

- A, chodzi panu o Harry'ego Smitha - zaśmiał się doktor. - Nie należy się nim przejmować. Kiedy słucha się go przez chwilę, to nawet może być zabawne, ale tak naprawdę, to jemu wszystko się poplątało. Czasem myśli człowiek, że to jakiś komunista, a za chwilę potrafi wystrzelić z czymś takim, że wyłazi z niego najzagorzalszy torys. A tak naprawdę, to jemu wszystko się poplątało.

- Ach, tak? To bardzo interesujące.

- A o czym wykladał panu wczoraj? O Imperium? Czy o upaństwowieniu służby zdrowia?

- Pan Smith ograniczył się tym razem do bardziej ogólnych tematów.

- O, na przykład? Odkaslnąłem.

- Pan Smith miał kilka przemyśleń na temat natury godności.

- No, no, to brzmi dość filozoficznie jak na starego Harry'ego Smitha. Skąd u licha mu się to wzięło?

- Zdaje się, że pan Smith podkreślał znaczenie dla całej wsi jego pracy w kampanii wyborczej.

- Ach, tak?

- Przekonywał mnie usilnie, że mieszkańcy Moscombe mają wyrobione poglądy we wszystkich wielkich sprawach.

- O, tak. To cały Harry Smith. Jak się pan zapewne domyśla, wszystko to nonsens. Harry zawsze usiłuje każdego agitować. A tymczasem prawda jest taka, że oni chcą mieć przede wszystkim święty spokój.

Znowu milczeliśmy przez chwilę. W końcu odezwałem się:

- Przepraszam, że pytam, ale czy mam rozumieć, że pan Smith uważany jest tutaj za postać komiczną?

- Hm, to może za dużo powiedziane. Ludzie tutejsi rzeczywiście mają pewną świadomość polityczną. Czują, że powinni mieć wyrobione poglądy na to czy owo, tak jak ich do tego nakłania Harry, ale tak naprawdę nie różnią się od prostych ludzi z innych stron. Oni chcą mieć tylko święty spokój. Harry mówi wiele o zmianach w tym czy tamtym, ale nikt we wsi nie chce tak naprawdę żadnych zmian, nawet gdyby miały przynieść im jakieś korzyści. Tutejsi ludzie chcą żyć i pracować spokojnie, po swojemu. Nie chcą wcale, żeby ich ktoś męczył tą czy inną sprawą.

Zdziwiła mnie nutka pogardy wyczuwalna w jego głosie. Szybko jednak opanował się, zaśmiał i zauważył:

- Ma pan teraz na lewo ładny widok na wioskę.

I rzeczywiście, poniżej rozpościerała się w całej okazałości wioska. Rzecz jasna, poranne słońce nadawało jej zupełnie inny wygląd, ale poza tym widok podobny był do tego, który ujrzałem po raz pierwszy w zapadającym mroku. Mogłem wnosić z tego, że znajdujemy się już niedaleko miejsca, w którym pozostawiłem forda.

- Pan Smith sądził chyba - powiedziałem - że godność danej osoby właśnie od tego zależy. Od tego, czy się ma wyrobione opinie i tak dalej.

- Ach, tak, godność. Zapomniałem. Tak, a więc Harry zabrał się teraz do filozofii. Coś takiego. I pewnie bredził jak zwykle.

- Jego przemyślenia nie były czymś, z czym można by się zgodzić bez wahania, sir. Doktor potaknął, ale nadal był zatopiony w myślach.

- Wie pan co, panie Stevens - powiedział po chwili - gdy przyjechałem w te strony, byłem zagorzałym socjalistą. Wierzyłem w służbę ludowi i tak dalej. Jestem tu od czterdziestego dziewiątego. Socjalizm miał pozwolić ludowi żyć z godnością. Przepraszam, nie warto nawet słuchać tych bzdur. - Odwrócił się do mnie z uśmiechem. - No, a pan?

- Co takiego, sir?

- Na czym według pana polega godność?

Bezpośredniość tego pytania, przyznam, nieco mnie zaskoczyła.

- Bardzo trudno streścić to w kilku słowach, sir - zacząłem - lecz wydaje mi się, że polega ona na tym, by nie obnażać się publicznie.

- Przepraszam, co na tym polega?

- Godność, sir.

- Aha - doktor skinął głową, lecz zdawał się nieco zdziwiony. Potem powiedział: - No, to tę część drogi pan już zna. Tylko pewnie wygląda inaczej w świetle dziennym. A, to ten? Boże, to dopiero piękny wóz!

Doktor Carlisle zatrzymał się tuż za fordem, wysiadł i powtórzył:

- Boże, co za piękny wóz.

Po chwili, wyciągnąwszy lejek i kanister benzyny, bardzo uprzejmie pomógł mi napełnić bak. Wszelkie obawy, jakie miałem, że w samochodzie mojego chlebodawcy mogła wystąpić jakaś poważniejsza awaria, znikły natychmiast, gdy tylko przekręciłem kluczyk w stacyjce i usłyszałem zdrowy warkot silnika. Podziękowałem panu doktorowi i pożegnaliśmy się, choć przez następne dwa kilometry musiałem jechać tuż za jego roverem krętą szosą, zanim drogi nasze wreszcie się rozłączyły.

W granice Kornwalii wjechałem około dziewiątej. Było to przynajmniej na trzy godziny przed ulewą i wszystkie chmury były jeszcze olśniewająco białe. Zresztą widoki, które powitały mnie tego ranka, należały do najpiękniejszych, jakie do tej pory oglądałem

w mej podróży. Wielka szkoda, że nie mogłem poświęcić im tyle czasu, ile należało, wyznam bowiem, że znajdowałem się w stanie pewnego napięcia, myśląc o tym, że - jeżeli nie zajdzie nic nieprzewidzianego - mam znów, po tylu latach, zobaczyć się z panną Kenton. Dlatego też zapewne, pędząc szosą pomiędzy szerokimi, otwartymi polami, gdzie całymi kilometrami nie spotykałem ani ludzi, ani samochodów, czy też przejeżdżając ostrożnie przez małe, malownicze wioski - niektóre z nich liczące zaledwie kilka kamiennych chat - znów wracałem pamięcią w dawne dzieje. Podobnie i teraz, gdy tak siedzę sobie w jadalni tego miłego hoteliku w Little Compton, patrząc na deszcz rozpryskujący się na wiejskim bruku, i mam jeszcze chwilę czasu, moje myśli znów podążają w przeszłość.

Przez całe przedpołudnie szczególnie prześladowało mnie jedno ulotne wspomnienie - wspomnienie pewnej chwili, której nie zapomnę nigdy. Widzę oczyma duszy, że stoję samotnie w tylnym korytarzu przed zamkniętymi drzwiami saloniku panny Kenton. Stoję nie bezpośrednio naprzeciw tych drzwi, lecz lekko zwrócony w ich stronę, przygwożdżony niepewnością, czy mam zastukać czy nie, przeświadczony, że tam, za tymi drzwiami, zaledwie parę kroków ode mnie, panna Kenton płacze. Jak już mówiłem, chwila ta na zawsze pozostała mi w pamięci, podobnie jak wspomnienie tego szczególnego uczucia narastającego we mnie wówczas, gdy tak stałem pod jej drzwiami. Jednak nie jestem teraz pewien, w jakich naprawdę odbywało się to okolicznościach. Już raz przypisałem to zdarzenie do innego dnia - tego, w którym panna Kenton otrzymała wiadomość o śmierci swojej ciotki; a więc do sytuacji, gdy pozostawiwszy ją sam na sam z jej smutkiem, zdałem sobie sprawę na korytarzu, że nie złożyłem jej kondolencji. Teraz jednak, po pewnym namyśle, doszedłem do wniosku, że mogłem się mylić - że owo wspomnienie dotyczy wydarzeń, które zaszły pewnego wieczoru w parę miesięcy po śmierci ciotki panny Kenton - tego samego zresztą, kiedy w Darlington Hall pojawił się dość niespodziewanie młody pan Cardinal.

Ojciec jego, sir David Cardinal, był przez wiele lat najbliższym przyjacielem i współpracownikiem jego lordowskiej mości, lecz na trzy czy cztery lata przed wspomnianym przeze mnie wydarzeniem zginął w tragicznym wypadku podczas jazdy konnej. Tymczasem młody pan Cardinal został dość sławnym dziennikarzem, specjalizującym się w ciętych komentarzach na tematy międzynarodowe. Komentarze te niewątpliwie były

bardzo rzadko w guście lorda Darlingtona, gdyż przypominam sobie, że wielokrotnie podnosił wzrok znad gazety i mówił na przykład: „Ten mały Reggie znowu napisał takie bzdury. Może to i dobrze, że jego biedny ojciec już tego nie przeczyta”. Mimo to młody pan Cardinal był nadal częstym gościem w naszym domu; jego lordowska mość nigdy nie zapomniał, że jest ojcem chrzestnym tego młodego człowieka, i zawsze traktował go jak członka rodziny. Równocześnie pan Cardinal nie miał nigdy w zwyczaju zjawiać się na kolacji bez uprzedzenia, więc byłem nieco zdziwiony, gdy otworzywszy drzwi owego wieczoru, ujrzałem go na progu, ściskającego oburącz teczkę.

- O, cześć Stevens, jak się masz? - powiedział. - Wpadłem dziś w małe tarapaty i pomyślałem sobie, że może uda mi się przenocować u lorda Darlingtona.

- Bardzo się cieszę, że znów pana widzę, sir. Zaanonsuję pana jego lordowskiej mości.

- Miałem zatrzymać się u pana Rolanda, ale zaszło chyba jakieś nieporozumienie, bo nie zastałem tam nikogo. Mam nadzieję, że nie przyszedłem nie w porę. To znaczy, nie dzieje się tu dziś nic szczególnego, co?

- Zdaje się, sir, że jego lordowska mość oczekuje po kolacji na przybycie trzech panów.

- O, a to pech. Chyba wybrałem zły wieczór. Lepiej nie będę się pokazywał. I tak muszę dziś popracować nad paroma artykułami. - Tu pan Cardinal wskazał na swoją teczkę.

- Zaanonsuję pana jego lordowskiej mości, sir. W każdym razie zdąży pan zjeść z nim kolację.

- O, fajnie, właśnie na to liczyłem. Obawiam się tylko, że pani Mortimer nie będzie z tego zbyt zadowolona.

Zostawiłem pana Cardinala w salonie i udałem się do gabinetu, gdzie zastałem jego lordowska mość studiującego z wielką uwagą jakieś dokumenty. Gdy oznajmiłem mu o przybyciu pana Cardinala, przez jego twarz przemknął wyraz zdziwienia i irytacji. Potem odchylił się w fotelu, jakby zastanawiał się nad czymś.

- Powiedźcie panu Cardinalowi, że zaraz zejść - rzekł wreszcie. - Niech zajmie się czymś przez chwilę.

Gdy wróciłem na dół, pan Cardinal przechadzał się dość nerwowo po salonie, przyglądając się przedmiotom, które znał już przecież od dawna. Przekazałem słowa jego lordowskiej mości i zapytałem, jakimi napojami mogę mu służyć?

- Teraz poproszę tylko o herbatę. Stevens, a kogo to przyjmuje dzisiaj jego lordowska mość?

- Bardzo mi przykro, sir, ale obawiam się, że nie mogę być pomocny w tej sprawie.

- Nie masz pojęcia?

- Bardzo mi przykro, sir.

- Hm, to dziwne. No, cóż. Lepiej, żebym się dziś nie pokazywał.

Pamiętam, że wkrótce potem zaszedłem do saloniku panny Kenton. Zastąpiłem ją siedzącą przy stole; sprawiała wrażenie, że siedziała przy nim beczynnym już jakiś czas przed moim przyjściem.

- Przyjechał pan Cardinal, panno Kenton - powiedziałem, - Zatrzyma się w tym pokoju, gdzie zwykle.

- Doskonale, panie Stevens. Przypilnuję tego, zanim wyjdę.

- Aha. Pani dziś wychodzi, panno Kenton?

- Tak, właśnie, panie Stevens.

Być może zdawałem się lekko zdziwiony, gdyż dodała:

- Pamięta pan, że ustaliliśmy to dwa tygodnie temu.

- Tak, oczywiście, panno Kenton. Proszę mi wybaczyć, na chwilę umknęło to mojej pamięci.

- Czy coś się stało, panie Stevens?

- Nie, bynajmniej, panno Kenton. Wieczorem mają zjawić się jacyś goście, lecz nie widzę powodu, dla którego pani obecność tutaj miałaby być nieodzowna.

- Ustaliliśmy przecież już dwa tygodnie temu, że ten wieczór będę miała wolny, panie Stevens.

- Oczywiście, panno Kenton. Bardzo panią przepraszam.

Odwróciłem się do wyjścia, lecz przy drzwiach zatrzymał mnie jeszcze jej głos.

- Panie Stevens, muszę panu coś powiedzieć.

- Słucham, panno Kenton.

- Chodzi o tego znajomego. Tego, z którym mam się dziś spotkać.

- Tak, panno Kenton?

- Poprosił mnie, bym została jego żoną. Pomyślałam sobie, że powinien pan o tym wiedzieć.

- Tak, panno Kenton. To bardzo ciekawe.

- Jeszcze się nad tym zastanawiam.

- Ach tak!

Popatrzyła przez chwilę na swe dłonie, lecz niemal natychmiast przeniosła wzrok na mnie.

- Mój znajomy ma od przyszłego miesiąca podjąć pracę w West Country.

- Ach, tak.

- Jak już powiedziałam, jeszcze się nad tym zastanawiam. Uznałam jednak, że powinien pan zostać poinformowany o zaistniałej sytuacji.

- Jestem pani bardzo wdzięczny, panno Kenton. Mam nadzieję, że spędzi pani przyjemny wieczór. A teraz proszę mi wybaczyć.

W dwadzieścia minut później znów natknąłem się na pannę Kenton. Tym razem byłem już pochłonięty przygotowaniami do kolacji. Niosąc ciężką tacę, doszedłem właśnie do połowy schodów służbowych, gdy usłyszałem odgłosy gniewnych kroków po deskach podłogi gdzieś poniżej mnie. Odwróciłem się i zobaczyłem pannę Kenton, spoglądającą na mnie ze złością z podestu pod schodami.

- Czy mam rozumieć, panie Stevens, że chciałby pan, bym dziś wieczór pozostała na służbie?

- Bynajmniej, panno Kenton. Jak sama pani stwierdziła, zostałem o tym powiadomiony już pewien czas temu.

- Ale widzę, że jest pan bardzo niezadowolony, że wychodzę dziś wieczorem.

- Wręcz przeciwnie, panno Kenton.

- Czy zdaje się panu, że czyniąc taki rejdach w kuchni i tupiąc ciągle tam i z powrotem koło mojego pokoju, sprawi pan, że zmienię zdanie?

- Panno Kenton, owo drobne zamieszanie w kuchni jest spowodowane niespodziewanym przybyciem na kolację pana Cardinala. Nie ma absolutnie żadnego powodu, aby pani nie miała wyjść dziś wieczór.

- Zamierzam iść i bez pańskiego błogosławieństwa, panie Stevens, i niech to będzie jasne. Zapowiedziałam to już parę tygodni temu.

- Zgadza się, panno Kenton. A więc jeszcze raz życzę pani bardzo przyjemnego wieczoru.

Podczas kolacji między oboma panami panował dziwny nastrój. Długo jedli w milczeniu, jego lordowska mość zaś zdawał się zupełnie nieobecny myślami. W pewnej chwili pan Cardinal zapytał:

- Czy jest dziś coś szczególnego, sir?

- Słucham?

- Chodzi mi o dzisiejszych gości. Czy to ktoś ważny?

- Niestety, nie mogę ci tego powiedzieć, mój chłopcze. Sprawa jest ściśle poufna.

- Ojej. Czyli pewnie nie będę mógł uczestniczyć.

- W czym uczestniczyć, mój chłopcze?

- No, w tym, cokolwiek to będzie, co będzie tu miało miejsce.

- I tak by cię to nie interesowało. Zresztą jest to ściśle tajne; wykluczone, żeby ktoś taki jak ty mógł brać w tym udział. Nie ma o tym mowy.

- Ojej, to chyba rzeczywiście coś ważnego.

Pan Cardinal uważnie przypatrywał się jego lordowskiej mości, ale ten znów zajął się posiłkiem i nie powiedział już ani słowa.

Obaj panowie przeszli do palarni na porto i cygara. Sprzątając jadalnię i przygotowując salon na przyjęcie wieczornych gości, byłem zmuszony wielokrotnie przechodzić obok drzwi palarni. Nie mogłem więc nie słyszeć, że w przeciwieństwie do spokojnego nastroju przy kolacji, obaj panowie rozpoczęli dość ostrą wymianę zdań, a już w kwadrans później dochodziły stamtąd ich gniewne, podniesione głosy. Rzecz jasna, nie zatrzymywałem się, żeby nasłuchiwać, lecz mimo to słyszałem wyraźnie, że jego lordowska mość krzyczy: „To nie twój interes, chłopcze! To nie twój interes!”

Byłem w jadalni, gdy obaj panowie wreszcie opuścili palarnię. Wydawali się już całkiem uspokojeni. Gdy przechodzili przez hali, jego lordowska mość powiedział tylko: „Pamiętaj chłopcze, zaufałem ci”, na co pan Cardinal odmruknął z irytacją: „Tak, tak, przecież dałem słowo”. Potem odgłosy ich kroków rozdzieliły się. Jego lordowska mość udał się do gabinetu, pan Cardinal zaś do biblioteki.

Niemal dokładnie o dwudziestej trzydzieści z podjazdu dobiegł warkot kilku samochodów. Otwarłem drzwi jednemu z kierowców, a za jego plecami dostrzegłem kilku policjantów, zajmujących stanowiska na terenie posiadłości. Po chwili wprowadzałem już do domu dwie bardzo dostojne osobistości. Jego lordowska mość wyszedł im na spotkanie do sieni, a następnie szybko poprowadził do salonu. Dziesięć minut później rozległ się odgłos jeszcze jednego samochodu, a ja otworzyłem drzwi przed ambasadorem Niemiec, Herr Ribbentropem, częstym wówczas gościem w Darlington Hall. Jego lordowska mość i jemu wyszedł na spotkanie i zdaje się, że zanim zniknęli w salonie, obaj wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Gdy kilka minut później zostałem wezwany, by podać napoje, czterej panowie dyskutowali nad zaletami poszczególnych gatunków kiełbas, a panująca tam atmosfera była, choćby tylko pozornie, co najmniej przyjazna.

Następnie zająłem stanowisko w sieni, obok wejścia - tam zawsze stoję, czekając na polecenia, gdy odbywają się ważne spotkania. Opuściłem je dopiero po usłyszeniu dzwonka przy tylnych drzwiach. Udawszy się tam, ujrzałem pannę Kenton oraz policjanta, który poprosił mnie o potwierdzenie jej tożsamości.

- To tylko względy bezpieczeństwa, panienko, proszę się nie gniewać - mruknął funkcjonariusz i znów rozpląnął się w mroku nocy.

Gdy zamykałem drzwi na zasuwę, zauważyłem, że panna Kenton czeka na mnie, więc powiedziałem:

- Mam nadzieję, że spędziła pani miły wieczór, panno Kenton.

Nie odpowiedziała, toteż gdy szliśmy razem przez ciemną przestrzeń kuchni, powtórzyłem:

- Mam nadzieję, że spędziła pani miły wieczór, panno Kenton.

- Tak, dziękuję, panie Stevens.

- To świetnie.

Usłyszałem za sobą, że kroki panny Kenton nagle umilkły, po czym powiedziała:

- Czy nie jest pan ani trochę ciekaw, co dzisiaj zaszło między mym znajomym i mną?

- Nie chciałbym być niegrzeczny, panno Kenton, lecz muszę bez dalszej zwłoki powrócić na górę. W tym domu dzieją się teraz sprawy o wielkim znaczeniu dla losów całego świata.

- A czy kiedykolwiek jest inaczej, panie Stevens? Dobrze, jeżeli musi pan już pędzić, powiem tylko, że przyjąłem propozycję mojego znajomego.

- Słucham, panno Kenton?

- Propozycję małżeństwa.

- Ach tak, panno Kenton? Czy w związku z tym mogę wyrazić pani moje najszczęśliwsze życzenia?

- Dziękuję, panie Stevens. Oczywiście, bardzo chętnie dosłużę do końca terminu wypowiedzenia. Jednak bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby mógł pan zwolnić mnie wcześniej. Za dwa tygodnie mój znajomy rozpoczyna nową pracę w West Country.

- Zrobię wszystko, co tylko możliwe, by jak najszybciej znaleźć kogoś na pani miejsce, panno Kenton. Teraz zaś proszę mi wybaczyć, muszę wracać na górę.

Jednak gdy tylko dotarłem do drzwi na korytarz, panna Kenton znów mnie zawołała, więc po raz kolejny odwróciłem się. Nie ruszyła się dotąd z miejsca, toteż zwracając się teraz do mnie musiała nieco podnosić głos, tak że pobrzmiwał on dość dziwnie między przepastnymi ścianami ciemnej i pustej w tej chwili kuchni.

- Czy mam rozumieć - rzekła - że po tylu latach służby, które poświęciłam temu domowi, nie ma pan już nic więcej do powiedzenia na wieść o tym, że być może już wkrótce stąd odejdę?

- Panno Kenton, złożyłem pani moje najgorętsze życzenia. Powtarzam jednak, że na górze mają miejsce zdarzenia o wielkim znaczeniu dla całego świata, więc muszę wracać na moje stanowisko.

- A czy zdaje pan sobie sprawę, panie Stevens, że jest pan od dawna bardzo ważną osobą dla mnie i mojego znajomego?

- Doprawdy, panno Kenton?

- Doprawdy, panie Stevens. Często zabawiamy się opowiadaniem o panu różnych historyjek. Na przykład mój znajomy chce zawsze, bym pokazywała mu, jak zatyka pan nos, dodając pieprzu do swojej porcji. Bardzo go to rozśmiesza.

- Doprawdy?

- Lubi też bardzo pańskie mowy do personelu. Muszę się pochwalić, że bardzo dobrze udaje mi się je naśladować. Wystarczy tylko parę zdań, a już śmiejemy się oboje do rozpuku.

- To świetnie, panno Kenton. A teraz proszę mi wybaczyć.

Wyszedłem na górę do sieni i z powrotem zająłem moje miejsce. Nie upłynęło jednak pięć minut, gdy w drzwiach biblioteki ukazał się pan Cardinal i skinął na mnie, bym się zbliżył.

- Przepraszam, że ci zawracam głowę, Stevens - powiedział. - Ale czy mógłbym cię poprosić o trochę więcej brandy, co? Wygląda na to, że ta butelka, którą mi wcześniej przyniosłeś, jest już pusta.

- Oczywiście, może pan częstować się wszystkimi napojami, na jakie przyjdzie panu ochota, sir. Jednak biorąc pod uwagę, że ma pan jeszcze dzisiaj dokończyć swój artykuł, nie wiem, czy nie byłoby rozsądniej już z nich teraz nie korzystać.

- Artykuł nie zając, nie ucieknie, Stevens. Przynieś mi jeszcze trochę brandy, bądźże tak dobry.

- Doskonale, sir.

Gdy po chwili powróciłem do biblioteki, pan Cardinal spacerował wzdłuż półek, przyglądając się grzbietom książek. W pobliżu, na jednym z biurek, zauważyłem rozrzucone w nieładzie kartki. Na mój widok pan Cardinal wydał pomruk zadowolenia i rozparł się w jednym ze skórzanych foteli. Zbliżyłem się, nalałem nieco brandy i podałem mu kieliszek.

- Wiesz co, Stevens - powiedział - jesteśmy już przyjaciółmi od jakiegoś czasu, prawda?

- Tak jest, sir.

- Gdy tu przyjeżdżam, zawsze z przyjemnością oczekuję, że sobie trochę pogawędzimy.

- Tak jest, sir.

- Nie napiłbyś się ze mną?

- To bardzo miło z pana strony, ale nie, dziękuję.

- Słuchaj no, Stevens, dobrze się czujesz?

- Jak najlepiej, sir, dziękuję - odparłem i zaśmiałem się lekko.

- Nie czujesz się źle?

- Jestem może nieco zmęczony, ale poza tym czuję się najzupełniej w porządku, sir.

- No, to w każdym razie powinieneś usiąść. Ale co to ja mówiłem? Aha. Jesteśmy przyjaciółmi od jakiegoś czasu, więc powinienem być z tobą szczery. Jak zapewne domyślasz się, nie zjawilem się tutaj przypadkowo. Widzisz, miałem cynk. O tym, co się dzieje, co właśnie w tej chwili dzieje się tam, po drugiej stronie hallu.

- Tak jest, sir.

- Usiądźże, Stevens, bardzo cię proszę. Chcę z tobą porozmawiać jak przyjaciel z przyjacielem, a ty stoisz tu z tą przeklętą tacą i sprawiasz wrażenie, jakbyś miał zamiar zaraz dokądś pójść.

- Bardzo przepraszam, sir.

Odłożyłem tacę i usiadłem - we właściwej, pełnej uszanowania pozycji - na wskazanym mi przez pana Cardinala fotelu.

- Tak już lepiej - rzekł. - No, Stevens, czy to przypadkiem nie pan premier znajduje się teraz w salonie, co?

- Pan premier, sir?

- Dobrze, dobrze, nie musisz nic mówić. Wiem, że jesteś w kłopotliwej sytuacji. - Pan Cardinal westchnął ciężko i popatrzył ze znużeniem na swoje papiery rozrzucone po całym biurku. Potem powiedział: - Nie muszę ci chyba mówić - co, Stevens? - jakie uczucia żywią dla jego lordowskiej mości. Chcę powiedzieć, że był dla mnie jakby drugim ojcem. Zresztą nie muszę ci przecież tego mówić, Stevens.

- Tak jest, sir.

- Jego los wielce mnie obchodzi.

- Tak jest, sir.

- I wiem, że ciebie też. Ciebie też, prawda, Stevens?

- Tak, to prawda, sir.

- Świetnie. Czyli tu jesteśmy zgodni. Ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Jego lordowska mość napyta sobie biedy. Widziałem, że brnie coraz bardziej, i wiesz, co ci powiem? Jestem coraz bardziej zaniepokojony. Bo widzisz, Stevens, on zabrnął już za daleko.

- Doprawdy, sir?

- Stevens, czy ty zdajesz sobie sprawę, co tam się dzieje, właśnie teraz, gdy tak sobie rozmawiamy? Co dzieje się zaledwie kilka kroków od nas? W tamtym pokoju - i nie musisz mi nic mówić, bo wiem i tak - premier i minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii siedzą sobie z ambasadorem Niemiec. Jego lordowska mość dokazał cudów, by to spotkanie doszło do skutku, i wierzy - święcie wierzy - że robi rzecz dobrą, a nawet chwalebłą. A czy wiesz, Stevens, po co jego lordowska mość ich tu zgromadził? Czy wiesz, Stevens, co tu się dzieje?

- Niestety nie, sir.

- Niestety nie. Powiedz mi, Stevens, czy ciebie nic nie obchodzi? Czy nie jesteś choć ciekawy? Na Boga, człowieku, w tym domu dzieje się coś niezmiernie ważnego. Czy ty w ogóle nie jesteś ciekawy?

- Mnie nie przystoi ciekawość w tych sprawach, sir. - Ale przecież obchodzi cię jego lordowska mość. Bardzo cię obchodzi, sam mi to przed chwilą powiedziałeś. A jeżeli tak, to czy nie powinienes być tym zainteresowany? Albo choćby tylko trochę zaciekawiony? Twój chlebodawca zgromadził tu na tajne, nocne obrady brytyjskiego premiera i ambasadora Niemiec, a ty nawet nie jesteś ciekawy?

- Nie powiedziałem, że nie jestem zaciekawiony, sir, jednak nie przystoi mi okazywanie ciekawości w takich sprawach.

- Nie przystoi? Aha, uważasz pewnie, że to lojalność? Co? Myślisz, że jesteś lojalny? Względem jego lordowskiej mości? Czy wręcz względem Korony Brytyjskiej?

- Bardzo przepraszam, sir, nie rozumiem, do czego pan zmierza.

Pan Cardinal znów westchnął i pokręcił głową.

- Do niczego nie zmierzam, Stevens. Szczerze mówiąc, nie wiem, co można zrobić.

Ale ty mógłbyś się chociaż zainteresować.

Umilkł na chwilę i wpatrywał się tępo w dywan.

- Na pewno nie chcesz się ze mną napić, Stevens? - spytał wreszcie.

- Nie, dziękuję, sir.

- Powiem ci coś, Stevens. Z jego lordowskiej mości robi się durnia. Zbadałem całą sprawę - nie wiem, czy ktoś w tym kraju lepiej ode mnie zna się na sytuacji w Niemczech - i powiem ci, że robią z niego durnia.

Nic nie odpowiedziałem, a pan Cardinal nadal wpatrywał się tępo w podłogę. Po chwili ciągnął dalej:

- Jego lordowska mość to bardzo kochany człowiek. Ale faktem jest, że tym razem zabrnął za daleko. Manipulują nim. Hitlerowcy manipulują nim jak pionkiem. Nie zauważyłeś tego, Stevens? Nie zauważyłeś, co tu się dzieje od co najmniej trzech czy czterech lat?

- Bardzo mi przykro, sir, lecz nie udało mi się zaobserwować nic takiego.

- Nie miałeś nawet żadnych podejrzeń? Najmniejszych podejrzeń, że Herr Hitler, za pośrednictwem naszego drogiego przyjaciela Herr Ribbentropa, manipuluje jego lordowską mością jak pionkiem, z tą samą łatwością, z jaką manipuluje wszystkimi pionkami u siebie, w Berlinie?

- Bardzo mi przykro, sir, niestety nie udało mi się zaobserwować nic takiego.

- Nie przypuszczam, żebyś cokolwiek zauważył, Stevens, bo ciebie to nie interesuje. Pozwalasz, żeby to wszystko spływało po tobie. Nigdy nie zaciekawisz się, co to takiego.

Pan Cardinal wyprostował się w swym fotelu i zdawał się przez chwilę przyglądać swej nie dokończonyj pracy leżącej na biurku. Potem powiedział:

- Jego lordowską mość jest dżentelmenem. Stąd to wszystko. Jest dżentelmenem, walczył na wojnie z Niemcami, a według niego pokonanego przeciwnika należy obdarzyć wspaniałomyślnością i przyjaźnią. Po prostu ma to we krwi. Ponieważ jest dżentel-

menem, prawdziwym angielskim dżentelmenem. Musiałeś to zauważyć, Stevens. Jakże by nie? Nie widziałeś, jak oni to wykorzystali, jak obrócili coś pięknego i szlachetnego w coś, co będą mogli wykorzystać dla swych brudnych celów? Musiałeś to widzieć, Stevens.

Pan Cardinal znów wbił wzrok w podłogę. Przez jakiś czas milczał, po czym rzekł:

- Pamiętam, jak wiele lat temu był tu ten facet ze Stanów. Odbywała się ta wielka konferencja, organizował ją między innymi mój ojciec. Pamiętam, jak ten Amerykanin, a był jeszcze bardziej pijany niż ja teraz, wstał podczas kolacji, pokazał palcem na jego lordowską mość i nazwał go przy wszystkich amatorem. Nazwał go beznadziejnym, otumanionym amatorem. No i muszę przyznać, że ten Amerykanin miał rację. To święta prawda. W dzisiejszym, brudnym świecie nie ma miejsca na piękne i szlachetne instynkty. Zauważyłeś to, prawda, Stevens? Jak wykorzystali coś, co było piękne i szlachetne? Sam to zauważyłeś, Stevens?

- Bardzo mi przykro, sir, lecz nic takiego nie dostrzegłem.

- A więc nie dostrzegłeś. No to nie wiem jak ty, ale ja nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami. Gdyby żył ojciec, na pewno by coś zrobił.

Pan Cardinal znów zamilkł i na chwilę - być może z powodu wspomnień o swym zmarłym ojcu - pogrążył się w melancholii. - Czy będziesz spokojnie patrzył, Stevens - powiedział wreszcie - jak jego lordowska mość sam kręci stryczek na swoją szyję?

- Bardzo przepraszam, sir, lecz nie rozumiem dobrze, o co panu chodzi.

- A, nie rozumiesz, Stevens. No cóż, jesteśmy przyjaciółmi, więc będę szczery. Otóż od ostatnich kilku lat jego lordowska mość jest chyba najbardziej użytecznym pionkiem w propagandowych gierkach Herr Hitlera w naszym kraju. Tym bardziej że jest to pionek uczciwy, szlachetny i nie rozumiejący tego, co robi. Tylko przez te trzy ostatnie lata jego lordowska mość posłużył do nawiązania kontaktów między Berlinem a ponad sześćdziesięcioma najbardziej wpływowymi obywatelami naszego kraju. Udało się im świetnie. Herr Ribbentrop nie musi już prawie korzystać z pośrednictwa ministerstwa spraw zagranicznych. A tymczasem Herr Hitlerowi nie wystarcza już, że zorganizował ten swój zjazd i tę swoją olimpiadę. Czy wiesz, do czego teraz chcą zapędzić jego lordowska mość? Czy wiesz, o czym teraz rozmawiają?

- Niestety nie, sir.

- Jego lordowska mość usiłuje już od jakiegoś czasu przekonać pana premiera, by ten przyjął zaproszenie do odwiedzenia Herr Hitlera. Naprawdę wierzy, że dotychczasowa opinia pana premiera na temat obecnego rządu niemieckiego jest wynikiem jakiegoś potwornego nieporozumienia.

- Nie widzę w tym nic naganego, sir. Jego lordowska mość zawsze dążył do ułatwienia kontaktów pomiędzy narodami.

- To nie wszystko, Stevens. O ile się nie mylę, właśnie w tej chwili jego lordowska mość dyskutuje nad pomysłem, by Jego Królewska Mość złożył osobistą wizytę Herr Hitlerowi. Nie jest żadną tajemnicą, że nasz nowy król zawsze był entuzjastą faszyzmu. No, a teraz zdaje się, że ma wielką ochotę przyjąć zaproszenie Herr Hitlera. I właśnie w tym momencie, Stevens, jego lordowska mość stara się jak najusilniej przezwyciężyć sprzeciw ministerstwa spraw zagranicznych co do tego przerażającego pomysłu.

- Bardzo przepraszam, sir, lecz w tych działaniach jego lordowskiej mości nie widzę nic, co nie byłoby wzniosłe i szlachetne. W końcu robi, co tylko może, by utrzymać pokój w Europie.

- Powiedz mi, Stevens, czy nie przychodzi ci na myśl, że być może istnieje pewne, choćby niewielkie prawdopodobieństwo, że mam rację? Czy przynajmniej zainteresowało cię to, co powiedziałem?

- Bardzo przepraszam, sir, lecz muszę stwierdzić, że ja w pełni ufam rozsądkowi jego lordowskiej mości.

- Po Nadrenii nikt rozsądny nie może już wierzyć w ani jedno słowo Herr Hitlera, Stevens. Jego lordowska mość zachowuje się jak kompletny dureń. Ojej, teraz to chyba naprawdę cię uraziłem.

- Bynajmniej, sir - odparłem, i w tej samej chwili wstałem, usłyszawszy odgłos dzwonka. - Zdaje się, że jestem potrzebny w salonie. Proszę mi wybaczyć.

W salonie powietrze było aż ciężkie od dymu tytoniowego. Gdy wszedłem, dostojni panowie nadal uroczyście palili cygara, a jego lordowska mość polecił mi przynieść z piwnicy butelkę pewnego szczególnie doskonałego portu.

Kiedy późną nocą schodzi się po schodach dla służby, odgłosy kroków rozbrzmiewają bardzo donośnie.

Zapewne to one właśnie wywabily pannę Kenton z jej pokoju. Gdy bowiem posuwałem się ciemnym korytarzem, drzwi jej saloniku otwarły się i na tle jasnego wnętrza ukazała się panna Kenton.

- Dziwię się, że jeszcze tu panią zastałem - powiedziałem zbliżając się.
- Panie Stevens, byłem wcześniej bardzo niemądra.
- Proszę mi wybaczyć, panno Kenton, lecz nie mam teraz czasu na rozmowy.
- Panie Stevens, proszę nie brać sobie do serca tego, co mówiłam wcześniej. Byłam po prostu bardzo niemądra.

- Nic z tego, co pani mówiła, nie wziąłem sobie do serca, panno Kenton. Nie wiem zresztą, o co też może pani chodzić. Na górze dzieją się w tej chwili niezwykle ważne rzeczy, nie mogę więc stać tutaj i żartować z panią. Proponuję, by udała się pani na spoczynek.

Pospieszyłem dalej i dopiero gdy byłem przy samych drzwiach kuchni, zupełna ciemność, która znów zapadła na korytarzu, zdradziła mi, że panna Kenton zamknęła drzwi swego saloniku.

Zlokalizowanie w piwnicy właściwej butelki i wykonanie odpowiednich przygotowań do jej podania nie zajęło mi wiele czasu. Tak więc już po kilku minutach od mojego krótkiego spotkania z panną Kenton znów szedłem korytarzem, tym razem niosąc tacę. Gdy zbliżałem się do drzwi panny Kenton, po świetle sączącym się spod nich poznałem, że ona wciąż tam jest. I to właśnie ta chwila, jestem teraz o tym przeświadczony, tak utkwiała mi w pamięci - ta chwila: z tacą w rękach stoję w mroku korytarza, a w mojej duszy narasta przeświadczenie, że o parę kroków ode mnie, po drugiej stronie drzwi, właśnie w tej chwili panna Kenton płacze. O ile pamiętam, nie miałem żadnych dowodów na poparcie tego przecucia - jestem pewien, że nic nie słyszałem - a mimo to doskonale pamiętam uczucie całkowitej pewności, że jeżeli teraz zapukam i wejdem, zastanę ją we łzach. Nie wiem, jak długo tam stałem; wówczas zdawało mi się, że dosyć długo, lecz przypuszczam, że w rzeczywistości trwało to zaledwie kilka sekund. Musiałem przecież pośpieszyć na górę, by służyć jednym z najdostojniejszych osobistości w naszym kraju; nie sądzę więc, bym pozwolił sobie na niepotrzebną stratę czasu.

Gdy powróciłem do salonu, zauważyłem, że panowie są nadal w dość poważnym nastroju. Poza tym nie było mi jednak dane dokładniej poznać, w jakiej atmosferze przebiegały rozmowy, bowiem gdy tylko wszedłem, jego lordowska mość wyjął mi z rąk tacę, mówiąc: „Dziękuję, Stevens, ja się tym zajmę. To wszystko”.

Przeszedłem przez całą sień i znów zająłem moją zwykłą pozycję pod łukiem, a przez następną godzinę, a więc do odjazdu gości, nie wydarzyło się nic, co zmusiłoby mnie do zejścia z tego posterunku. Mimo to godzinę, którą tam spędziłem, pamiętałem jeszcze przez wiele lat. Z początku byłem - nie ukrywam - nieco przygnębiony. Potem jednak, gdy nadal tak stałem, zaczęło dziać się coś dziwnego; otóż niespodzianie zaczęło wzbierać we mnie głębokie uczucie triumfu. Nie pamiętam, do jakiego stopnia analizowałem wówczas to uczucie, lecz dziś, wspominając je, nietrudno domyślić się jego źródła. Przecież oto kończył się wielce męczący wieczór, podczas którego udało mi się przez cały czas zachować „godność licującą z moim stanowiskiem” - a ponadto dokonałem tego w stylu, z jakiego byłby dumny nawet mój ojciec. Po drugiej stronie sieni, za drzwiami, na których cały czas spoczywało moje spojrzenie, w pokoju, w którym dopiero co wykonywałem swoje obowiązki, najmożliwi panowie Europy dyskutowali o losie całego kontynentu. Któż mógłby wątpić w tej chwili, że rzeczywiście znalazłem się tak blisko centrum wydarzeń, jak tylko mógłby sobie tego życzyć każdy, nawet najambitniejszy kamerdynier? Należy więc przypuszczać, że gdy stałem tam, rozmyślając nad wypadkami tego dnia - już zaszłymi i tymi, które właśnie zachodziły - wydały mi się one wszystkim, co dotychczas osiągnąłem w moim życiu. Nie widzę bowiem innych powodów tego uczucia triumfu, które mnie wówczas ogarnęło.

Dzień szósty, wieczorem

Weymouth

Od wielu lat myślałem o przyjeździe do tego nadmorskiego miasteczka. Słyszałem od kilku osób, że spędzili tam przyjemne wakacje; pani Symons, w swych „Cudach Anglii”, nazywa je „miastem, które może zatrzymać przybysza przez wiele dni”.

Wspomina tam o molo, po którym spaceruję właśnie od pół godziny, i szczególnie poleca odwiedzenie go wieczorem, gdy jest oświetlone różnokolorowymi żarówkami. Właśnie dowiedziałem się od osoby urzędowej, że światła zostaną zapalone już za chwilę", więc postanowiłem spocząć na ławce i czekać na to wydarzenie. Mam stąd dobry widok na zachodzące w morzu słońce i choć jest jeszcze całkiem jasno - a dzień był bardzo piękny - gdzieś na wybrzeżu zapalają się już światła. Tymczasem wokół mnie na molo tętni życie: z tyłu nieprzerwanie dobiega dudnienie desek, którymi jest wyłożone.

Do Weymouth przybyłem wczoraj po południu i postanowiłem zostać tu drugą noc, by spokojnie spędzić cały dzień. Muszę też stwierdzić, że z ulgą myślę o możliwości odpoczynku od codziennej jazdy samochodem; czynność ta, choć bardzo przyjemna, może po pewnym czasie stać się nieco nużąca. Tak czy inaczej, mogę sobie pozwolić na ten dodatkowy dzień tutaj; jeżeli jutro wyruszę stąd wystarczająco wcześnie, powrócę do Darlington Hall w porze herbaty.

Minęły już dwie doby od mojego spotkania z panną Kenton w herbaciarni hotelu „Różany Ogródek” w Little Compton. Spotkaliśmy się właśnie tam, gdyż panna Kenton zrobiła mi niespodziankę i sama przybyła do hotelu. Po obiedzie siedziałem jeszcze jakiś czas w jadalni - zdaje się, że przyglądałem się po prostu przez okno, jak pada deszcz - gdy ktoś z personelu hotelowego oznajmił mi, że w recepcji czeka na mnie pewna pani. Wstałem i wyszedłem do hallu, gdzie nie dostrzegłem nikogo znajomego, natomiast recepcjonistka poinformowała mnie przy swym okienku, że „ta pani jest w herbaciarni”.

Wszedłszy we wskazane drzwi, odkryłem salę, wypełnioną różnymi, nie pasującymi do siebie fotelami i niejednolitej wielkości stolikami. Nie było tam nikogo poza panną Kenton, która wstała, gdy wchodziłem, uśmiechnęła się i wyciągnęła ku mnie dłoń.

- Ach, pan Stevens. Jakże miło znów zobaczyć się z panem.

- Pani Benn, jakże się cieszę.

Z powodu deszczu w sali tej było dość ciemno, więc przysunęliśmy sobie dwa fotele w pobliżu wnęki okiennej i tam, w kręgu szarego światła, rozmawialiśmy przez około dwie godziny, podczas gdy deszcz ciągle padał na widoczny za oknem rynek.

Niewątpliwie postarzała się nieco, lecz, przynajmniej moim zdaniem, uczyniła to z pełnym wdziękiem. Jej figura była nadal szczupłą, jej postać wyprostowana jak dawniej. Zachowała też swój dawny, niemal wyzywający sposób trzymania głowy. Oczywiście w

bladym świetle padającym jej na twarz nie mogłem nie zauważyć paru zmarszczek, które pojawiły się tu i tam. Jednak ogólnie rzecz biorąc, panna Kenton, którą miałem teraz przed sobą, była zdumiewająco podobna do tej osoby, którą przez tyle lat zachowywałem w pamięci. Tym przyjemniej było więc znów się z nią spotkać.

Przez pierwsze dwadzieścia minut, można powiedzieć, wymienialiśmy takie uwagi, jakie padałyby między ludźmi nieznanymi: ona wypytywała mnie uprzejmie o moją dotychczasową podróż, jak spędziłem te krótkie wakacje, co zobaczyłem i tym podobne. Wraz z trwaniem naszej rozmowy dostrzegałem - a może tylko tak mi się zdawało - dalsze, bardziej subtelne piętno, jakie odcisnął na niej czas. I tak, na przykład, panna Kenton była teraz, tak mi się zdaje, bardziej powolna. Być może był to tylko spokój, który przychodzi z wiekiem, i przez jakiś czas usiłowałem tak właśnie tłumaczyć sobie to zjawisko. Nie mogłem jednak oprzeć się wrażeniu, iż w rzeczywistości jest to zmęczenie życiem; nie było już w niej tej iskry, która kiedyś czyniła ją tak żywą, czasami wręcz swawolną osobą. A prócz tego, gdy nic nie mówiła, gdy twarz jej pozostawała nieruchoma, wydawało mi się, że dostrzegam w niej coś jakby smutek - mogłem jednak mylić się w tym względzie.

Całkowicie zniknęła pewna niezręczność, jaka panowała podczas pierwszych minut naszego spotkania, i rozmowa przybrała bardziej osobisty ton. Przez jakiś czas wspominaliśmy wspólnych znajomych z dawnych lat lub dzieliliśmy się wiadomościami na ich temat i było to, muszę przyznać, bardzo przyjemne. Nie tyle jednak treść naszej rozmowy, co lekki uśmiech, jakim kończyła swoją wypowiedź, pojawiające się czasem ironiczne zabarwienie głosu czy ruchy jej ramion i dłoni wprowadzały nas z powrotem w nastrój naszych rozmów sprzed tylu już lat.

Wtedy również udało mi się ustalić pewne fakty jej obecnego położenia. Dowiedziałem się na przykład, że sytuacja rodzinna panny Kenton nie jest tak zła, jak można by to wnioskować z jej listu; że choć opuściła dom na cztery czy pięć dni - podczas których napisała otrzymany przeze mnie list - powróciła tam potem ku radości męża. „Może to dobrze, że przynajmniej jedno z nas jest w tych sprawach rozsądne” - dodała z uśmiechem.

Oczywiście, jestem w pełni świadomy, że sprawy te nie powinny mnie w żadnym wypadku obchodzić i że nie śmiałybym wtrącać się w nie, gdybym nie miał na uwadze, jak

Państwo pamiętają, ważnych względów zawodowych, a mianowicie aktualnej sytuacji kadrowej w Darlington Hall. Tak czy inaczej, panna Kenton bynajmniej nic przede mną nie tała, co przyjąłem za miłe świadectwo łączących nas niegdyś silnych związków służbowych.

Pamiętam następnie, że przez jakiś czas panna Kenton opowiadała mi o swym mężu, który miał wkrótce przejść na emeryturę, nieco wcześniejszą z powodu złego stanu zdrowia, oraz o swej córce, również zamężnej i jesienią spodziewającej się dziecka. Panna Kenton dała mi nawet adres córki w hrabstwie Dorset i muszę przyznać, że dużą przyjemność sprawiło mi jej naleganie, bym zawitał tam w drodze powrotnej. Choć wyjaśniłem, że jest mało prawdopodobne, bym przejeżdżał przez tę właśnie część Dorset, panna Kenton dalej nalegała, mówiąc: „Catherine tak wiele o panu słyszała, panie Stevens. Bardzo by się ucieszyła, gdyby mogła pana poznać”.

Ja z kolei usiłowałem przedstawić jej jak najdokładniej dzisiejszy Darlington Hall. Starłem się ukazać, jak dobrotliwym chlebodawcą jest pan Farraday; opisywałem też zmiany w samym domu, zamknięcie pewnych jego części i obecne rozwiązania personalne. Spostrzegłem, że gdy zacząłem mówić o domu, panna Kenton wyraźnie poweselała i wkrótce zaczęliśmy przywoływać różne stare wspomnienia, często śmiejąc się z nich.

Pamiętam też, że tylko raz napomknęliśmy o lordzie Darlingtonie. Bawiliśmy się właśnie jakimś wspomnieniem dotyczącym młodego pana Cardinala, więc musiałem wtedy poinformować pannę Kenton, iż zginął on w czasie wojny w Belgii. Dodałem w tym miejscu: „Oczywiście, jego lordowska mość bardzo kochał pana Cardinala i bardzo ciężko to przeżył”.

Nie chciałem psuć przyjemnego nastroju smutnymi wspomnieniami, więc usiłowałem niemal natychmiast zmienić temat. Jednak, jak się obawiałem, panna Kenton czytała o tym niefortunnym procesie o zniesławienie i, co zrozumiałe, usiłowała dowiedzieć się czegoś na ten temat ode mnie. O ile pamiętam, dość opierałem się tym próbom, choć w końcu powiedziałem, co następuje:

- Jest faktem, pani Benn, że przez całą wojnę o jego lordowskiej mości głośzono rzeczy straszne, w czym celowała ta właśnie gazeta. Starł się znosić to w spokoju, dopóki kraj był w niebezpieczeństwie, lecz gdy skończyła się wojna, a oskarżenia nie milkły, no

cóż, jego lordowska mość stwierdził, że nie może dłużej cierpieć w milczeniu. Teraz wiemy, jak wielkie ryzyko niosła ze sobą decyzja o wejściu na drogę sądową, w tej całej atmosferze, jaka wówczas panowała. Ale stało się. Jego lordowska mość święcie wierzył, że sprawiedliwość była po jego stronie. Tymczasem, jak wiadomo, efekt był taki, że gazeta ta jeszcze zwiększyła nakład, a dobre imię jego lordowskiej mości zostało zszargane na zawsze. Proszę mi wierzyć, pani Benn, potem... no cóż, jego lordowska mość poważnie zaniemógł. A w całym domu zapadła taka cisza... Podawałem mu herbatę w salonie i, no... Był to naprawdę nieprzyjemny widok.

- Tak mi przykro, panie Stevens. Nie miałam pojęcia, że aż tak bardzo...

- O, tak, pani Benn. Ale dość o tym. Wiem, że pani pamięta Darlington Hall takim, jakim był w czasach wielkich zjazdów, wypełniony wielkimi gośćmi. I taka właśnie pamięć należy się jego lordowskiej mości.

Jak już powiedziałem, o lordzie Darlingtonie mówiliśmy tylko ten jeden raz. Zajmowaliśmy się przede wszystkim radosnymi wspomnieniami i dwie godziny spędzone wspólnie w herbaciarni były, powiedziałbym, niezwykle przyjemne. Zdaje się, że podczas naszej rozmowy do sali wchodzili też inni goście, siadali na chwilę i wychodzili, lecz wcale nam to nie przeszkadzało. Było aż trudno uwierzyć, że minęły całe dwie godziny, gdy panna Kenton spojrzała na zegar stojący na kominku i powiedziała, że musi już wracać do domu. Dowiedziawszy się, że będzie musiała iść w deszczu do przystanku autobusowego, znajdującego się w pewnej odległości od wioski, wymogłem na niej, by pozwoliła odwieźć się tam fordem, i po odebraniu z szatni jej parasola wyszliśmy razem.

W miejscu, gdzie zostawiłem samochód, powstały tymczasem wielkie kałuże, więc musiałem pomóc pannie Kenton w dojściu do drzwi dla pasażera. Wkrótce jechaliśmy już główną ulicą wioski, po czym sklepiki zniknęły, a my znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni. Panna Kenton, która do tej pory spoglądała w milczeniu na przesuający się za oknem widok, odwróciła się teraz do mnie, mówiąc:

- Dlaczego pan tak się uśmiecha, panie Stevens?

- O... Musi mi pani wybaczyć, pani Benn, lecz przypomniałem sobie po prostu pewne stwierdzenie z pani listu. Czytając je, byłem lekko zaniepokojony, ale teraz widzę, że zupełnie niepotrzebnie.

- Tak? O jakież to stwierdzenie panu chodzi, panie Stevens?

- Ach, nie, nic takiego, pani Benn.

- Ależ, panie Stevens, naprawdę musi mi pan powiedzieć.

- No więc na przykład, pani Benn - powiedziałem ze śmiechem - pisze pani w pewnym miejscu - zaraz, niech sobie przypomnę - „Reszta mego życia jest teraz dla mnie jedną wielką pustką”, czy coś podobnego.

- Ależ panie Stevens - odparła, również śmiejąc się lekko - to niemożliwe, żebym napisała coś takiego.

- O, zapewniam panią, że tak, pani Benn; pamiętam bardzo dokładnie.

- Mój Boże. No cóż, bywają dni, gdy rzeczywiście tak mi się wydaje. Ale szybko mijają. Mogę pana zapewnić, panie Stevens, że moje życie bynajmniej nie jest puste. Przede wszystkim cieszymy się bardzo, że będziemy mieli wnuki, bo po tym pierwszym przyjdą pewnie następne.

- Tak, rzeczywiście. To doskonale pani zrobi.

Przez parę chwil jechaliśmy w milczeniu. Potem odezwała się panna Kenton.

- No, a pan, panie Stevens? Jaka przyszłość oczekuje pana po powrocie do Darlington Hall?

- Cóż, pani Benn, cokolwiek to będzie, nie czeka mnie pustka. Gdyby tak było! Ale nie, tylko praca, praca i jeszcze raz praca.

Zaśmialiśmy się oboje. Potem panna Kenton wskazała mi na poboczu zadaszony przystanek autobusowy. Gdy podjeżdżaliśmy, powiedziała:

- Czy poczeka pan ze mną, panie Stevens? Autobus będzie dosłownie za parę minut.

Deszcz wciąż padał, gdy wysiedliśmy z samochodu, więc pośpiesznie przeszliśmy pod zadaszenie. Ta kamienna, kryta dachówką konstrukcja wyglądała na dość solidną i słusznie, gdyż stała samotnie, w szczerym polu. Co prawda, wewnątrz ze wszystkich ścian schodziła farba, lecz było tam nawet dość czysto. Panna Kenton usiadła na drewnianej ławce, podczas gdy ja stanąłem tak, by widzieć nadjeżdżający autobus. Po obu stronach drogi rozpościerały się pola uprawne; przez chwilę wzrok mój powędrował w ślad za ciągnącymi się w dal rzędami słupów telegraficznych.

Przez kilka minut czekaliśmy w milczeniu, aż wreszcie zmusiłem się, żeby powiedzieć:

- Proszę mi wybaczyć, pani Benn, ale może się zdarzyć, że nie tak szybko się spotkamy. Czy pozwoli mi pani zapytać się o sprawę dość osobistą. Jest to coś, co niepokoi mnie już od jakiegoś czasu.

- Ależ oczywiście, panie Stevens. Jesteśmy w końcu starymi przyjaciółmi.

- Tak, to prawda, jesteśmy starymi przyjaciółmi. Chciałem zadać pani tylko jedno pytanie. Proszę mi nie odpowiadać, jeżeli uzna pani, że nie powinienem o to pytać. Jednak jest faktem, że listy, które w ciągu tych wszystkich lat od pani otrzymałem, a już szczególnie ten ostatni, sprawiają wrażenie, jakby była pani - nie wiem, jak to powiedzieć - osobą dość nieszczęśliwą. Myślałem sobie, że może jest pani w ten czy inny sposób źle traktowana. Proszę mi wybaczyć, ale, jak już powiedziałem, jest to coś, co od dłuższego czasu nie dawało mi spokoju. Czułbym się bardzo głupio, gdybym odbył całą tę podróż i przynajmniej nie zapytał pani o to.

- Panie Stevens, nie musi pan wcale czuć się tak zażenowany. Jesteśmy przecież starymi przyjaciółmi, nieprawdaż? A poza tym jestem szczerze wzruszona pana troską. Przy tym mogę pana całkowicie uspokoić. Mój mąż traktuje mnie dobrze pod każdym względem. Nie jest ani trochę okrutny czy kłótniwy.

- Muszę przyznać, pani Benn, że jest to dla mnie wielka ulga.

Wychyliłem się na deszcz sprawdzić, czy nie nadjeżdża autobus.

- Widzę, że moja odpowiedź nie zadowoliła pana, panie Stevens - rzekła panna Kenton. - Nie wierzy mi pan?

- Ależ nie, nie o to chodzi, pani Benn, wcale nie. Muszę się jednak przyznać, że nadal nie wydaje mi się, by zaznała pani przez te wszystkie lata wiele szczęścia. Chodzi mi o to - proszę mi wybaczyć - że wielokrotnie decydowała się pani opuścić męża. A jeżeli on nie traktuje pani źle, to, no cóż... trudno odgadnąć powód tego, że jest pani nieszczęśliwa.

Znów wychyliłem się na padającą mżawkę. Po chwili z tyłu dobiegł mnie głos panny Kenton:

- Panie Stevens, cóż mam panu powiedzieć? Sama nie wiem, dlaczego to robię. Ale to prawda, odchodziłam już trzy razy. - Urwała na chwilę; przez ten czas ja nadal spoglądałam na pola po drugiej stronie drogi. Potem dodała: - A więc, panie Stevens, pyta mnie pan, czy kocham mojego męża.

- Doprawdy pani Benn, jakżebyś śmiała...

- Myślę, że jestem panu winna odpowiedź na to pytanie, panie Stevens. Jak sam pan powiedział, być może spotkamy się nieprędko. Otóż tak, kocham mojego męża. Z początku nie kochałam go wcale. I przez bardzo długi czas. Gdy wiele lat temu opuszczałam Darlington Hall, nie zdawałam sobie sprawy, że to stało się naprawdę, na zawsze. Chyba po prostu chciałam znowu zrobić panu na złość, panie Stevens. Był to dla mnie straszny szok, gdy przyjechałam tu, w te strony, i pojęłam nagle, że wyszłam za mąż. Przez długi czas byłam bardzo nieszczęśliwa, naprawdę bardzo. Ale potem mijały lata, była wojna, Catherine rosła, a pewnego dnia zdałam sobie sprawę, że kocham mojego męża. Gdy spędzi się z kimś tyle czasu, zawsze można się jakoś przyzwyczaić. To dobry, solidny człowiek, i tak jest, panie Stevens, nauczyłam się go kochać.

Panna Kenton zamilkła na chwilę, lecz potem odezwała się znowu:

- To oczywiście nie znaczy, że od czasu do czasu nie myślę sobie: „Jak straszliwy błąd popełniłam w moim życiu”. I są to chwile bezbrzeżnej rozpacz. I zaczynam wtedy rozmyślać o innym, lepszym życiu, jakie mogłam mieć. Na przykład, zaczynam wtedy myśleć o życiu, jakie mogłabym mieć z panem, panie Stevens. Dzieje się tak chyba wtedy, gdy rozłoszczę się o jakąś drobnostkę i odchodzę. Ale za każdym razem szybko orientuję się, że moje miejsce jest przy mężu. W końcu, co się stało, już się nie odstanie. Nie można wiecznie roztrząsać tego, co mogło być. Trzeba zdać sobie sprawę, że miało się życie nie gorsze niż większość ludzi - a może i lepsze - i z tego trzeba się cieszyć.

Wydaje mi się, że nie odpowiedziałem od razu, gdyż dopiero po chwili udało mi się zrozumieć w pełni znaczenie słów panny Kenton. Ponadto, jak mogą Państwo zauważyć, wnioski z nich płynące mogły wywołać u mnie pewien smutek. Cóż tu zresztą kryć - w owej chwili krwawiło mi serce. Nie upłynęło jednak wiele czasu, gdy odwróciłem się do niej i rzekłem z uśmiechem:

- Ma pani zupełną rację, pani Benn. Jak sama pani stwierdziła, co się stało, to się nie odstanie. Naprawdę, nie miałbym ani chwili spokoju, wiedząc, że takie myśli mogłyby

zakłócić szczęście pani i jej męża. I ma pani rację, każde z nas musi być wdzięczne za to, co ma. A w dodatku, z tego, co pani opowiadała, pani Benn, wynika, że ma pani też pewne powody do zadowolenia. Ośmielę się wręcz stwierdzić, że teraz, gdy pani małżonek przejdzie na emeryturę, gdy przyjdą na świat wnuki, macie państwo przed sobą wiele bardzo szczęśliwych lat. Naprawdę nie może pani pozwolić, by różne niemądre myśli zakłóciły szczęście, które się pani słusznie należy.

- Oczywiście, panie Stevens, ma pan rację. Jest pan taki miły.

- Oho, pani Benn, zdaje się, że nadjeżdża autobus.

Wyszedłem na zewnątrz i zamachałem, podczas gdy panna Kenton podniosła się i stanęła tuż przed zadaszeniem. Spojrzałem na nią dopiero, gdy autobus zajechał, i zauważyłem wtedy, że oczy ma pełne łez. Uśmiechnąłem się i powiedziałem:

- No, no, pani Benn, musi pani teraz myśleć przede wszystkim o sobie. Wiele osób twierdzi, że najlepsze lata małżeństwa zaczynają się po przejściu na emeryturę. Musi pani postarać się sprawić, by były one szczęśliwe dla pani i pani męża. Być może nie spotkamy się już nigdy, pani Benn, więc prosiłbym panią, by potraktowała pani poważnie to, co mówię.

- Dobrze, panie Stevens, dziękuję. I dziękuję też za podwiezienie. To takie uprzejme z pana strony. Tak miło było mi znów pana zobaczyć.

- Cała przyjemność po mojej stronie, pani Benn.

Zaświecono już lampy na molo, a kłębiący się za moimi piewcami tłum powitał to wydarzenie głośnym aplauzem. Jest jeszcze dość jasno - niebo nad morzem zrobiło się bladoczerwone - lecz odnoszę wrażenie, że wszyscy ci ludzie gromadzący się od pół godziny na molo chcą, by zapadła już noc. Potwierdza się dość dokładnie, jak sądzę, to, co przed chwilą powiedział człowiek siedzący do niedawna obok mnie na ławce, z którym odbyłem ową dziwną rozmowę. Stwierdził mianowicie, że dla wielkiej rzeszy ludzi najlepszą porą dnia, porą, na którą najbardziej czekają, jest wieczór. Jak już powiedziałem, musi w tym być ziarno prawdy, gdyż z jakiego innego powodu wszyscy ci ludzie witali z radością włączenie świateł na molo? Oczywiście, człowiek ten mówił w przenośni, lecz, co ciekawe, potwierdziło się to również dosłownie. Wydaje mi się, że

musiał siedzieć obok mnie już dłuższy czas, jednak tak byłem pochłonięty wspomnieniami ze spotkania z panną Kenton, że jego obecność zauważyłem dopiero wtedy, gdy się odezwał.

- Morskie powietrze dobrze robi człowiekowi.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem tęgiego mężczyznę w wieku chyba powyżej sześćdziesięciu pięciu lat, w dość sfatygowanej marynarce z tweedu, z rozpiętym kołnierzykiem u koszuli. Spoglądał na wodę, a może na krążące w pewnej odległości mewy, więc nie byłem całkiem pewny, czy mówił do mnie. Ponieważ jednak nikt inny mu nie odpowiedział i ponieważ nie widziałem wokół siebie nikogo, kto mógłby to uczynić, powiedziałem wreszcie:

- O, tak, na pewno.

- To doktor mi powiedział. No to przyjeżdżam tu, jak tylko jest pogoda.

Potem zaczął wyliczać mi swe liczne schorzenia, od czasu do czasu tylko spuszczać wzrok z zachodzącego słońca, by posłać mi uśmiech czy kiwnąć głową. Zresztą zacząłem słuchać go uważnie dopiero od chwili, gdy wspomniał, że do przejścia trzy lata temu na emeryturę był kamerdynerem w jednym z pobliskich domów. Wypytawszy go dokładniej, dowiedziałem się, że był to bardzo mały dom, w którym był jedynym stałym pracownikiem. Gdy zapytałem, czy kiedykolwiek pracował na czele liczniejszego personelu, może przed wojną, odparł:

- E, nie, w tamtych czasach byłem tylko zwykłym lokajem. Wtedy nie miałem wystarczającej smykałki, żeby być kamerdynerem. Nie uwierzyłbyś pan, jakie to było trudne i jak pracowało się w tych wielkich, przedwojennych domach.

W tym miejscu uznałem za stosowne wyjawić moją tożsamość i choć nie wiem, czy nazwa „Darlington Hall” cokolwiek dlań znaczyła, zrobiło to na nim wielkie wrażenie.

- A ja tu zabierałem się już do opowiadania panu o tym wszystkim - zaśmiał się. - Dobrze, żeś mi pan powiedział, zanim się wygłupiłem. Widać z tego, że jak się zaczyna rozmawiać z kimś, kogo się nie zna, nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi. Pewnie miałeś pan dużo ludzi pod sobą. To znaczy, przed wojną.

Że był to człowiek wesołego usposobienia i zdawał się autentycznie zainteresowany tematem, przyznam, że przez jakiś czas opowiadałem mu, jak to bywało

w Darlington Hall za dawnych lat. Przede wszystkim usiłowałem wyjaśnić mu, na czym polega owa, jak to określił, „smykałka”, potrzebna do sprawowania pieczy nad wielkimi przyjęciami, jakie wówczas miewaliśmy. Zdaje się też, że ujawniłem mu nawet część mych zawodowych „tajemnic”, dzięki którym personel pracuje jeszcze lepiej, i te wszystkie sztuczki, za pomocą których kamerdyner, podobnie jak magik, potrafi sprawić, że dana rzecz wydarzy się we właściwym miejscu i o właściwym czasie, goście zaś pozostaną w całkowitej nieświadomości wielkiej często i skomplikowanej operacji temu służącej. Jak już powiedziałem, mój towarzysz zdawał się prawdziwie zainteresowany, lecz po jakimś czasie uznałem, że opowiedziałem mu już wystarczająco dużo, i zakończyłem:

- Oczywiście teraz, z moim nowym chlebodawcą, Amerykaninem, jest zupełnie inaczej.

- A, Amerykanin? No tak, teraz tylko ich stać na takie rzeczy. Czyli został pan przy domu. Sprzedaż wiązana. - Obrócił się do mnie i uśmiechnął pod wąsem.

- Tak - odparłem, śmiejąc się lekko. - Jak to pan określił, sprzedaż wiązana.

Mężczyzna znów przeniósł wzrok na morze i odetchnął z zadowoleniem. Przez parę chwil siedzieliśmy w milczeniu.

- Oczywiście, prawda jest taka - rzekłem po chwili - że to lordowi Darlingtonowi dałem z siebie wszystko. Dałem mu z siebie wszystko, co miałem najlepszego, a teraz, no cóż, okazuje się, że nie mam już wiele do zaoferowania.

Nie odrzekł nic, lecz skinął głową, więc mówiłem dalej:

- Od kiedy przyjechał mój nowy chlebodawca, pan Farraday, staram się, naprawdę się staram, służyć mu tak, jakbym chciał, żeby mu służono. Staram się i staram, ale cokolwiek robię, daleko mi do poziomu, jaki kiedyś sam sobie ustaliłem. W mojej pracy widać coraz więcej uchybień, zresztą zupełnie błahych - przynajmniej na razie. Ale nigdy przedtem ich nie popełniałem i wiem, co to znaczy. Bóg raczy wiedzieć, jak bardzo się staram, i wszystko na nic. Dałem już z siebie wszystko. Dałem z siebie wszystko lordowi Darlingtonowi.

- O Boże, człowieku, czekaj no, chcesz chustkę? Mam tu gdzieś swoją. O, jest. Prawie czysta, raz tylko siąkałem w nią rano, nic więcej. No, weźże, człowieku.

- O Boże, nie, dziękuję bardzo, już wszystko w porządku. Bardzo przepraszam, to ta podróż musiała mnie tak zmęczyć. Naprawdę bardzo przepraszam.

- Musiałeś pan być bardzo przywiązany do tego swojego lorda, jak mu tam... I mówisz pan, że to już trzy lata, jak umarł? Widzę, że musiałeś pan być do niego bardzo przywiązany.

- Lord Darlington nie był złym człowiekiem. Na pewno nie. A pod koniec życia potrafił przynajmniej powiedzieć, że popełniał błędy. Jego lordowska mość był człowiekiem odważnym. Obrał w życiu jakąś drogę, okazało się, że niesłuszną, ale przynajmniej coś wybrał. A ja? Ja nie mogę powiedzieć o sobie nawet tego. Bo widzi pan, ja wierzyłem, wierzyłem w mądrość jego lordowskiej mości. Przez wszystkie te lata, kiedy mu służyłem, wierzyłem, że robię coś, co warto. A tymczasem nie mogę nawet powiedzieć, że popełniałem własne błędy. Doprawdy - nasuwa się pytanie - i jakaż w tym godność?

- E, tam, posłuchaj no pan. Nie całkiem rozumiem, o co panu chodzi, ale coś mi się zdaje, że nie podchodzisz pan do tego, jak należy. Po co cały czas oglądać się na to, co było? Nic dziwnego, że robi się panu żal. A że nie potrafisz pan już pracować tak jak dawniej? No i dobrze, każdego to czeka! Każdy kiedyś musi wreszcie odpocząć. A popatrz pan na mnie. Od kiedy przeszedłem na emeryturę, jestem wesoły jak szczygiełek. A że obaj nie jesteśmy już młodzieniaszki? To i dobrze! Trzeba dalej patrzeć w przyszłość. - I zdaje się, że wtedy wyrzekł te słowa: - Baw się pan. Wieczór to najlepsza pora dnia. Robiłeś pan przez cały dzień, to teraz nogi na stół i wypoczywaj pan. Tak myślę ja, ale spytaj się pan i innych, powiedzą panu to samo. Wieczór to najlepsza pora dnia.

- Na pewno ma pan rację - powiedziałem. - Bardzo pana przepraszam, to było doprawdy bardzo niestosowne. Podejrzewam, że jestem przemęczony. Widzi pan, wiele ostatnio podróżowałem.

Człowiek ten poszedł już około dwudziestu minut temu, lecz ja pozostałem tu, na tej ławce, by oczekiwać na to, co właśnie przed chwilą miało miejsce - a mianowicie na włączenie oświetlenia na molo. Jak już powiedziałem, radość, z jaką to drobne wydarzenie powitali zebrani na molo, zdaje się potwierdzać słusność słów mojego towarzysza, że dla bardzo wielu ludzi najprzyjemniejszą porą dnia jest wieczór. Być może zatem należałoby zastanowić się nad jego radą, bym przestał tak bardzo spoglądać w

przeszłość, bym przyjął bardziej pozytywny punkt widzenia i starał się jak najlepiej wykorzystać to, co mi jeszcze zostało z moich dni. Cóż bowiem można osiągnąć ciągłym grzebaniem się w przeszłości i oskarżaniem siebie samego o to, że w życiu nie powiodło się całkiem tak, jak można by sobie tego życzyć? Tak już jest, że dla takich jak my nie ma większego wyboru, jak tylko pozostawić ostatecznie nasz los w rękach tych, którym służymy: wielkich panów, znajdujących się w samym centrum spraw tego świata. Po cóż zamartwiać się tym, co zrobiło się, czy nie zrobiło, że życie przyjęło taki czy inny obrót? Takim jak my powinno wystarczyć, że starali się choćby w najskromniejszy sposób przyczynić do tworzenia tego, co jest prawdziwe, co ma jakąś wartość. A jeśli ktoś z nas gotów jest poświęcić większą część życia takim właśnie aspiracjom, już to samo w sobie jest powodem do dumy i zadowolenia, niezależnie od osiągniętych rezultatów.

Tak się złożyło, że wkrótce po zapaleniu się świateł usiadłem tak, by lepiej widzieć cały ten roześmiany, rozgadany tłum. Po moło spacerują teraz przedstawiciele wszystkich pokoleń: rodziny z dziećmi, trzymające się pod rękę pary, młodsze i starsze. Tuż za mną zebrało się sześć czy siedem osób, które wzbudziły moją ciekawość. Z początku byłem pewien, że to grupka znajomych, spędzających tu razem wieczór. Gdy jednak przysłuchałem się przez chwilę ich rozmowie, zrozumiałem, że osoby te nie znały się wcześniej i przypadkiem spotkały się w tym miejscu. Na pewno zatrzymali się tu, gdy włączono światła, a następnie nawiązali rozmowę. Patrząc na nich, widzę teraz, jak już razem śmieją się wesoło. To dziwne, że ludzie potrafią tak łatwo okazywać sobie tyle serdeczności; może łączy ich wspólne oczekiwanie na nadchodzący wieczór. Z drugiej jednak strony wydaje mi się, że ma to jakiś związek z umiejętnością żartowania - gdy teraz przysłuchuję się im, wymieniają jedną żartobliwą uwagę po drugiej; tak zdaje się postępuje bardzo wiele osób. Być może również mój rozmówca oczekiwał ode mnie żartów - a w takim razie musiał, niestety, zawieść się srodze. Może rzeczywiście najwyższy czas z większym entuzjazmem zająć się sprawą żartowania. W końcu, gdy tak o tym myślę, nie jest to wcale takie niemądre - szczególnie jeżeli to właśnie żartowanie ma być kluczem do ludzkiej serdeczności.

Przychodzi mi na myśl ponadto, że żartowanie wcale nie jest przesadnym wymaganiem chlebodawcy względem pracownika. Oczywiście, poświęciłem już sporo czasu rozwijaniu mych umiejętności w tej dziedzinie, lecz możliwe, że nigdy dotąd nie

podchodziłem do tego z pełnym zaangażowaniem. Może byłoby więc wskazane, gdy jutro powrócę do Darlington Hall - a sam pan Faraday zjawi się tam dopiero w przyszłym tygodniu - wznowić ćwiczenia ze zwiększonym wysiłkiem. Mam nadzieję, że po powrocie mego chlebodawcy sprawię mu przyjemną niespodziankę.